


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



KAROL MAY

TAJEMNICE KLASZTORU

MAŁOPOLSKA OFICYNA WYDAWNICZA KORONA

Tytuł oryginału: Das Waldröschen oder die Verfolgung rund um die Erde X

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

KARA

Bawole Czoło i Piorunowy Grot po drodze pełnej przygód dotarli do góry i doszli aż nad sam staw krokodyli. Dopiero tutaj pozsiadali z koni, zdejmując także Józefę.

Oczy kobiety były zapadłe, a na całej twarzy malowało się przerażenie. Owa pewność siebie, z jaką odpowiadała Sternauowi znikła obecnie bez śladu. Drżała na całym ciele, ledwie trzymała się na nogach. Bezsilnie zsunęła się na ziemię.

Wielki jak jezioro staw imponował nie tylko swoim ogromem, ale i spokojem.

Rosnące nad brzegiem nieliczne drzewa odbijały się w głębi, czyniąc dodatkowo jakieś niesamowite, ponure wrażenie.

– Po co mnie tu przyprowadziliście? – spytała z przerażeniem.

– Zaraz zobaczysz – odparł Helmer.

– Chcecie mnie zamordować?

– O nie, tylko osądzić.

Zbladła jak płótno, z trudem zaciskała wargi, by nie zdradzić swego strachu, jednak był tak wielki, że aż zęby zaczęły jej dzwonić.

– Wy nie jesteście moimi sędziami.

– Nie, a kto inny, szanowna seniorito?

– Nie macie prawa mnie sądzić! Od tego, w tym kraju jest wyższa władza!

– A, może ty jesteś tą wyższą władzą?

– Ja? Dlaczego? Co to za pytanie?

– Bo sądziłaś seniora Arbelleza i wyrok swój kazałaś wykonać. My robimy to samo i tyle władzy ile ty sobie przywłaszczyłaś pozwalamy teraz przyznać sobie.

– Tego nie zrobicie. Jesteście tylko myśliwymi, a ja córką przyszłego prezydenta.

– A od kiedy to wolno córkom prezydentów wydawać i wykonywać wyroki? Zresztą proszę się nie ośmieszać. Twój ojciec to wyjątkowy łotr, mam nadzieję, że niedługo uda nam się i tego zbrodniarza dostać w swoje ręce. A ty jesteś wyrzutkiem, uosobieniem wszelkiego zła, zarówno cielesnego jak i duchowego. Te krokodyle, którym zamierzamy cię rzucić na pożarcie, są pomimo swej brzydoty stokroć przyjemniejsze niż ty.

Czegoś podobnego nie słyszała jeszcze nigdy, nikt nie odważył się rzucić w nią tyloma wyzwiskami, jednak nie oburzyła się na nie. Strach złamał jej dumę. Poczula się tak nędzną, tak bezsilną, iż złożywszy ręce poczęła błagać jak żebraczka:

– Miejcie litość! Arbellez przecież nie umarł.

– Okażemy ci taką samą litość, jak ty okazałaś naszemu przyjacielu – odpowiedział Bawole Czoło. – Teraz uważaj!

Przyłożył rękę do ust i wydał z siebie płaczliwy ton. Natychmiast woda stawu zmaciła się. Tu i ówdzie powyskakiwały na powierzchnię jakieś ciemne punkty podobne do zgnitego pnia albo czarnego kamienia. Punkty te poczęły się poruszać. Dopiero teraz można było poznać potworne łby krokodyli. Z wielką szybkością płynęły do brzegu bijąc swymi długimi ogonami, tak iż całe masy rozpryskiwały się dokoła. Swe straszne paszcze rozdziawiały tak szeroko, że można było ujrzeć całe rzędy straszliwych zębów i zamykały je od czasu do czasu z łoskotem. Był to rzeczywiście przerażający widok.

Krew zmroziła się w żyłach Józefy. Te paszcze pełne robactwa, pijawek i nieczystości miały ją porwać i zmiażdżyć swymi ostrymi jak sztylety kłami. Sam fetor jaki te zwierzęta wyda-

wały z siebie był zdolny odebrać przytomność, cóż dopiero myśl, że ma być wydana na pastwę tych obrzydliwych gadów.

– O *Santa Madonna!* – zawołała z jękiem – To okrutne żarty. Przecież to nie może być waszym rzeczywistym zamiarem wrzucić mnie na łup tym bestiom?

– O nie, zaraz cię nie wrzucimy – odpowiedział Bawole Czoło. – To byłoby zbyt łagodne dla ciebie. Nie zasłużyłaś na szybką i nagłą śmierć. Znasz przecież Alfonso, owego draba, co twierdzi, że jest hrabią de Rodriganda.

– Znam – odparła.

– Wiesz, że był kiedyś w hacjendzie del Erina?

– Wiem.

– I słyszałaś zapewne o jego przygodach, jakie mu się tutaj przydarzyły?

– Opowiadał mi.

– Opowiadał ci także jak wisiał nad paszczami krokodyli? Na samo wspomnienie wstrząsnął nią dreszcz.

– Tak – odrzekła słabo.

– Na drzewie?

– Tak.

– Niestety udało mu się wówczas uratować, ale obecnie jest to wykluczone. Otóż popatrz na drzewo. To, to samo, na którym on wisiał.

Popatrzyła w górę. Rzeczywiście ujrzała pochyłe drzewo tuż nad brzegiem, którego jeden konar zwisał nad wodą, jakby umyślnie tam umieszczony. Przymknęła oczy, miała uczucie, że całe jej ciało rozpada się na tysiące kawałków.

– Na tym samym konarze zawieszysz – dodał poważnie Misteka. – Krokodyle nie zmiążdżą cię od razu, tylko kawałek po kawałku będą rozrywały twoje ciało.

– Łaski! – jęknęła nie otwierając oczu.

– Łaski? – zawołał śmiejąc się szydlerczo – A ty w ogóle wiesz co to jest łaska?

– Ja postanowiłam się poprawić!

– Ty? Ty się nigdy nie poprawisz! Nawet gdybyśmy darowali ci życie, stałabyś się jeszcze gorsza.

– Darujcie mi życie, a wyznam wszystko co wiem.

– Co?

– Wszystko co zrobiłam.

– Tego nie chcemy wiedzieć.

– Ani tego co zrobił mój ojciec i stryj?

– To wiemy.

– Opowiem wam wszystko o Henryku Landoli.

– Nie chcemy słyszeć o tym łotrze.

– Wszystkie tajemnice domu Rodriganda.

– To nas w ogóle nie obchodzi – odpowiedział z flegmą. – Niech mój brat zarzuci lasso.

Jeden z Misteków odpiął natychmiast swoje lasso i począł się wspinać na drzewo. Wdrapawszy się na górę umocował środek rzemienia wokół dwóch konarów zwisających nad wodą, końce lassa uchwycił w zęby i tak zsunął się na ziemię.

Bawole Czoło także odwiązał swoje lasso robiąc z niego pętlę.

– Tak, teraz możemy zaczynać – powiedział.

– Litości! – wrzeszczała Józefa podnosząc ręce w górę.

– Litość względem ciebie byłaby przestępstwem – odparł Misteka z wolna przywiązując koniec lassa do zwisającego pnia.

– Wyznaję, że Alfonso nie jest synem hrabiego de Rodriganda, tylko mego stryja! – zawołała podnosząc się na kolana i składając ręce jak do modlitwy.

– O tym wiem bez ciebie! Chodź tutaj!

Podsunał jej pętlę pod ramiona ściskając ją mocno.

– O Boże, Boże, nikt się nade mną nie ulituje? – zaczęła jęczeć straszonym głosem. – Ja wyznam, wszystko, wszystko, tak, że cały majątek Rodrigandów odzyskacie!

– Ten majątek nie jest nasz! Nie chcemy go! Ciągnijcie, raz...

Poczęła rzucać rękami i nogami.

– Ja nie chcę, nie chcę; ja chcę żyć, nie chcę umierać! – krzyczała donośnie.

– Dwa... – komenderował ze spokojem wódz.

Przyczołgała się do niego i silnie chwyciła go za nogi wołając:

– I ty zginiesz ze mną, nie puszcę cię okrutniku!

– Trzy... – zabrzmiał jego głos.

Odrzucił ją od siebie; w tej chwili dwóch Indian pociągnęło silnie łąso... straszliwy, przerażający krzyk rozdarł powietrze.

Józefa straciła grunt pod nogami i została uniesiona w górę.

Wszystkie paszcze skierowały się w jej stronę, lecz nie zdążyły jej dosięgnąć. Mistekowie pociągnęli ponownie, zawisa tuż nad łbami gadów kołysząc się z początku w wielkich, potem coraz mniejszych kołach nad taflą wody, dopóki nie zawisa spokojnie tuż nad ich rozdzielonymi paszczami... Gady poczęły swój taniec. Woda zapieniała się od uderzeń ogonów. Z nad zbitej masy widać było dzikie podskoki i szaloną walkę bestii.

Helmer dotychczas przyglądał się w milczeniu.

– Poczekajcie! – odezwał się wreszcie – Straciła przytomność.

– Mamy ją zanurzyć w stawie? Zaraz przyjdzie do siebie, jak dam się jej napić wody – zawołał jeden z trzymających Misteków.

– Nie – odpowiedział Bawole Czoło. – Krokodyle te natychmiast by się nią zajęły, a ona nie może umrzeć.

– Mamy ją tak zostawić, dopóki nie dojdzie do siebie?

– Tak. Przywiążcie łąso do pnia, by nie trzeba jej było trzymać przez cały czas.

Wszyscy usiedli na trawie, czekając na chwilę przytomności Józefy.

Powierzchnia wody błyszczała silnie od promieni słońca padających na nią, był to tak silny blask, że nie można było na niego długo patrzeć, zbyt oślepiął. Bawole Czoło spojrział nieco w bok i w tej sekundzie padł na ziemię.

– *Uff!* – zawołał półgłosem.

Piorunowy Grot, jako doświadczony myśliwy natychmiast pojął całą sytuację. W mgnieniu oka również padł na ziemię jak długi.

– Co się dzieje? – spytał szeptem.

– Indianin – odparł Bawole Czoło.

– Gdzie?

– Tam, pod wielkim cyprysem.

Oczy wszystkich skierowały się w tym kierunku. Rzeczywiście było widać jakiegoś Indianina stojącego spokojnie, ale nie był już sam, towarzyszył mu jeszcze jeden, widocznie nie zauważyli jeszcze Misteków.

– Podciągnijcie ciało wiszącej w górę, aby zakryły ją liście – odezwał się Bawole Czoło. – Nie chcę, aby ją spostrzegli.

– Może spuścimy ją na ziemię? – spytał jeden z Misteków.

– Nie, musielibyście wejść na drzewo, a to na pewno by zauważyli.

Podciągnęli Józefę w górę, w tej samej chwili pod cyprysem zjawił się trzeci Indianin.

– Zdaje się, że jest ich więcej – powiedział Piorunowy Grot. – Tylko nie mogę rozpoznać, do jakiego szczepu należą. To może stanowić dla nas pewne niebezpieczeństwo, muszę podejść do nich bliżej.

– Sam jeden? – spytał Bawole Czoło. – Dwóch więcej zdziała, idę z moim bratem. On pojdzie ich z prawej strony stawu, ja z lewej. Spotkamy się z nimi.

- A nasi ludzie, co z nimi?
- Poczekają tu dopóki nie wrócimy.

Mistekowie natychmiast położyli się w wysokiej trawie, która zakrywała ich całkowicie, podczas gdy Bawole Czoło i Piorunowy Grot poczołgali się w stronę nieproszonych gości.

Gdyby przeczuwali co za przeciwnika mieli przed, a właściwie za sobą, inaczej by postępowali.

Poprzedniej nocy, pomimo ciemności od północy w stronę hacjendy zbliżało się dwóch jeźdźców. W małej dolince, niedaleko zabudowań jeden z nich zatrzymał konia i rzekł:

– Tutaj będziemy musieli zaczekać.

– Dlaczego, senior Pirnero? – spytał drugi.

– Bo nie wiemy jak wygląda sytuacja w hacjendzie. Juarez już ruszył, Francuzi kręcą się tam także, więc nie można wiedzieć kogo tam zastaniemy, przyjaciół czy wrogów. Musimy czekać aż do rana i wtedy przekonamy się jak sprawy stoją.

– W takim razie nie wolno zapalać ogniska. Co z pańskimi oczami, bołą jeszcze?

– O nie. Pańskie ziele sprawiło cuda. Wprawdzie jednego mi brak, ale za to drugim widzę tak dobrze jak przedtem.

– To mnie cieszy, a więc zsiądźmy z koni i zaczekajmy do rana.

Przywiązali wierzchowce do krzaków, sami zaś rozłożyli się w trawie, znużeni bardzo podróżą zaniechali dalszej rozmowy.

Około pomocy nie słysząc nic podejrzanego ukołysani ciszą rzeczywiście chcieli się przespać, gdy nagle rozległ się jakiś silny tętent.

– Kto tu może przybywać? – rzekł ten, którego drugi tytułował Pirnero. – Posłuchaj, nadjeżdża ktoś jeszcze.

Chwycili za broń, nagle zauważyli, że jeden z jeźdźców zatrzymuje konia i woła za siebie:

– Kto nadjeżdża?

– A kto wola?

– Taki jeden, co posyła kulkę, jeśli nie otrzyma odpowiedzi.

– Oho, ja też ma strzelbę.

Słychać było naciąganie kurków.

– Odpowiadaj! – krzyknął ten pierwszy. – Podaj przynajmniej hasło!

– Hasło? – zapytał ten z tyłu. – Jeśli wspominasz hasło, to musisz być cywilizowanym człowiekiem, zresztą mówisz po hiszpańsku jak biali. Należałeś do załogi del Erina?

– Tak.

– Jesteś pewnie jednym z *vaqueros*?

– Nie, byłem w służbie u seniora Kortejo.

– Do diabła, to jesteśmy kamratami.

– Tobie też się udało uciec?

– Dzięki Bogu, tak.

– W takim razie nie potrzebujemy na siebie nastawać, możemy się nawet połączyć.

– Naturalnie, chodź do mnie.

Rozmowy tej z największą uwagą słuchano w wąwozie, po czym jeden z siedzących tam, podszedł do uciekinierów z tymi słowami:

– Proszę, nie przestraszcie się tylko! Jesteśmy nastawieni przyjacielsko.

– Do stu piorunów? – szepnął jeden. – Co gadacie? To przecież ludzie, tego durnego Korteja.

Obaj Meksykanki stanęli w pierwszej chwili jak rażeni piorunem, dopiero po jakimś czasie jeden z nich spytał:

- Coście za jedni? Także uciekinierzy?
 - Nie.
 - No cóż, to musimy być ostrożni. Ilu was jest?
 - Dwóch.
 - Chyba żartujecie, skąd przybywacie?
 - Od rzeki Rio Grandę del Norte.
 - A gdzie zmierzacie?
 - Do hacjendy del Erina.
 - Do kogo?
 - Do mojej córki i do was.
 - Do córki? Kim jesteście?
 - Nie poznajecie mnie po głosie? Ja jestem Kortejo.
 - Bzdura! – szepnął jego towarzysz. – Ta gra przestaje być zabawna.
 - Kortejo? – spytał Meksykanin – Nie opowiadajcie takich niedorzeczności. Kortejo nie będzie powracał tylko z jednym człowiekiem.
 - Ale tak właśnie jest! Zaraz zobaczycie. Przyjdę do was.
 - Ale sam. Trzymam strzelbę gotową do strzału.
- Uciekinierzy połączyli się i bacznie nasłuchiwali zbliżających się kroków. Poznali, że rzeczywiście idzie tylko jeden człowiek, więc się nieco uspokoili. Kortejo podszedł i zatrzymując się w bezpiecznej odległości powiedział:
- Ma któryś z was przy sobie zapalki? Ja przybywam z dzikiej puszczy, więc cierpię na ich brak.
 - Zapalki? Do czego? – spytał jeden Meksykanin.
 - Abyście przy świetle mogli mnie obejrzeć i rozpoznać.
 - Jeśli tak, to dobrze. Zbliź tutaj swoją twarz.
- Sięgnął do kieszeni. Wkrótce potem błysnął słaby płomień i oświetli twarz Korteja.
- Do diabła! – zawołał. – To naprawdę wy, senior Kortejo. Gdzie macie pozostałych.
 - O tym dowiecie się później. Powiedzcie mi najpierw, co się stało w hacjendzie, że musieliście uciekać.
 - Jesteśmy dosyć daleko od hacjendy, więc nie mamy się chyba czego obawiać. Może uda nam się spotkać jeszcze kilku naszych.
- Obaj Meksykanie zsiadli z koni.
- Chodźcie ze mną do wąwozu – rzekł Kortejo. – Tam możemy się dobrze ukryć. Nawet, gdyby jeszcze któryś z naszych uciekł to i tak będzie musiał przejeżdżać koło nas, więc wtedy go przywołamy.
- Podeszli do towarzysza Korteja. Ten dotychczas w milczeniu przysłuchiwał się ich rozmowie. Gdy się zbliżyli położył rękę na ramieniu Korteja i spytał:
- Senior, to prawda? Nazywacie się Kortejo?
 - Tak, prawda – odrzekł.
 - Nie Pirnero?
 - Nie.
 - I nie przyszedł pan z fortu Guadalupe?
 - Nie, przyjacielu.
 - Nie nazywajcie mnie przyjacielem. Zawiedliście mnie i okłamaliście, więc o przyjaźni nie może być mowy.
 - Nie denerwujcie się zbytecznie – odezwał się Kortejo, chcąc go uspokoić. – Zmuszony byłem do kłamstwa, nie miałem jednak złego zamiaru.
 - Podczas podróży nie raz słyszeliście jakie mam o was zdanie.

– To prawda, właśnie dlatego ukrywałem przed wami moje prawdziwe nazwisko. Pomimo tego, chętnie wypełnię to, co wam obiecałem, bo rzeczywiście wyświadczyłeś mi wielką przysługę.

Myśliwy Grandeprise zamilkł na chwilę, chcąc widocznie opanować swoją złość, po czym rozważywszy wszystkie za i przeciw odezwał się:

– Wprawdzie nie zwykłem wierzyć nikomu, kto mnie raz okłamał, mimo tego muszę was spytać raz jeszcze, czy to prawda, że znacie Henryka Landolę?

– To prawda – odpowiedział Kortejo.

– Czy tym razem mówicie prawdę?

– Tak.

– I to prawda, że macie się z nim spotkać?

– Naturalnie.

– Moglibyście na to przysiąc?

– Przysięgam, że to prawda.

– Dobrze, w takim razie daruję wam wszystko inne. Potrzebowaliście pomocy, więc pospieszyłem z nią, bo jesteście człowiekiem. Wasze położenie było godne politowania, musieliście się ratować, a więc nie mogę brać wam tego za złe, że mnie okłamaliście. Teraz jednak oczekuję, że dotrzymacie przyrzeczenia.

– Macie na myśli zapłatę?

– To nie jest najważniejsze, muszę dostać Landolę.

– Dostaniecie go. Oto moja ręka!

Amerykanin ujął ją i na znak zgody potrząsnął zamaszycie.

– No to sprawa załatwiona – powiedział. – Nie jestem waszym politycznym sprzymierzeńcem i co do tego nie możecie na mnie liczyć, ale co do waszych osobistych spraw, będę wam pomagał i zostanę aż do czasu, gdy uda mi się schwycić Landolę.

– Senior Kortejo, co to za człowiek? – spytał jeden z nowoprzybyłych Meksykanów.

– Myśliwy ze Stanów Zjednoczonych – odparł Kortejo.

– Jak się nazywa?

– Grandeprise.

– Grandeprise, ach! Znam go. Szkoda, że jest tak ciemno.

– Znacie mnie? – spytał myśliwy. – Skąd?

– Mój stryj opowiadał mi o was. Znacie ojca Hilario?

– Ojca Hilario? Tego, który najpierw był w klasztorze della Barbara, w Santa Jaga?

– Tak.

– Czy go znam? On mi przecież uratował życie.

– Tak. Byliście wówczas w podróży, czy na polowaniu i przybyliście do Santa Jaga w opłakanym stanie.

– Poczęła trzepać mną febra. Ojciec Hilario zlitował się nade mną, przygotował mi lekarstwo i pielęgnował. Bez jego pomocy umarłbym. Jeżeli jesteście jego bratankiem, to musimy zostać przyjaciółmi. Oto moja ręka.

W tej chwili dał się słyszeć tętent kilku koni. Może z dziesięciu jeźdźców zbliżało się do wąwozu.

– Co za ohydna droga! – zawołał jeden z nich – Kark sobie można skrócić.

– To i tak lepsze niż dać się złapać Indianom, straciłbyś wtedy skalp – powiedział drugi.

Z rozmowy tej Kortejo poznał, że i ci ludzie musieli należeć do jego załogi, dlatego zawołał:

– Czekać! Stójcie! Tu jest nas więcej.

W jednej chwili jeźdźcy zatrzymali konie, słychać było jak przygotowują broń.

– Kto tam? – spytał jeden z nich.

– Ja tu jestem! – odparł bratanek ojca Hilario.

– Ach, to ty Manfredo! Poznają cię po głosie. Ilu was jest?

- Czterech! Senior Kortejo jest z nami.
- Senior Kortejo? Czy to możliwe?
- Tak. Właśnie zamierzał wrócić do hacjendy, gdy go spotkaliśmy. Zsiądźcie z koni i chodźcie do nas.
- Zrobili jak im radził. Konie przywiązali do kołków, sami zaś weszli do wąwozu. Tych dziesięciu spotkało się także przypadkiem. Wspólnie uradzili, że udadzą się na północ, bo wiedzieli, że tam właśnie jest Kortejo z resztą wojska, liczyli, iż się spotkają.
- Ale na Boga, co się stało? – spytał Kortejo.
- Hacjenda została napadnięta – odpowiedzieli.
- Przez kogo? Przez Indian? Czy dobrze słyszałem?
- Tak.
- A wy uciekacie, zamiast się bronić i walczyć?
- Co? Może nie walczyliśmy? Broniliśmy się ile tylko sił nam stało, ale przeciw takiej sile nie można było nic zdziałać.
- Czyli, że zajęli już hacjendę?
- Niestety.
- Ilu ich było?
- Kto zliczyłby tych diabłów. Musiało być ich przeszło tysiąc.
- Mój Boże? A gdzie moja córka?
- Kto to może wiedzieć.
- Wy nie wiecie? – spytał Kortejo z przerażeniem. – Musieliście ją przecież widzieć.
- To nie było możliwe. Czerwone psy napadły na nas tak niespodziewanie, że na nic nie było czasu.
- Co za nieszczęście! Co to byli za Indianie? Może Apacze?
- O nie, słyszałem jak jeden z nich nazywał się Misteką. Nie byli ubrani jak zwyczajni Indianie.
- Muszę wiedzieć co się stało z moją córką. Inaczej nie mogę opuścić tej okolicy.
- Uspokójcie się senior! – odezwał się Grandepriese. – Mistekowie nie są tak straszni jak Apacze czy Komancze. Miałem sposobność ich poznać. Kobiet nie zabijają.
- To mnie pociesza, ale mimo tego muszę się dowiedzieć, jaki los ją spotkał.
- To zupełnie naturalnie, że chcecie się dowiedzieć co spotkało córkę.
- Ale jak? Sam nie mogę, a żaden z moich nie śmie pokazać się w hacjendzie?
- Pozostawcie to na mojej głowie. Ja potrafię podsłuchiwać. W razie potrzeby udam się jutro do hacjendy. Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, czemu Mistekowie napadli na hacjendę.
- Kto to może wiedzieć! – powiedział jeden z uciekinierów.
- Musieli mieć przecież jakiś powód. Nie zauważyliście przedtem czegoś niezwykłego?
- Zauważyliśmy.
- Co takiego?
- Wczoraj o północy, na jednej z pobliskich gór błysnął ogromny płomień.
- To mógł być przypadek.
- O nie, to musiał być znak, bo zaraz potem, na rozmaitych górach zabłysły podobne płomienie.
- Naokoło?
- Tak.
- W takim razie rzeczywiście musiał to być znak. Myślę, że Mistekowie zwołali się, aby was senior Kortejo, jako wroga Juareza wyrzucić z kraju. To jednak musiało być przez kogoś obmyślane. Ciekawy jestem kto był ich dowódcą?
- Nie mieliśmy czasu zauważyć tego.
- Nie było z nimi żadnego białego?

- Nawet dwóch.
- Naprawdę? Może uda nam się zgadnąć co to byli za ludzie?
- Nikt z nas nie wie. Przybyli na koniach i zsiadłszy z nich weszli do pomieszczenia strażników mówiąc, że chcą się zobaczyć z senioritą Józefą.
- Pozwoliliście na to?
- O nie. Strażnik nie chciał im na to pozwolić, ale jeden z nich uderzył pięścią wachmistrza tak, że padł na ziemię, po czym obaj wyszli i udali się na górę.
- Co było potem?
- Potem... potem dał się słyszeć u seniority strzał, po czym natychmiast usłyszeliśmy wycie czerwonych diabłów, którzy ze wszystkich stron spadli nam na karki.
- Ilu was było w wartowni?
- Może dwudziestu, a może i więcej.
- Czyli, że przeszło dwudziestu? – spytał Grandepriise ze zdziwieniem i odcieniem pogardy.
- I tych dwudziestu pozwoliło obalić pięścią swego wachmistrza?
- Co mieliśmy robić?
- Obalić jego samego.
- Ha! Powinniście go zobaczyć. Nie powiedział nam kim jest. Wszedł do środka i zachowywał się jakby był sprzymierzeńcem seniora Kortejo, albo jego wysłannikiem. Zamiast prośby rozkazywał.
- Jeżeli się nie mylę, to prawo do rozkazywania na hacjendzie ma tylko senior Kortejo.
- To prawda, ale kilku myślało, że to Pantera Południa.
- Tak, ten rzeczywiście jest sprzymierzeńcem seniora, ale przecież sami mówiliście, że to był biały.
- Tak.
- A Pantera Południa jest Indianinem.
- W takiej chwili nikt o tym nie pomyślał.
- Opowiedzieli mu wszystko w miarę dokładnie. Grandepriise słuchał uważnie po czym potrząsnął głową w zamyśleniu i rzekł:
- Takiego mężczyznę, tak silnie zbudowanego z taką samą długą brodą i w takim stroju, widziałem razem z Juarezem nad Rio Sabinas. Ciekawy jestem, czy to ten sam?
- Kto to był – spytał Kortejo.
- Tego nie wiem, ale Juarez wielce go poważał.
- Powiedziałaś, że w pokoju mojej córki rozległ się strzał? – spytał Kortejo.
- Tak.
- Święta Panienko! Zastrzeli ją.
- Wątpię – odparł Grandepriise. – Czy to prawda, że zaraz po strzale zaczął się atak?
- Tak jest.
- Czyli, że strzał ten był sygnałem do rozpoczęcia walki. Możecie być spokojni o waszą córkę.
- Ale na pewno musieli ją uwięzić!
- To prawdopodobne.
- Musimy ją uwolnić.
- Naturalnie, pomogę wam.
- A czy nie byłoby dobrze już teraz podjąć odpowiednie kroki?
- Hm! – mruknął strzelec. – To niebezpieczne. Co za kroki, macie senior na myśli?
- Ja tego nie wiem, ale jeżeli się nie mylę, to powiedzieliście, że znacie się na sztuce podsłuchiwania?
- Tak powiedziałem, ale podejrzewam, że cała hacjenda pilnowana jest przez setki Indian.
- Jutro też będzie strzeżona, a w nocy łatwiej się podkraść niż w dzień.

– To wasze zdanie. Teraz Indianie przeszukują całą okolicę szukając zbiegów. Gdyby mnie złapali uważaliby za jednego z waszych i powiesili bez sądu. Jutro to co innego. Mogę w ciągu dnia udać się tam zupełnie otwarcie i powiedzieć, że jestem Amerykaninem.

– Ale wiele złego może się zdarzyć do tego czasu.

– To prawda – odrzekł Grandepriise z namysłem.

– Senior Grandepriise, ja was błagam, czyńcie i działajcie o ile możliwe jak najprędzej.

– To bardzo niebezpieczna sprawa! W którym kierunku leży hacjenda?

– Tam, prosto – powiedział jeden z uciekinierów.

– Jak długo trzeba tam iść?

– Pół godziny.

– No cóż, odważę się i pójdę zaraz.

– Dziękuję wam! – rzekł Kortejo. – Nie pożałujecie tego, że dla mnie i mojej córki narażacie się na niebezpieczeństwo.

– Mam nadzieję, że dotrzycie senior słowa. Przypominam wam Henryka Landolę. Ale, ale w tej ciemności trudno mi będzie trafić z powrotem. Znacie głos meksykańskiej żaby?

– Znamy.

– Kto z was potrafi naśladować ten głos?

– Ja potrafię – odpowiedział któryś z uciekinierów.

– Dobrze. Jeżeli nie dałbym rady odnaleźć tego wąwozu wydam z siebie taki sam głos, a ty mi wtedy odpowiesz. W nocy słycać go daleko, więc nie będę musiał długo błądzić.

– Kiedy wrócicie?

– Tego nie wiem. Może i nie wrócę, bo jak mnie złapią, to nie wypuszczą już ze swych szponów żywym.

– Święta Madonno, nie pozwól na to.

– Jeżeli nie wrócę do rana nie troszczcie się o mnie i radźcie sobie jak możecie. Konia mego zostawię tutaj. Zachowujcie się spokojnie, by Mistekowie was nie znaleźli. A teraz, do widzenia!

Zuchwały strzelec zniknął w ciemnościach.

Wprawdzie powiedział, że nie jest i nie zostanie stronnikiem Korteja, ale gdyby znał wszystkie jego sprawy z pewnością ani palcem by nie ruszył w jego interesie i nie narażałby życia dla córki człowieka o takiej przeszłości.

Jak tylko zniknął pozostali rozłożyli się w trawie opowiadając sobie swoje wzajemne przeżycia i przygody, naturalnie zażądali też od Korteja, by im opowiedział swoje dzieje.

Nie były one dla niego korzystne, gdyby się zdradził, że owa wyprawa do rzeki Rio Grande del Norte spełzała na niczym i że wszystkich jego kompanów wymordowano, mógłby się pozbyć reszty stronników, dlatego postanowił kłamać. Opowiedział im, że ich towarzysze pozostali ukryci w zaroślach i czatują na transport, który znacznie się opóźnił i nadejdzie dopiero po kilku dniach. Sam chciał tymczasem przybyć do hacjendy, lecz na nieszczęście wpadł po drodze w ręce Apaczów, którzy go tak fatalnie zranili i pozbawili oka.

Słuchali go bez cienia podejrzenia.

– Ale co teraz zrobimy? – spytał jeden z nich. – Hacjenda przepadła.

– Jeszcze nie całkiem – odparł Kortejo. – Musiało się przecież więcej was uratować.

– Raczej nie. Kto w pierwszej chwili nie uszedł, niezawodnie pozostał w szponach czerwonoskórych.

– No zobaczymy. Tymczasem nie traćmy nadziei. Z brzaskiem dnia dowiemy się czy jesteśmy tylko my. Jeżeli uratowały się jeszcze inni, poścągamy ich tutaj.

– I co z tego, wtedy też nie damy rady odbić hacjendy.

– Dlaczego nie?

– Bo będziemy za słabi.

– Myślisz, że tysiąc Misteków będzie tutaj siedzieć cały czas?

- Naturalnie, jeżeli to prawda co ten Amerykanin powiedział, że przeszli na stronę Juareza, to zostaną tutaj.
- W krótkim czasie nasze siły też się wzmocnią.
- W jaki sposób?
- Moi agenci ciągle werbują, ma nadejść nowy transport z południa. Przyciągniemy go do nas.
- Oni nas nie znajdą.
- Też tak sobie pomyślałem – odezwał się Manfredo. – Zapewne poleżą wprost w pazury Misteków, bo będą myśleli, że jesteśmy w hacjendzie.
- Przeszkodzimy temu, przechwytując ich po drodze.
- Gdzie?
- Musimy sobie znaleźć stosowne miejsce.
- Może jakiś dom?
- Nie, to zbyt niebezpieczne.
- Chcecie byśmy koczowali w lesie, jak jacyś rabusie?
- W pierwszych dniach nie pozostaje nam nic innego. Dopiero jak wzmocnimy siły, zajmujemy jakieś małe miasteczko, albo wygonimy Misteków z hacjendy.
- Ja mam lepszy pomysł – odezwał się Manfredo.
- Jaki?
- Przecież klasztor della Barbara leży na naszej drodze.
- Tak, na drodze, ale całe miasteczko Santa Jaga jest republikańskie, wszyscy mieszkańcy to stronnicy Juareza.
- Co nas to obchodzi, senior?
- Obchodzi i to bardzo. Wyrzucą nas stamtąd, albo co gorsze połapią i wydadzą w ręce Juareza.
- Gdybyśmy liczyli na mieszkańców, to rzeczywiście nic innego nie moglibyśmy się spodziewać, ale klasztor leży obok miasta.
- Co nam to daje?
- Nie musimy w ogóle wjeżdżać do miasteczka, ukryjemy się w klasztorze, tak że nikt nas nawet nie zobaczy.
- To niemożliwe.
- Dlaczego, przecież słyszeliście, że mój stryj, ojciec Hilario mieszka w tym klasztorze?
- Myślisz, że zechce na pomoc?
- Naturalnie.
- A z jaką partią trzyma?
- Z każdą, która jest przeciwko Juarezowi. Juarez skonfiskował cały majątek klasztorny i chciał także zlikwidować szpital. Był tam również zakon żeński. Wiele znacznych rodów posłało tam swoje córki na wychowanie lub w służbę Bogu. Tymczasem przybywa Juarez i oznajmia, że dzieją się tam niecne rzeczy i likwiduje klasztory, żeński i męski. Jeden z budynków przeznaczył na szpital, drugi na dom dla obłąkanych. Czy wolno mu było tak samowolnie postępować?
- Kortejo zaśmiał się mówiąc:
- Masz rację, stąd wzięła się niechęć twego stryja do Juareza?
- Tak. Mój stryj był opatem, piastował więc znaczną godność, a teraz został tylko pomocnikiem lekarza w szpitalu; naturalnie nienawidzi Juareza, więc z ochotą przyjmie nas do siebie.
- A co powiedzą na to inni, dajmy na to jego przełożeni?
- O tych nie mamy się co troszczyć. Zresztą nie zauważą nawet naszej obecności w klasztorze.
- Jak to? Przecież musimy tam zajechać i ulokować się, muszą nas więc widzieć?

– O nie, nie zobaczą nas. Tam jest tyle tajemnych korytarzy, izb i krużganków, że dostawszy się tam raz, możemy być pewni, że nas nawet sam diabeł nie znajdzie.

– Nie znają tych tajnych pomieszczeń?

– O nie. Tylko mój stryj je zna. Inni braciszczowie rozproszyli się na wszystkie wiatry, jeden jedyny ojciec Hilario dostał pozwolenie na pozostanie tam, że dobrze zna się na sztuce medycznej.

– To rzeczywiście byłoby dla nas bardzo korzystne. Muszę to dokładnie rozważyć. Teraz jednak zaprzestaśmy już rozmów i połóżmy się spać. Nie wiadomo co nam przyniesie jutro, może znowu będziemy musieli narażać się na trudy, a więc lepiej odpocząć dzisiaj. Możecie spać wszyscy, ja sam będę czuwał.

Zapanowała głęboka cisza. Konie także zachowywały się spokojnie. Przechodzący obok wąwozu nie domyśliłby się nawet, że w środku ukrywa się trzynastu mężczyzn, którzy cudem uszli śmierci, a już knują nowe, szelmowskie plany.

Wkrótce wszyscy zapadli w głęboki sen, oprócz Korteja, który kręcił się niespokojnie z boku na bok. Zamiast spodziewanej zdobyczy, nad rzeką Rio Grande wyniszczył siły i pozbył się oka. Przybył do domu spodziewając się zastać w nim swoich i w zaciśniętym do zdrowia, a tu dowiaduje się, że hacjenda zajęta, a jego jedyna córka znajduje się w ręku wroga.

Wyrzucony z kraju, zniechęcony przez rzeszę, sam nie wiedział gdzie się ukryć. Zamiast dać sobie spokój, począł knuć złowrogie plany, przysięgając straszliwą zemstę.

Na wschodzie niebo poczęło się nieco różowić. Wkrótce z ciemności miała się wytoczyć wielka, ognista kula. Kortejo na poważnie zaczął się niepokoić o Grandepresa. Nagle, jakiś drobny kamyczek począł się toczyć tuż przy wejściu do wąwozu.

Kortejo podskoczył i łapiąc za broń zawołał półgłosem:

– Kto tam?

– Przyjaciół – odparł przyciszony głos.

– Kto taki?

– Grandepresa.

– Dzięki Bogu!

Słowa te wypowiedział Kortejo z głębokim westchnieniem, widać było, że szarpała nim niepewność i troska. Wszyscy pobudzili się i podnieśli, myśliwy wszedł do środka.

– No, jak wam poszło? – spytał Kortejo.

– Dostaliśmy dobrze! – odrzekł Amerykanin.

– Macie jakieś wiadomości?

– Wasza córka żyje.

– Ach, co za szczęście! Jak się o tym dowiedzieliście?

– Podśledziłem ich, ale dowiedziałem się jeszcze innych, ważnych rzeczy.

– Najważniejsze dla mnie, że moja córka żyje. Będziemy ją mogli uratować.

– To nie jest takie pewne, senior.

– Musimy ją uwolnić, choćbym miał poświęcić swoje życie, a wy przyrzekliście mi, że mi w tym pomożecie.

– Hm, – chrząknął strzelec i odparł powoli – Nie wiedziałem, że przeciw sobie będziemy mieli takich sławnych wojowników.

– Sławnych? Tych Misteków?

– Gdyby tylko to, ale wiecie, kto nimi dowodzi?

– Zapewne jakiś wódz.

– Tak, ale ten wódz jest więcej wart, niż dziesięciu innych, przewyższa odwagą i walecznością niejednego meksykańskiego generała.

– Nie znam żadnego takiego wodza.

– Nie? Czyżby pan nie słyszał o Bawolim Czoło?

– Bawole Czoło? Przecież on nie żyje!

- Żyje i przebywa w hacjendzie.
- To niemożliwe, to pomyłka! Ten człowiek zginął już blisko dwadzieścia lat temu.
- Tak wszyscy sądzili, ale bardzo się pomylili. Sam nie raz słyszałem o mm najrozmaitsza historie, ale opowiadano mi zawsze, jak o nieboszczyku. Tymczasem dzisiaj zjawia się nagle, w hacjendzie. To on rozniecił ten ogień na górze i zwołał swoich wojowników, aby pomogli mu zająć hacjendę. Zresztą muszę wam powiedzieć senior, że wiele rzeczy przede mną zatailiście.
- Tak, a co?
- Nie wyjawiliście mi wielu szczegółów. Gdybym wcześniej wiedział o tym, nie pomagałbym wam, nawet ręki bym wam nie podał!
- Co chcecie przez to powiedzieć?
- To wy pojмалиście seniora Arbelleza.
- Pozornie.
- Pozornie? Przecież kazaliście go bić dopóki nie zemdłał, a potem został wrzucony do piwnicy i skazany na śmierć głodową?
- Okłamali was.
- Kto miałby mnie okłamać, kiedy nikt nie miał pojęcia o tym, że ich podsłuchiwałem. Ową pocziwą Marię Hermoyes, która mnie wówczas tak gościnnie przyjęła, także wpakowaliście do piwnicy.
- To zwykła ostrożność z mojej strony.
- Co za ostrożność? Dlaczego właściwie zabraliście hacjendę seniorowi Arbellezowi?
- Bo prawnie mnie się należy. Sfałszował dokumenty i na mocy tego chciał udowodnić, że hrabia Rodriganda darował mu ją i to on jest spadkobiercą hrabiego.
- Ale co was to mogło obchodzić? Czy hrabia was ustanowił dziedzicem? Mogliście oddać sprawę do sądu, a nie działać samowolnie, bo to gwałt, za jaki sami możecie być pociągnięci do odpowiedzialności.
- Kortejo odparł zniecierpliwiony:
- Bardzo często zdarza się podsłuchującemu, tak jak i wam, że słyszy coś niedokładnie. Pomyliliście się w tej sprawie, tak jak i z tym, że Bawole Czoło jest w hacjendzie.
- Przecież go widziałem.
- Bawole Czoło?
- Tak.
- Musiał to być ktoś inny – odparł Kortejo z drwiącym uśmiechem.
- Nie, to był on.
- Był to może ktoś inny, ktoś kto przybrał jego imię.
- Nie, to był sam Bawole Czoło, bo widziałem go razem z drugim, który także podobno wtedy zaginał.
- Korteja twarz zmarszczyła się i bez zwykłej pewności w głosie zapytał:
- Kto to mógł być?
- Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów!
- Bzdura!
- Myślcie sobie co chcecie, a ja wam powiadam, że jeżeli coś widzę na własne oczy, tego nikt nie śmie podważać.
- Naprawdę widzieliście Niedźwiedzie Serce?
- Tak jest.
- Znał go pan przedtem?
- Bardzo dobrze. Spotkałem go w górach Sierra Varana, razem z Piorunowym Grottem, niemieckim myśliwym, który właściwie nazywa się Helmer.
- Piorunowy Grot? Helmer? Tego także pan znał?
- Tak i dlatego dzisiaj go rozpoznałem.

– Rozpoznał pan? Jak to?

– Także był w hacjendzie.

– Chcecie bym uwierzył w to, że nieżywi zmartwychwstają?

– O nie. Dzisiaj dowiedziałem się tylko, że ci którzy byli powszechnie uważani za zaginionych, w rzeczywistości żyją.

– Niedźwiedzie Serce, Bawole Czoło i Piorunowy Grot z całą pewnością nie żyją, wiem to.

– Skąd?

– Od kogoś, kto był świadkiem ich śmierci.

– Dajcie temu świadkowi po pysku, jak go tylko zobaczycie, bo solidnie nałgał. Nie zapominam twarzy ludzi, których choć raz widziałem. Ów Sternau, którego nazywają Księżę Skał, w ogóle się nie zmienił, od razu go poznałem.

Dziwna trwoga ścisnęła Korteja za gardło.

– Sternau? – spytał.

– Tak.

– Przecież on też nie żyje.

– Żyje! Widziałem go, stał w drzwiach hacjendy.

– Znaliście go?

– Nie, ale mi go dokładnie opisano. To ten sam, co pięścią powalił wachmistrza na ziemię i ten sam olbrzym, którego widziałem przy Juarezie.

– Mówicie o rzeczach, o których nawet nie śnię. Opowiedzcie mi wszystko dokładnie.

– Podkrałem się szczęśliwie do hacjendy pomimo tego, że małe oddziały Misteków szukały zbiegów. Doszedłem aż do ogrodzenia i siedzących wewnątrz wrogów.

– Co za szalona odwaga! – zawołał jeden Meksykanin.

– To nie jest takie straszne, jak się zdaje. Jak tylko ujrzałem lub usłyszałem, że ktoś się zbliża, rozciągałem się na ziemi jak długi i udawałem nieżywego. Ponieważ było tam wystarczająco dużo trupów, więc na jeszcze jednego nikt nie zwracał uwagi. Leżąc tak przy ogrodzeniu podsłuchiwałem rozmowę. W pierwszym rzędzie dowiedziałem się, że Księżę Skał, Piorunowy Grot, Niedźwiedzie Serce i Bawole Czoło znajdują się w środku. Widziałem ich nawet wszystkich, bo na podwórzu był rozpalony ogień i jasno oświecał całą przestrzeń.

– To jednak rzeczywiście tylko złudzenia! – krzyknął z triumfem Kortejo.

– To święta prawda. Jeżeli chcecie się przekonać, to Sternaua możecie także zobaczyć.

– Gdzie?

– Przy kamieniołomie, gdzieś tutaj w pobliżu, dokładnie jednak nie wiem gdzie.

– Tam jest Sternau?

– Teraz nie, ale zaraz rankiem ma wyruszyć, by pogrzebać tam zmarłych.

– Muszę go zobaczyć.

– Spróbujcie senior Kortejo – odparł myśliwy z odcieniem ironii.

– Będziecie mi towarzyszyć?

– Ja? Ani mi to w głowie. Już teraz narażałem skórę zupełnie niepotrzebnie, w czasie dnia nie zamierzam jednak iść na pewną rzeź.

– Czy to jest tak niebezpieczne?

– Chcecie może podejść tego człowieka? Błagam, nawet tego nie próbujcie!

– W takim razie muszę tego zaniechać.

– Radzę wam szczerze.

– Jesteście rzeczywiście przekonani, że tych czterech mężczyzn żyje i znajdują się obecnie w hacjendzie del Erina?

– Przecież ich widziałem.

Kortejo sam nie wiedział w co ma wierzyć. Jeżeli to była prawda, wówczas Landola oszukał go w okrutny sposób. Jeżeli tak, to zemsta go nie minie, a ci cudem uratowani i tak mają zapi-

sana śmierć. Jedno go tylko niepokoiło, że jego córka znalazła się właśnie w rękach tych wrogów.

– Powiedział pan, że moja córka żyje? – spytał.

– Tak, jest uwięziona.

– A jak się z nią obchodzą?

– Tego nie wiem.

– Zapewne strzegą jej w jej własnym pokoju?

– O nie. Zamknęli ją w piwnicy, w tej samej, w której zamknęła i głodem morzyła Arbelleza.

– O przekleci! Może ona też głoduje?

– Prawdopodobnie.

– Skąd to wszystko wiecie?

– Mistekowie rozmawiali między sobą.

– Ona musi zostać uwolniona. Nie dałoby się teraz czegoś zrobić, senior Grandepriese?

– Nie. Ale jeżeli chcemy coś uczynić, trzeba działać szybko. Słyszałem, że wysłali kilku gońców do Juareza.

– Do diabła! On gotów tu przyjechać!

– Tego, że zjedzie tutaj z całą armią można się spodziewać, a wówczas za późno będzie, by myśleć o ratunku.

– Co robić? Co robić? – biadał zrozpaczony Kortejo.

– Teraz nie można tego rozstrzygnąć. Wstaje dzień. Musimy się lepiej ukryć. Może w czasie dnia najdzie mnie jakaś szczęśliwa myśl. W każdym razie wieczorem znowu pojedę do hacjendy, może się dowiem czegoś nowego. Dopiero wtedy uradzimy, co mamy robić następnego ranka. Dłużej zwlekać nie możemy.

– Pojutrze byłoby za późno?

– Nie domagajcie się, senior Kortejo, rzeczy niemożliwych. Gdybym wam nie podał ręki i nie dał słowa, że będę wam pomagał... to z pewnością obecnie nie wystąpiłbym przeciw tym sławnym i prawym mężom, którym na pewno nie zdołam sprostać i dla których muszę żywić szacunek. Znacie może gdzieś w pobliżu jakąś dobrą kryjówkę?

– Znam.

– Gdzie?

– Na północ od hacjendy ciągnie się las.

– To nie dla nas. Musielibyśmy przejeżdżać koło hacjendy i do tego kołować. Zaraz będzie jasno, więc łatwo mogliby nas dojrzeć wysłani na patrol Mistekowie. Przypominam sobie, że gdy kiedyś tu byłem, to widziałem w pobliżu, na zachodzie górę zarośniętą lasem. Nie znacie jej?

– Macie na myśli górę el Reparo.

– Tam jest przecie las i to na tyle gęsty, że moglibyśmy się w nim ukryć?

– Tak. Chcecie się tam udać?

– To będzie najprostsze. Będziemy dostatecznie oddaleni od hacjendy i na pewno nikt nas tam nie będzie szukał, a do tego będziemy dostatecznie bezpieczni a ja wieczorem znowu będę mógł podkraść się do zabudowań.

– Wyruszamy stąd?

– Oczywiście. Coraz bardziej się rozwidnia, więc siadajmy na konie i dajemy drapaka, aby nikt nas nie zauważył. Ale nie możemy tam jechać bezpośrednio, gdyż łatwo można by było okryć nasze ślady.

Propozycja została wykonana natychmiast. Przybyli do północno-wschodniego stoku i pod zasłoną drzew wdrapali się na górę. Gęste krzaki utrudniały wspinaczkę. Musieli zsiąść z koni, gdyż inaczej nie dotarliby na miejsce.

– Może tutaj się zatrzymamy i ukryjemy? – spytał Kortejo.

Pytanie skierował do Grandepriśa, który swym doświadczeniem przewyższał wszystkich innych, a swoim całym zachowaniem wzbudzał szacunek pozostałych i to właśnie on stał się niekwestionowanym dowódcą. Teraz zapytał:

– Dlaczego tu, senior?

– Bo tu także jesteśmy bezpieczni i nie potrzebujemy się z takim trudem wspinać pod górę.

– Zostańcie gdzie chcecie, ja idę dalej.

– Dlaczego?

– Bo tam jest szerszy widok. Może uda mi się znaleźć miejsce, z którego choć z oddali będzie widać hacjendę.

Był to rzeczywiście ważny powód, więc w milczeniu poczęli się drapać pod górę.

Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie droga prowadziła łagodnie, już na sam wierzchołek. Drzewa były coraz radsze a widok coraz lepszy. Amerykanin popędził naprzód i chciał właśnie wychylić się z lasu, gdy nagle coś go cofnęło do tyłu.

– Co nowego? – spytał postępujący za nim Kortejo.

– Pst! Jacyś jeźdźcy.

– Gdzie?

– Tam, na lewo, właśnie wyjeżdżają z krzaków. Musi tam być jakaś ścieżka. Cofnijcie konie, by nas nie zdradziły. Widzicie tych dwóch na przedzie? – spytał się Korteja.

Ten zbladł jak płótno.

– Widzę – rzekł półgłosem.

– Znacie może któregoś z nich?

– O Boże! Oni rzeczywiście żyją, toż to Bawole Czoło.

– A ten drugi?

– To Helmer!

– Tak jest, to Piorunowy Grot, a dalej... co do diabła, widzę jakąś dziewczynę, którą wiozą ze sobą.

– O Boże! – zawołał Kortejo zapominając o zachowaniu ostrożności. – To Józefa!

– Wasza córka?

– Tak.

– Co za przypadek. Jak to dobrze, że nie zostaliśmy na dole.

– Czego oni tu chcą? Dlaczego wloką ją tutaj, na górę.

– Niedługo się przekonamy. Aha, skręcają na prawo. Podczołgajmy się senior za nimi, przez krzaki.

Zatrzymali się w miejscu, z którego można było oglądać całą scenerię.

– Staw! – szarpnął. – Widzicie go senior, Kortejo?

– Widzę, ale chyba nie chcą jej utopić?

– Myślę, że nie. Żeby ją zgładzić, nie musieliby jechać aż tak daleko, widocznie mają inne zamiary.

Widzieli, jak zsiadli z koni i zdjęli Józefę. Widzieli także, jak rozmawiał z nią Bawole Czoło, po czym zbliżył się do stawu i wydal z siebie głośny, żalony ton. Natychmiast ukazały się krokodyly.

– O Boże, Boże! Teraz już wiem, czego oni tutaj chcą! – jęczał Kortejo drżąc na całym ciele, jak osika.

– Czego? – spytał Grandepriśe.

– Chcą ją rzucić krokodylom na pożarcie.

– Bzdura!

– O nie, to pewne! To ów sławetny staw Misteków, pełen krokodyli.

– Znacie go?

– Znam.

– Ale sami tutaj przecież nie byliście?

- Nie, ale mego bratanka, także chcieli rzucić na pożarcie tym bestiom!
 - Ależ to straszne, wręcz nieludzkie.
 - Widzicie to pochyłe drzewo nad stawem. Przywiązali go tam do jednego konara, by te gady żarły go po kawałku.
 - I co?
 - Nic, udało mu się uwolnić. Widzicie!... Na Boga! Jeden już wspina się na drzewo... ma w rękach lasso!
 - Tak, widzę, ale to nie ma przecież nic wspólnego z waszą córką.
 - Ależ tak, z całą pewnością. Senior, musimy ją ratować!
 - Naturalnie, ale zaczekajmy jeszcze jakiś czas.
 - Potem będzie za późno. Prędko! Prędko!
- Oblicze jego strasznie się wykrzywiło, widać bardzo przeżywał męki, jakie czekały jego córkę.
- Teraz złazi z drzewa, Bawole Czoło odwiązuje swoje lasso, ciekawy jestem, czego oni chcą?
 - Chcą ją powiesić nad stawem, tuż nad paszczami krokodyli – odpowiedział Kortejo. – Jeżeli chcemy ją uratować, to najwyższy czas.
 - Uspokójcie się, senior. Ja nie sądzę, żeby ją naprawdę chcieli dać krokodylom na pożarcie. Popatrzcie, Bawole Czoło nie zakłada jej węzłów na szyję, tylko pod ramiona.
 - To jeszcze gorzej! Chcą, żeby ją te bestie porozrywały żywcem. O Boże!
 - Zapanujcie nad sobą, inaczej zdradzicie i siebie, i nas.
 - Ale ja umieram z trwogi.
 - To nie jest konieczne. Myślę, że się nie mylę, to tylko dla pozorów, wprowadzie straszne dzieło, ale pozorne. Spodziewam się, że się nam uda podczas tego uratować senioritę.
 - Niech niebo sprawi ten cud! O Boże!
- Na szczęście Amerykanin zatkał mu prędko usta, inaczej rzeczywiście zdradziłbym tymi krzykami swoją obecność.
- Było to w tym momencie, kiedy podciągnięta Józefą, zawisła nagle w powietrzu.
- Zważcie na to, gdzie jesteście, inaczej wszystko stracone! – przestrzegał Amerykanin. – To wprowadzie przerażający widok, przyznaję, widzicie jak bestie otwierają swoje paszcze i podskakują, ale seniorita Józefa wisi zbyt wysoko, dosięgnie ją tylko strach. Teraz wisi zupełnie spokojnie, widocznie zemdląca. Chcieli ją tylko przestraszyć.
 - Ratujmy ją, ratujmy na miłość boską!
 - A jak to chcecie zrobić?
 - Powystrzelajmy tych łotrów!
 - To niemożliwe! Przy pierwszym strzale padną na ziemię i ukryją się w trawie, po czym rzeczywiście mogą ją spuścić do wody.
 - No to co mamy robić? Powiedz – prosił przerażony Kortejo.
- Grandeprise wpatrzył się w dal.
- Aha, siadają – rzekł – chcą wygodnie poczekać, kiedy wasza córka odzyska zmysły.
 - To będzie dla nich chwila śmierci. Prędko, spieszmy na ratunek. Proszę, błagam was na wszystko co dla was jest najdroższe.
 - Senior, uspokójcie się – odparł. – Mam już gotowy plan.
 - Bogu dzięki! Co zamierzacie uczynić?
 - Najważniejsze, to wywabić stamtąd Bawole Czoło i Piorunowy Grot, z innymi uporam się bez trudności.
 - Jak zdołamy to zrobić?
 - Ja sam, z dwoma innymi pobiegnę koło wyrębu, aż do tego wysokiego drzewa. Tam się im ukážemy.
 - Co to da?

– Mogę się założyć, nie wiem o co, że ci dwaj Bawole Czoło i Piorunowy Grot, jako najwytrawniejsi, natychmiast nas zobaczą i pójdą w tym kierunku, chcąc nas podejść. My tymczasem cofniemy się do lasu, po czym szybko pospieszymy do stawu i uwolnimy waszą córkę.

– A dziesięciu Misteków zostanie przy niej.

– Musimy ich powystrzelać, nie czynię tego chętnie, ale dałem wam słowo, więc muszę go dotrzymać.

– Zgoda, ale się spieszcie.

– Stójcie! – zawołał Amerykanin. – Zostawmy tu nasze ubrania i ubierzmy się w koce, na modłę indiańską. Kapelusze też możemy zostawić. Podgarniemy włosy do góry i wpleciemy w nie parę liści paproci, z dala będziemy wyglądali jak Indianie. A teraz naprzód. Wy dwaj pójdzicie za mną, reszta pozostanie tutaj i będzie czekała.

Wskazał na dwóch Meksykanów, którzy natychmiast idąc za jego przykładem zrzucili z siebie surduty i odłożyli na bok kapelusze.

– A teraz szybko, za mną.

Pobiegli we wskazanym kierunku. Wkrótce dotarli do umówionego miejsca.

– Stójcie! – rozkazał Grandepri. – Ja wyjdę pierwszy. Potem wy się pokażecie, ale z powagą i powoli, tak jak zwykli to czynić wodzowie Indian. Naturalnie nie wolno nam spoglądać w ich kierunku, pamiętajcie.

Opuścił zarośla i wyszedł na skraj przepaści.

– Zobaczyli mnie! – powiedział do swych towarzyszy – Teraz wy, tylko pojedynczo!

Uczynili jak im rozkazał. Wszyscy trzej zdawali się patrzeć w zupełnie innym kierunku, Grandepri jednak uważnie badał grupę Misteków.

– Wódz i Piorunowy Grot schowali się w trawę – zauważył któryś.

– Senioritę Józefę podciągnęli w górę – dodał następny.

– Już ja ją zdejmę, ręczę za to, pozostawcie to mnie – rzekł myśliwy. – Aha, teraz schowali się i inni.

– Trawa się porusza.

– Gdzie? – spytał Amerykanin.

– Na prawo i na lewo.

– Racja, teraz widzę. Rozdzielili się. Jeden chce nas podejść z tej, a drugi z tamtej strony. Za nami zechcą się połączyć. Znam ten sposób. Może już za dziesięć minut zjawią się tutaj. Tyle czasu potrzebują, by rozeznać nasz ślad. To wystarczy, aby im w tym czasie splatać figla. Teraz pomału cofnijcie się za drzewa – po tych słowach zniknął razem z nimi w zaroślach.

– A teraz galopem, do Korteja! – zawołał.

Ile sił mieli w nogach pędzili z powrotem, Kortejo czekał na nich niecierpliwie.

– Jak poszło? – spytał.

– Dobrze – odrzekł Amerykanin. – A teraz naprzód! Musimy zbliżyć się do Misteków, zastrzelimy ich, ja zaś odwiążę dziewczynę z drzewa...

– Potraficie to uczynić sami? – przerwał mu Kortejo.

– Naturalnie. Potem połapiemy ich konie i jazda na dół, tą samą drogą, którą oni tu przybyli. Wy dwaj pozostaniecie jeszcze chwilę tutaj. Jak tylko zobaczycie, że nasz plan ma szansę, pobiegniecie do naszych i co tchu w płucach pobiegniecie za nami. W ten sposób nie zostanie im ani jeden koń, więc nie będą mogli nas ścigać. Tylko na Boga, żebyście nie zostawili ani jednego konia, gdyż nas zgubicie. A teraz do dzieła, prędko!

Ubrali się szybko, a potem pobiegli na dół. Nie starali się nawet przyciszać kroków, pomimo tego i tak podeszli bardzo blisko Misteków, zanim ci zdolali ich usłyszeć.

Jedna głowa wychyliła się zza trawy i natychmiast rozległ się krzyk:

– Do broni! Nadchodzi nieprzyjaciel!

Jego towarzysze powyskakiwali z trawy niezmiernie zdumieni. Oczekiwali wroga z zupełnie innej strony.

– Ognia i dobrze celować! – zakomenderował Grandepriese.
Dwanaście strzelb huknęło, Mistekowie padli śmiertelnie ranni.

– Dobrze – zawołał Amerykanin. – Teraz co tchu, zabierać ich konie, bo to najważniejsze.

Podczas, gdy Meksykanie łapali konie, Grandepriese wspinał się zrećnie jak wiewiórka na górę, po drzewie. Nawet nie spojrzął na rozdziawione paszcze krokodyli. Sadowiac się na konarze pociągnął Józefę w swoją stronę, jednym cięciem noża przeciął rzemienie, obwinął się nim koło ciała i złapawszy zębami za węzeł, którym obwiązana była dziewczyna, cofnął się i razem z nią zsunął na dół.

– Żyje? – spytał Kortejo, trzymając za uzdę konia.
W tej chwili zabrzmiał jakiś donośny głos podobny do grzmotu.

– Stać rabusie! Z koni!

– Na Boga! To Bawole Czoło! – zawołał Amerykanin. – Prędko, wsiadajcie i za mną, senior!
Czym prędzej wskoczył na wierzchowca wodza Misteków, Kortejo tymczasem dosiadł drugiego, jednak w tym samym momencie huknął strzał. Kula zagwizdała tuż koło uszu myśliwego, trafiła jednak, tego co jechał tuż przed nim. Koń poniósł jeźdźca jeszcze spory kawałek, następnie zrzucił rannego na ziemię.

Inni wraz z Józefą uszli szczęśliwie. Grandepriese gnał na przedzie, za nim jak wiatr pędziła reszta. Zjechawszy z góry skręcili na prawo i pogalopowali co koń wyskoczy, na południe wzdłuż łańcucha gór.

Tak pędzili całą godzinę, w przeciągu której przebyli blisko dwie mile. Wreszcie myśliwy, obok małego strumyka, wstrzymał swego konia, inni za przykładem uczynili to samo. Ostrożnie zsiadł z konia, zdjął dziewczynę i położył ją na trawie.

– To była jazda! – zawołał Kortejo dysząc. – Jak senior, ona żyje jeszcze?
– Żyje – odpowiedział Grandepriese.
– Ale nie rusza się przecież?
– W czasie jazdy otworzyła oczy, ale zaraz na nowo zemdląła. Spróbujmy ją ocucić.
– Mamy na tyle czasu?
– Mamy. Pędziliśmy dość szybko, a zanim Bawole Czoło i Piorunowy Grot dojdą do hacjendy, bo przecież nie mają koni, muszą więc tę drogę przebyć pieszo i zanim ruszy w pościg, my będziemy już daleko za lasem.

Pozostali także zsiadli z koni. Kortejo i Grandepriese uklękli przy Józefie zraszając i nacierając jej skronie zimną wodą. Dopiero po chwili otworzyła oczy. Wzrok jej padł na Korteja.

– Ojcze! Krokodyle! – wyszeptwała.
– Już dobrze moje dziecko – odpowiedział.
– Gdzie oni są?
– Na górze. My jesteśmy daleko od nich.
Dopiero teraz popatrzyła bardziej świadomie.

– *Santa Madonna!* – zawołała. – Gdzie Bawole Czoło?
– Jesteś już bezpieczna – zapewnił ją Kortejo po raz wtóry.
Podniosła się nieco i spojrzała na otoczenie.

– Uratowana? Zastrzeliliście ich?
– Tak.
– Wszystkich? Bawole Czoło i Piorunowego Grota także?
– Tych dwóch niestety nie.
– Muszą zginąć w strasznych męczarniach, taką samą śmiercią, jaką mnie przygotowali.
– Zginą, moje dziecko.
– Kiedy?
– Najpierw musimy myśleć o swoim bezpieczeństwie. Dopiero teraz przypomniała sobie, że ojca nie było w hacjendzie podczas napadu na nią.

– Jak tu przybyłeś? – spytała. – Byłam przekonana, że jesteś nad Rio Grande albo w forcie Guadalupe?

– Co miałbym tam do roboty?

– Ach! Nie otrzymałeś mego listu?

– Nie.

– Tych pięćdziesięciu wojowników, których ci posłałam, nie przybyło do ciebie?

– Nie.

– Teraz sobie przypominam, Sternau miał ten list. Złapał i pomordował naszych ludzi.

– On naprawdę żyje?

– Tak. Nie wiesz jeszcze o tym?

– Nie chciałem w to uwierzyć.

– Ojcie kochany, oni wszyscy żyją.

Rozmawiali cicho, pozostali odeszli na bok, nie chcą im przeszkadzać w powitaniu, więc nikt nie słyszał o czym mówili.

– Wszyscy? Kto jeszcze?

– Sternau, Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i Helmer.

– O tych już słyszałem, a kto jeszcze?

– Mariano, Emma Arbellez, Karia i stary hrabia Ferdynand.

Kortejo zbladł jak ściana, nie był w stanie nic powiedzieć, po jakimś czasie z trudem wyszeptał:

– Don Ferdynand?

Wypowiedział to tak cicho, że raczej domyśliła się co chciał powiedzieć, niż usłyszała.

– Tak – potwierdziła.

– Gdzie są?

– Pierwsi czterej w hacjendzie del Erina, inni przy Juarezie, a hrabia Ferdynand w forcie Guadalupe, bo z powodu choroby musiał tam pozostać.

– Co za nieszczęście! Jesteśmy zgubieni! Jej oczy błysnęły złowrogo.

– Zgubieni, powiadasz? O nie! Uratowałam mnie, to pierwszy znak, że nasza gwiazda jeszcze nie zgasła. Zobaczysz, że jeszcze będziemy triumfowali. Wprawdzie wymordowali naszych ludzi, ale i temu się zaradzi. Najmiemy innych, masz pieniądze?

– Wystarczająco.

– To najważniejsze. Musimy uciekać. W pierwszym rzędzie musisz wyszukać jakąś bezpieczną kryjówkę.

– Jak się teraz czujesz? Musiałaś przechodzić straszne męki.

– Cóż, teraz już o tym nie myślę. Zawładnęła mną chęć dzikiej zemsty, boli mnie tylko w tym boku. Mam złamane parę żeber.

– Co? Jak to się stało?

– O tym też dowiesz się później, teraz mogliby nas podsłuchać.

Konieczniamy potrzebujemy lekarza, inaczej będzie ze mną źle.

– Zajmiemy się tym – a zwracając się do Manfreda spytał: – Myślisz, że twój stryj przyjmie nas i ukryje?

– Jestem tego pewny – odparł.

– Zna się na chorobach?

– On jest doświadczonym lekarzem.

– Znasz drogę do Santa Jaga?

– Doskonale, ale lepiej będzie jak pokołujemy trochę.

– Dlaczego?

– Bo tamci niezawodnie puszcza się za nami w pogoń.

– Masz rację. Kiedy będziemy mogli tam przybyć?

– Za dwa dni wieczorem.

– Dobrze, a więc prowadź do Santa Jaga. Czy senior Grandepriese, będziecie nam także towarzyszyć?

– Naturalnie. Nie opuszczę was, dopóki mi nie będziecie mogli powiedzieć, gdzie znajdę tego łotra, Landolę.

– Tego dowiecie się, przyrzekam. Teraz jednak spróbujmy sporządzić z dwóch koców rodzaj hamaku, który będzie można umocować między dwoma końmi, aby moja córka mogła w nim leżeć, bo jest słaba i jazda na koni sprawia jej ogromne, dodatkowe bóle.

* * *

Bawole Czoło i Helmer rozłączywszy się nad stawem krokodyli w celu podejścia nieprzyjaciela, poczęli kołować kryjąc się w zaroślach i trawie.

Bawole Czoło miał krótsza i lepszą drogę, bo posuwał się prawie cały czas wzdłuż stawu, którego sitowie i trzciny dawały dostateczne schronienie. Następnie poczołgał się do lasu i zanim dotarł do pierwszych drzew, spostrzegł, że nieprzyjaciel zniknął. To go jednak nie zaniepokoiło. Z równą troskliwością jak poprzednio począł się skradać dalej.

Dotarł wreszcie do lasu przekonani, że nikt go nie widział. Tutaj natrafił na ślady owych trzech Indian, ale ślady te mocno go zaniepokoiły. Postanowił zaczekać na Piorunowego Grota, który zjawił się po paru minutach.

– Zniknęli? – spytał wodza.

– Tak jest – odparł Misteka – Tutaj są ich ślady.

Helmer spoglądał uważnie na zagłębienia, po czym zwrócił się zdziwiony do wodza mówiąc:

– To nie są ślady Indian.

– Nie, to ślady białych. Powrócili tą samą drogą, którą przyszedli.

– Chodźmy za nimi!

– Koniecznie musimy się dowiedzieć co to za jedni.

Poszli schyleni, bacznie spoglądając na ziemię, żaden szczegół nie uszedł ich oka. Nagle Helmer stanął i podniósł coś z ziemi.

– Co to jest? – spytał Misteka.

– Dwie gałązki paproci – odparł.

– Dlaczego mój brat je podniósł?

Helmer przybrał tajemniczą minę.

– Nie myśli mój brat, że z daleka można wziąć te gałązki za powiewające krucze lub orle pióra?

Przez twarz Misteki przebiegł wyraz zrozumienia.

– *Uff!* – zawołał. – Mój biały brat jest rozumnym myśliwym. To byli biali, którzy przybrali się jak Indianie, by nas wywieść w pole. Prędko, wracajmy do koni.

W momencie wyprostował się i pobiegł naprzód tak szybko, że nawet Helmer nie mógł za nim nadążyć... Za późno!

Nagle usłyszeli strzały, poczęli więc biec z podwójną szybkością w kierunku stawu.

Kiedy Bawole Czoło dotarł do miejsca, z którego mógł ujrzeć powierzchnię stawu zobaczył, jak Grandepriese'a siadającego na jego konia.

– Stój złodzieju! Z konia! – zawołał w tej chwili przykładają strzelbę do twarzy.

Jednak odległość była zbyt wielka, nie trafił. Kula ugodziła stojącego przed nim.

– Naprzód! Za nimi! – krzyknął Helmer, który dopiero teraz zrównał się z Misteką. – Oni nie mogą nam uciec.

Obaj podskoczyli jak sarny pędząc wzdłuż stawu, jednak daremnie. Nie mogli ani złożyć się do strzału, ani dopędzić koni. Obcy zniknęli w krzakach, pędząc drogą prowadzącą na dół.

– Do pioruna! – wrzasnął Helmer zatrzymując się bezradnie. – Zniknęli!

– Uciekli! – powtórzył wódz kiwając głową – Kto to był?
– Nie wiem.
– Przyszli, aby uwolnić Józefę Kortejo.
– Tak, a my daliśmy się oszukać, jak normalne sztubaki.
– *Uff!* Bawole Czoło popełnił największe głupstwo swego życia.
– Ja także. Zabrali nam konie, żebyśmy mieli przynajmniej jednego.
– Zostawili ślady.
– To prawda, musimy ich dogonić, ale najpierw opatrzymy naszych ludzi.
Gdy dotarli nad staw zastali tam dziesięciu nieżyjących Indian.
– Ani jeden nie pozostał przy życiu – rzekł Helmer spuszczaając głowę ze smutkiem.
Bawole Czoło także ponuro patrzył przed siebie, nareszcie rzekł:
– Ja ich pomszczę! Mój brat, Piorunowy Grot, niech pójdzie za mną do tego człowieka, którego trafiła moja kula.
Poszli śladem do miejsca, gdzie leżał zrzucony z konia wijąc się w ogromnych boleściach. Kula utkwiała w boku, był wprawdzie jeszcze przytomny, ale śmierć zaglądała mu w oczy.
– Kim jesteś? – spytał Helmer.
Popatrzył na niego i nic nie odpowiedział.
– Czego tutaj szukaliście?
Widocznie zrozumiał, bo słabym głosem odpowiedział:
– Chcieliśmy uwolnić Józefę.
– Kto was prowadził.
– Grandepriise.
– Grandepriise? Kto taki?
– Jankeski myśliwy.
– Skąd go wzięliście, przecież ty jesteś Meksykaninem.
– Kortejo z nim przyjechał.
– Kortejo? – spytał zdziwiony Helmer. – Gdzie był?
– Tu, z nami.
Ranny zamknął oczy, widać był, że zbliża się koniec.
– Z wami, tutaj, czy to prawda?
– Tak – wyszeptał.
– I uciekł?
– Tak.
– Dokąd uciekł?
– Nie wiem.
– Wiesz, musisz wiedzieć! Musisz nam to wyznać inaczej nie otrzymasz przebaczenia za grzechy!
Wziął go za ramiona i począł nim trząść. Ranny ostatkiem sił wykrztusił z siebie:
– Może do... do klasztoru... della... Bar...
Ostatnie słowo zamarło mu na ustach, gęsty pot pojawił się na jego czole, po czym wyprężył się i skonał.
– Za późno! Nie mógł dokończyć! – rzekł Helmer.
– Krokodyle będą miały żarcie! – zawołał rozgniewany Bawole Czoło.
Wziął go na ręce i zaniósł do stawu. Krótka, ale straszna walka powstała pomiędzy potworami, kiedy go wrzucił do środka. W sekundzie zniknął rozerwany na kawałki.
– A teraz, za nimi, na dół – odezwał się Helmer. – Musimy się przekonać, w jakim kierunku się udali.
– Musimy biec szybko, jak konie – potwierdził Misteka.
Po tych słowach puścił się po pochyłości zbrocza jak strzała wypuszczona z łuku, nie spuszczaając oka ze śladów, które się dotychczas dosyć wyraźnie odznaczały.

Helmer biegł za nim równie wytrwale, gdy zbiegli z góry skierowali się na prawo. W miejscu, gdzie droga skręcała do hacjendy, Bawole Czoło stanął.

– Jeden z nas musi biec do Sternau – powiedział.

– To prawda, ale który? Ty czyja?

– Ja pójdę, a mój brat niech idzie dalej za śladami, dopóki go nie dogonimy. Dla ułatwienia, może zostawiać za sobą znaki.

– Dobrze, przyprowadźcie mi tylko jakiegoś tęgiego konia. Nie chciałbym się pokazać w hacjendzie wcześniej, niż nie naprawię zła, jakie wyrządziłem swą głupotą.

Poszedł dalej po śladach, Indianin zaś pobiegł w stronę hacjendy.

Wybrał dla siebie trudniejsze zadanie, bo nie czekała go nic przyjemnego, gdy stanie przed Sternauem i będzie się musiał przyznać do winy.

Kiedy przybył do hacjendy zastał Sternaua z Niedźwiedzim Sercem. Doktor ponownie próbował dowiedzieć się czegoś dokładniejszego o nagłym wyjeździe obu przyjaciół. Jak tylko spostrzegł zbliżającego się Misteka, twarz mu się rozjaśniła. Wreszcie u źródła mógł się dowiedzieć o znaczeniu tej dziwnej wyprawy.

– Rozmawiałem właśnie z wodzem Apaczów o tobie – rzekł. – Gdzie Bawole Czoło i Piorunowy Grot się wybrali?

Bawole Czoło rzekł odważnie:

– Na górę el Reparo.

– Tego się domyślałem, co tam robiliście?

– Uczyniłem coś takiego, czego mi nikt nie wybaczy. Pozwoliłem ująć więźniowi, mego brata.

– Mojemu więźniowi, Józefie Kortejo?

– Tak.

– Przecież ona jest w piwnicy.

– Nie, ona była razem z nami na górze el Reparo.

– Straż powiedziała, że jest w piwnicy.

– Musieli tak powiedzieć, bo dostali ode mnie taki rozkaz. Twarz Sternaua stała się pochmurna.

– Mój brat rozkazuje swoim ludziom, by mnie okłamywali? – odparł. – Nie chcę mieć dłużej takiego przyjaciela.

Obrócił się chcąc odejść. Bawole Czoło w tej chwili wyciągnął nóż i rzekł:

– Czy Księżę Skał chce mnie opuścić?

– Tak jest – odrzekł Sternau.

– W takim razie wbiję sobie ten nóż w piersi, aby mój brat widział, że wódz Misteków sam sobie potrafi wymierzyć karę.

Sternau dobrze znał Indianina i wiedział, że dotrzyma słowa, obrócił się więc i spytał:

– Bawole Czoło i Piorunowy Grot wzięli uwięzioną ze sobą, na górę el Reparo?

– Tak jest – odparł Misteka.

– Wódz Apaczów wiedział o tym?

– Tak.

– Moi przyjaciele nie byli rozsądni i źle się stało, że nie byli ze mną szczerzy. Dlaczego wzięli ze sobą tę dziewczynę?

– Powiesiliśmy ją nad stawem krokodyli, aby wiedziała, jaką śmiercią ma zginąć,

– Co się potem stało?

– Przybył jej ojciec, by ją uratować.

– Sam Kortejo?

– Tak jest.

– To prawie niemożliwe! I udało mu się?

– Tak. Oszukał nas, wykradł Józefę, zabił dziesięciu Misteków i ukradł nasze konie.

Sternau aż zdrewniał słysząc tę historię.

- Gdzie jest Piorunowy Grot?
- Pobiegnął śladami Korteja.
- Dokąd ślad prowadzi?
- Od góry na południe.
- I on nie ma konia?
- Nie, ja także przybyłem pieszo.
- Ilu ludzi ma Kortejo ze sobą?
- Dziesięciu albo dwunastu.
- Teraz niech wódz Misteków opowie wszystko dokładnie.

Bawole Czoło począł wszystko od początku dokładnie opisywać. Była to dla niego najgorsza kara, na jaką tylko mógł liczyć. Sternau i Niedźwiedzie Serce przysłuchiwali się w milczeniu, wreszcie Sternau rzekł:

- Musimy schwytać oboje, ojca i córkę.
- Ja ich złapię.
- Ja także pójdę z moim bratem – dodał wódz Apaczów.

Zrozumiał, że jego milczenie również przyczyniło się do tego nieszczęścia, chciał więc naprawić swój błąd i wziąć udział w pogoni.

Sternau pomyślał i powiedział:

- Pogoń za tymi ludźmi jest dla mnie bardzo ważna, tak że muszę sam nią pokierować.
- Dlaczego mój brat nie chce tu zostać? – spytał Bawole Czoło. – My obaj, to jest ja i Niedźwiedzie Serce, złapiemy ich i przyprowadzimy do hacjendy.
- Sam muszę być przy tym. Za dziesięć minut wyjeżdżamy.

Słowa te wypowiedział tak stanowczym tonem, że nie ośmielili się dalej sprzeciwiać, po czym odszedł.

Dopiero po chwili odezwał się Bawole Czoło do Niedźwiedziego Serca:

- Książę Skał nie chce mi robić wyrzutów, ale na pewno się na mnie gniewa.
- Na mnie też, – odparł Apacz – bo wiedziałem gdzie jesteście, a nie powiedziałem. Pójdę siodłać konia, muszę zrobić co w moje mocy by złagodzić jego gniew.

Wyszedł.

Bawole Czoło stał potwornie zakłopotany. Dziesięć razy łatwiej byłoby mu znieść wymówki, niż to milczące niezadowolenie jakie pojawiło się na twarzy doktora. Udał się do swego przyjaciela Misteki, któremu mógł całkowicie zaufać i rzekł:

– Opuszczę teraz hacjendę. Książę Skał i Niedźwiedzie Serce wyjadą ze mną. Mój brat zostanie więc tutaj jedynym wodzem. Niech dobrze strzeże senior Arbelleza, godnie przyjmie Juareza, gdy tu przybędzie i odda mu swe wojska pod komendę.

- Dokąd mój brat zamierza się udać? – spytał.
- Tego jeszcze nie wiem.
- A kiedy powróci?
- Także nie wiem.
- Nie weźmie ze sobą wojowników?
- Tylko dziesięciu, którzy są dobrymi tropicielami, więcej nam nie potrzeba.

Kwadrans później, z hacjendy wyjeżdżało dziesięciu Misteków, z dwoma wodzami i Sternauem na czele. Jeden z wojowników, prowadził dodatkowego konia dla Helmera.

SANTA JAGA

Niedaleko od północnej granicy prowincji Zacatecas leży miasteczko Santa Jaga.

Jest ono wprawdzie małe i nieznane, ale dość często wspomniane, na skutek ogromnego zabudowania stojącego tuż przy nim, na górze, a które dziś jeszcze nosi miano klasztoru della Barbara, chociaż klasztor ten dawno już został zamieniony na szpital i dom dla obłąkanych.

W miasteczko obecnie tętniło życiem, gdyż przed paru dniami przybył tam cały oddział Francuzów. Byli to ci sami, którzy musieli się cofnąć z Chihuahua bez broni, bez walki i z przyrzeczeniem, że nie będą więcej walczyli przeciwko Juarezowi.

Komendant tej całej bezsilnej masy żołnierzy wysłał poselstwo do głównej kwatery z prośbą o rozkazy i dalsze wskazówki. W Santa Jaga oczekiwał właśnie na odpowiedź.

To jednak nie wprawiłoby spokojnych mieszkańców tego miasteczka z zakłopotaniem, ale wraz oddziałem Francuzów, przybyła pewna dama, o tak wyjątkowej urodzie, że chociaż dopiero dwa razy pokazała się w tutejszym kościele, już zdobyła serca wszystkich mężczyzn i zazdrość całego damskiego światka.

Ogólnie dziwiono się, że nie zamieszkała w mieście, tylko obok, na górze w starym klasztorze u odźwiernego a zarazem pomocnika lekarza, inaczej mówiąc u powszechnie znienawidzonego ojca Hilario.

Właśnie nadszedł wieczór. Ojciec Hilario siedział w swojej celi, w starym bardzo skromnie umeblowanym pokoiku, którego ściany poobwieszane były wielką ilością kluczy. Gospodarz pograżony był w swoich starych, lekarskich skryptach.

Był to mały, suchy człowieczek z ogromną łysiną. Jego starannie wygolona twarz była bardzo skryta a zarazem zacięta. Miał może sześćdziesiąt lat, ale był bardzo rześki i czerstwy jak na swój wiek.

Ktoś właśnie zapukał do jego drzwi. Usłyszał natychmiast. Twarz jego rozjaśniła się szczególnie zdradzieckim uśmiechem.

– Proszę wejść! – zawołał możliwie przyjaznym głosem. Drzwi otworzyły się i do środka weszła znajoma piękność z Chihuahua, seniorita Emilia.

– Dobry wieczór, ojcu! – rzekła.

– Co za miłe odwiedziny, piękna senioroko – odparł wstając ze stołka i zamykając księgę.

– Spodziewam się, że nie przeszkadzam? – zapytała z uśmiechem.

– Pani? Ależ to niemożliwe. O każdej porze dnia i nocy jestem na pani usługi. Dlatego ka-
załem zapytać, czy nie zechciałaby seniorita przypadkiem towarzyszyć mi przy wieczornej filiżance czekolady.

– Przyjęłam bardzo chętnie to zaproszenie, bo wieczór jest długi, więc będzie przyjemniej spędzić go na rozmowie, nie będę się przynajmniej nudziła.

– Jeżeli rzeczywiście się nudzicie, to sama sobie jesteście seniorita winna.

– Dlaczego?

– Bo zamieszkała pani tutaj, u mnie, na odludziu zamiast w mieście. Tam mogłaby pani się o wiele lepiej bawić.

– Dziękuję za tę zabawę. Przedkładam nad nią rozmowę z mężczyzną, który w swym życiu miał tyle możliwości, by wszystko poznać dokładnie, a teraz z wyrobionym, mocno skrytali-
zowanym charakterem przenosi to wszystko na dowcipy i ciekawe zabawy.

- Czy macie mnie może na myśli?
 - Naturalnie – odparła rzucając mu spojrzenie, które byłoby w stanie roztopić najtwardsze serce. – Nienawidzę wszystkiego co niewyrobite, nieustalone. Nie mogłabym obdarzyć sympatią człowieka, który dopiero rośnie, rozwija się i uczy.
 - Zapominacie tylko o tym, że u człowieka z chwilą, gdy przestaje rosnać i rozwijać się, rozpoczyna się upadek, zanik.
 - Tego nie można nazwać zanikiem, kochany senior Hilario, jeżeli ma się taki zasób doświadczenia i wiadomości, że można się nim dzielić z innymi.
 - W takim razie nie uznajecie wieku i nie robicie różnic między młodzieńcem a starcem?
 - Rzeczywiście nie.
 - W miłości także nie? – spytał niepewnym głosem.
 - Także. Nie mogłabym nawet pokochać takiego człowieka, którego wiek i doświadczenie nie nakazywałoby mi szacunku.
 - Ale przecież nie starca?
 - Dlaczego nie? Kogo nazywacie starcem? Mamy przecież w dzisiejszych czasach dosyć młodzieńców zachowujących się jak starcy i na odwrót, starszków z usposobieniem młodzieńców. Nie słyszeliście jeszcze o tym, że jest wiele dziewczyn, które kochają i podziwiają tylko siwe włosy?
 - Tak słyszałem, ale czy wy możecie należeć do tej kategorii?
 - Jak najbardziej
- Chciał dalej ciągnąć tę rozmowę, ale w tej chwili weszła do środka jakaś starsza kobieta wnosząc na tacy filiżanki i imbryk z czekoladą. Gdy się oddaliła nalał jedną filiżankę pięknej senioricie mówiąc:
- Proszę pić seniorita. Pierwszy raz w życiu mam to szczęście gościć u siebie tak czarującą damę i marzeniem mym jest, codziennie tę czynność powtarzać.
 - Uważacie to rzeczywiście za szczęście? – zapytała z takim uśmiechem, że ojcu Hilario cała krew uderzyła do głowy.
 - Jak najbardziej – odpowiedział. – To rzeczywiście ogromne szczęście dla mnie i chciałbym tylko, abyście się tu czuli jak u siebie w domu i często u mnie bywali. Jaka to szkoda, że ci Francuzi niedługo odjadą i zabiorą mojego cudownego ptaszka.
 - Francuzi? A cóż mnie oni obchodzą?
 - Spojrzał na nią uważniej.
 - Myślę, że to pani opiekunowie.
 - Dlaczego senior tak myśli?
 - Bo razem z nimi przyjechałaś, pani. Uważają was powszechnie za żonę czy wdowę, któregoś francuskiego oficera.
- Roześmiała się czarująco, tak, że każdy jego nerw począł silniej falować. W całym swoim życiu nie słyszał jeszcze tak uroczego śmiechu. Wreszcie odparła:
- Mylą się ogromnie. Powiedzcie, czy rzeczywiście wyglądam na starą babę, żonę lub wdowę po jakimś oficerze?
 - Oko jego z pożądaniem spoczęło na jej młodzieńczej sylwetce i natychmiast zaprzeczył gorąco.
 - Starą? O seniorita, kto mógłby tak w ogóle pomyśleć. Pani z samą Wenus mogłaby iść w zawody, co do urody i wieku.
 - Taki wielki komplement jest prawie bluźnierstwem.
 - O, wypowiadam tylko szczerą prawdę – zawołał z entuzjazmem. – A więc nie jesteście z Francuzami?
 - Nie.
 - A dlaczego z nimi jeździcie?

– Bo dostali rozkaz bezpiecznie przeprowadzić mnie do stolicy. Powzięłam bowiem zamiar opuścić moje samotne mieszkanie w Chihuahua i przenieść się do rezydencji, a Francuzi właśnie w tym czasie wyruszali z miasteczka, więc z ochotą się do nich przyłączyłam. W obecnych, niespokojnych czasach bardzo wskazana jest taka asysta.

– Nie macie żadnych krewnych w Chihuahua?

– Nie.

– Ale w stolicy macie kogoś zapewne?

– Także nie. Jestem na tym świecie sama, jak ten palec.

– To co was skłoniło do wyjazdu do stolicy?

Spuściła oczy rumieniąc się tak naturalnie, że nikt nie mógł zauważyć, że to tylko gra.

– Tym pytaniem wprowadza mnie senior w zakłopotanie – odparła.

– W takim razie proszę o wybaczenie, ale los pani tak serdecznie mnie zainteresował, że nie mogłem się powstrzymać od dalszych pytań.

– Dziękuję, widzę, że przy was moja skromność nie jest konieczna. Poważam was i wielce cenię, a na dowód szacunku powiem wam całą prawdę. Każda kobieta jako tako obdarzona przez naturę, musi w końcu przyznać, że nie jest stworzona do samotnego życia.

– Ach, wiecie już o tym seniorita? – spytał gorączkowo.

– Naturalnie. Przypadło nam w udziale kochać i swą miłością uszczęśliwiać ludzi. Dotychczas skutek mojego samotnego życia, nie miałam sposobności zadośćuczynić temu zadaniu.

– Nie kochaliście jeszcze?

Podczas tego pytania ogarnął ją ognistym wzrokiem. Spuściła oczy, jej pełna pierś podniosła się wysoko z głębokim westchnieniem. Poczul, że dla tej kobiety mógłby stracić głowę.

Odpowiedział półgłosem jakby wstydzając się tego wyznania:

– Nie, jeszcze nie.

– A przecież posiadacie wszystkie przymioty, które by mogły rozkochać w was każdego mężczyznę i to do szaleństwa.

– Niestety nie miałam sposobności tego doświadczyć. Nie poznałem jeszcze dotychczas takiego mężczyzny, na którego widok mogłabym powiedzieć, że jemu potrafiłabym się oddać i jemu tylko zaufać. Nie chcę dalej żyć tak samotnie, dlatego właśnie zamierzam jechać do stolicy.

– Chcecie tam poszukać sobie męża? Znowu się zarumieniła, ale jakby przemocą powstrzymując swą wstydlivość popatrzyła mu otwarcie w oczy odpowiadając:

– Przed wami nie chcę zaprzeczać, choć nie przyznałabym się do tego nikomu innemu.

– A czy to musi się stać w Meksyku, seniorita? Czy gdzie indziej nie można znaleźć takich mężczyzn, którzy potrafiliby docenić waszą wartość?

– Możecie mieć rację. Ale kto szuka drzewa idzie do lasu, a nie na otwarte pole, gdzie stoją tylko pojedyncze egzemplarze.

– To racja. Ale jeżeli w drodze do lasu można znaleźć drzewo, które uważałoby sobie za szczęście to, że zielony powój owinał się koło niego szukając w nim podpory?

Poruszyła lekko ręką i przechodząc na żartobliwy ton odpowiedziała z uśmiechem:

– Wtedy należałoby się zatrzymać i dokładnie przyjrzeć.

– No, a jeżeliby się spodobało?

– To możnaby się bezpiecznie owinać i oprzeć, nieprawdaż, senior Hilario?

Na jego twarzy podobnej do fauna pojawiło się wyraźne zadowolenie.

– Naturalnie seniorita – odpowiedział z pospiesznie. – Należy tylko spytać, jaki wiek i jakie przymioty musiałoby to drzewo posiadać?

– Musiałoby być starsze, stabilne, możliwie ozdobione mchem, bo ten przydaje mu piękna i poezji.

– Seniorita, jesteś aniołem – zawołał z uczuciem.

– Dowodów na to nie dałoby się tak łatwo znaleźć.

– Ja to czuję i to dla mnie jest najlepszym dowodem. Czy mogę dla was poszukać takiego drzewa?

– Możecie. Mnie zawsze pozostaje wolny wybór.

– Tak, to prawda – odrzekł głęboko wzdychając.

Nie mógł już ukryć swego wewnętrznego ognia. Drżącym od wzruszenia głosem dodał:

– To drzewo rośnie tutaj, mianowicie w Santa Jaga.

– Tutaj? Gdzie? – spytała z dobrze udanym zdziwieniem.

– W naszym klasztorze, della Barbara.

– W klasztorze? Senior, ja tu żadnego drzewa nie widziałam.

– O, ono stoi tutaj, przed panią.

Wyrzucił te słowa z siebie z widocznym trudem; twarz wskutek niepewności, żądy i strachu wykrzywiła się w tak odrażający sposób, że wyraz ten byłby zdolny i najpiękniejszą twarz zamienić w maskarę.

Udawała, że tego nie widzi. Popatrzyła na niego wielkimi oczami i spytała:

– Wy macie siebie na myśli, senior?

– Tak jest.

– Ach, jak Bożie kocham, tego się nie spodziewałam. Złożyła swoje piękne, białe dłonie jakby na znak zdumienia i wpatrzyła się w niego z wyrazem, który można by nazwać najwyższym arcyzmem sztuki udawania. Z twarzy jej można było wyczytać wszystko; a więc: radość, zadośćuczynienie, szczęście i radość na skutej udanego podstępu, rozkosz i drwinę, przyrzeczenie i triumf kobiecej przewrotności oraz wyrachowania. Właśnie te kontrasty przemykające szybko w jej oczach czyniły ją tak piękną, tak uroczą, że byłby zdolny do zbrodni, jeżeli w zamian za swą miłość tego by od niego zażądała.

Spytał:

– Nie spodziewałaś się tego, seniorita? Dlaczego? Sama przecież użyłaś tego porównania z drzewem. Nie rozumiałaś mnie, pani?

– Zrozumiałam – odrzekła uśmiechnięta. – Pod tym drzewem macie na myśli mężczyznę, którego szukam?

– Naturalnie, seniorita.

– I tym drzewem wy chcielibyście zostać?

– Och, z wielką ochotą. Uczyniłbym wszystko, by was tylko uszczęśliwić, seniorita.

Nagły, zimny, ostry wzrok padł na niego. Twarz kobiety stała się zimna i surowa. Z dziwnym spokojem i pewnością, pod wpływem której namiętność jego tylko się spotęgowała, spytała:

– Cóż wy takiego moglibyście mi w zamian ofiarować?

Podniosła filiżankę z czekoladą do ust z taką obojętnością, jakby tylko to zajmowało jej uwagę i ze smakiem pociągnęła słodką zawartość naczynia. Wobec takiej przewagi poczuł się bezsilnym. Podskoczył do góry mówiąc:

– Zapewne uważacie, że jestem biednym, mało znaczącym braciszkiem Hilario?

– A jak inaczej miałabym myśleć?

– To tylko zwyczajna przykrywka, która ukrywa coś wręcz przeciwnego. Powiedz mi proszę, czego żądasz od tego mężczyzny, za którego zgodziłabyś się wyjść za mąż, seniorita?

– Na co mam wam to mówić, wy przecież nie możecie zostać moim mężem.

– Dlaczego?

– Przecież jesteście osobą duchowną?

– Ha, to było kiedyś, ale nie obecnie. Wystąpiłem przecież z klasztoru i mogę teraz czynić co mi się podoba.

– Tak? To co innego. Możecie się żenić?

– A kto mi zabroni? Proszę więc, powiedzcie mi jakie są wasze warunki, seniorita.

– Pierwszy warunek to gorąca, wierna miłość!

- To już jest – zawołał rozgorączkowany. – Jak możecie w to wątpić?
- Chcę wierzyć.
- Proszę, mówcie dalej.
- Wprawdzie nie byłam bardzo bogata, ale nigdy nie cierpiałam biedy, a więc drugi warunek, to, to, bym, nigdy nie zaznała konieczności odmawiania sobie czegokolwiek, abym miała pod dostatkiem wszelkie dobra konieczne do życia. Może wam się to wyda dziwne, ale to tylko sprawiedliwe, bo jeżeli się już ktoś wyrzeka uciech młodości, chce przynajmniej w ten sposób to sobie wynagrodzić.
- Bardzo dobrze was rozumiem seniorita i muszę przyznać, że będąc na waszym miejscu, uczyniłbym to samo, to bardzo racjonalne. Na szczęście mogę was zapewnić, że jestem bogaty i to nawet bardzo bogaty.
- Wy bogaci, bardzo bogaci? – spytała z niedowierzaniem.
- Wzrok jej począł się ślizgać po jego prostym, zwyczajnym ubraniu z pewnym odcieniem dumy.
- Nie sądźcie mnie po ubraniu, seniorita! – zawołał.
- Dobrze, zapewniamie mnie, że jesteście bogaci. Możecie mi to udowodnić?
- Pomyślał przez chwilę z wyraźnym zakłopotaniem.
- Tak – odpowiedział wreszcie zdecydowanym głosem.
- Proszę więc to uczynić.
- Musiałbym najpierw dostać przyrzeczenie, że rzeczywiście oddacie mi swoją rękę, jeżeli to udowodnię.
- Przyrzeczenie mogłabym nawet dać, ale jest jeszcze jeden, ostatni warunek do spełnienia.
- Co to za warunek? – spytał z ciekawością.
- Musicie wiedzieć, że nie wyjdę za mąż za prostego braciszka. Mój mąż musi zajmować jakieś znamienite stanowisko.
- Co pod tym rozumiecie?
- Musi mieć powszechnie poważane stanowisko, które mogłoby mi dać sposobność do rozwijania swoich talentów i darów natury.
- Ach żądacie wiele, bardzo wiele, seniorito!
- Z wolna podniosła się z krzesła i stanęła tuż przy nim. Mimo woli spojrzał na jej wspaniałą postać, na pełne kształty, na strój, który wspaniale uwidaczniał jej kobiecość. Na jej twarzy malowało się zadowolenie z własnej osoby i poczucie własnej wartości, kiedy zapytała:
- Myślicie może, że żądam za wiele. Popatrzcie na mnie. Ja wiem, że jestem piękna, pomimo tego, że się tym nie pysznę. Wiem także, że mężczyzna, na którego padnie mój wybór będzie mnie kochał, jeżeli tylko tego zechcę. Pojadę do stolicy. Tam będę zaliczana do piękności, przed którymi mężczyźni padają na kolana. Moje duchowe przymioty, moje talenty pomogą mi tylko w tym, aby urok mój powiększyć i wzmocnić.
- Bardzo szybko będę o mnie rywalizowali najznacniejsi mężczyźni, ja zaś wybiorę tylko tego, który okaże się mnie najgodniejszy. Tego jestem pewna. Możecie to nazwać dumą, zarozumiałością, zresztą jak wam się podoba, nie mam nic przeciwko temu. Możecie mnie nawet wyśmiać, jeżeli jednak jesteście dobrym znawcą kobiet, to już mój spokój musi wam udowodnić, że to co mówię jest prawdą, że posiadam środki do tego i że umiem liczyć, że to nie tylko czcze mrzonki, ale pewność.
- Przed tą wspaniałą, piękną, młodą kobietą stał jak kontrast mały, suchy człowieczek. Pomimo tego nie spuścił z niej wzroku, twarz jego nie wyrażała jakiegś niepewności lub braku uwagi, kiedy odpowiedział:
- Myślicie może, że nie wiem o tym? Nie muszę się domyślać, ja wiem dokładnie, że to prawda, co mówicie. Jestem przekonany, że potraficie odegrać ważną rolę w Meksyku i że nie zabraknie wam poważania i znaczenia, bo jesteście piękna i umiecie z tego korzystać. Ale w

tym każda kobieta potrzebuje męskiej podpory. Widzę, że jeżeli chodzi o talenty, to wcale sobie nie ustępujemy. Chcecie się oddać memu wpływowi?

– My równi co do talentów? – spytała z uśmiechem. – Co przez to rozumiecie?

Nie wiedział co ma na to odpowiedzieć, widocznie zakłopotany spytał:

– Wątpicie w to może?

– O nie, każdy człowiek posiada więcej lub mniej inteligencji. Ale jeżeli mam wywnioskować ze stanowiska waszego na talenty to... hm, dokończcie sobie sami co chcecie powiedzieć.

Słaby, drwiący uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– A jakie stanowisko zajmujecie wy, seniorita? – spytał.

– Ach, zaczynacie być złośliwi, senior – zaśmiała się odpowiadając. – Są stanowiska i wpływy, o jakich nie można mówić.

– Macie rację, seniorita, a więc nie mówmy także o moim stanowisku i moich wpływach, podobnie jak nie chcecie, bym ja mówił o waszych.

– Jeżeli będziemy o tym milczeć to jak udowodnicie mi, że możecie zapewnić mi taką egzystencję jakiej żądam?

– To nie będzie trudne. Jestem gotów dowieść wam tego, naturalnie pod warunkiem zachowania całkowitej tajemnicy.

– Tej umiem dochować, senior.

– Dobrze, chodźcie ze mną.

Wziął ze ściany dwa klucze i zapalił małą latarkę. Spojrzała uważnie na kołki, z których zdjął klucze starając się zapamiętać to miejsce.

Wyszła razem z nim i schodząc ze schodów postępowała krok za krokiem aż do piwnicy. Mocne, dębowe drzwi, które prowadziły do jakiegoś drugiego podziemia, otworzył jednym kluczem, po czym stanęli przed następnymi drzwiami. Te otworzył drugim kluczem prowadząc ją znowu przez jakiś ciemny, długi korytarz, po którego obu stronach można było zobaczyć liczne drzwi.

– To były cele więzienne klasztoru della Barbara – odezwał się wskazując ręką.

Przy jednych drzwiach stanął i odsunął rygiel. Weszli do jakiejś małej, ciemnej celi, do której ani światło, ani powietrze nie miało dostępu. Widocznie przestrzeń ta była wykuta w skale, której ściany wskazywały wiele rysów i pęknięć.

– Pusta! – zawołała. – Czy to tutaj mam znaleźć żądane dowody?

– Oczywiście – odpowiedział.

– A w jaki sposób?

– Zaraz pani zobaczy.

Nie zauważył, że bardzo pilnie obserwowała każdy jego ruch.

Oświecił jedną szparę powstałą widocznie wskutek pęknięcia ściany. Była tak mała, że zaledwie palec można było w nią wetknąć, tylko w jednym miejscu rozszerzała się. W to miejsce właśnie włożył swoją dłoń. Natychmiast dało się słyszeć jakieś toczenia i przesuwania, jednak część ściany, która widocznie była odcięta od całości, usunęła się na bok. Ukazała się jakaś druga, większa ciemna przestrzeń, do której wszedł nie zamykając za sobą wejścia.

Szła tuż za nim i przy okazji włożyła rękę w tę samą szparę. Poczwała, że w środku znajduje się jakiś wystający, gruby gwóźdź. Nie nacisnęła bojąc się, żeby przypadkiem nie zasunąć ściany i przy okazji nie zdradzić swego postępowania.

W owej okrutnej, ciemnej izbie ujrzała stoły a na nich liczne książki, butelki i instrumenty, których celu nie mogła odgadnąć.

Hilario przeszedł koło tych rzeczy stając przed jedną ze ścian, zapukał w nią i powiedział:

– Tu za tą ścianą leżą dowody.

Już po odgłosie stukania, które brzmiało dziwnie głucho można było poznać, że za nią na pewno jest puste pomieszczenie. Z jeszcze większą uwagą zaczęła się przyglądać każdemu jego ruchowi. Podniósł latarkę do góry, tak że światło padło wprost na mur.

Zobaczyła jakąś niewyraźną linię odcinającą jeden kwadrat ściany.

– To drzwi – powiedział. – Nie mają one zamka, ale obracają się na środkowej osi tak, że należy nacisnąć tylko jedną część, aby się otworzyły.

Wsparł się przesuając jedną połowę owego kwadratu. Z drugiej strony ukazała się jakaś na półtora metra wysoka i metr szeroka kryjówka.

Wszedł do środka ze światłem, a tuż za nim weszła Emilia. W środku widać było różne skrzynie i paki. Na jednej ze ścian umocowana była szafka nie posiadająca zamka. Właśnie do niej przystąpił, odsuwając przy pomocy śruby jedną z jej ścian. Leżały w niej uporządkowane, każde w osobnych przegródkach jakieś pisma i listy.

Hilario odwrócił się do Emilii.

– Seniorita – rzekł. – Ten skrawek zawiera moje wszystkie tajemnice, o których nikt nie ma zielonego pojęcia. Są one tak ważne i tak drogocenne, że tylko pod jednym warunkiem mógłbym was w nie pobieżnie wtajemniczyć.

– Pod jakim? – spytała.

– Musiałabyś mi seniorita solennie przysiąc, że ani słowem nigdy i nikomu tego nie zdradzisz. Zgadzasz się na to?

– Czy te tajemnice rzeczywiście są tak ważne?

– Naturalnie.

– Dobrze, przysięgnę więc.

– Wiecie jaką wartość ma taka przysięga?

– Wiem – odrzekła zaciekawiona.

– Wierzycie w Boga?

– Naturalnie.

– To pierwszy i najważniejszy warunek przy przysiędze. Teraz proszę podnieść trzy palce prawej ręki i powtarzać za mną.

Złożyła przysięgę, wprowadzie niechętnie, ale uznała, że bez tego nie będzie miała szans na poznanie tylu ważnych spraw, dotyczących Juareza. Przecież już w Chihuahua Juarez polecił jej odwiedzić ojca Hilario. Prezydent wiedział o tym, że w ręku tego mnicha spoczywa wiele ukrytych spraw i tajemniczych sprzęzyn, których znajomość mogłaby przynieść nieocenioną pomoc każdemu politykowi.

Dlatego też Emilia po przybyciu do Santa Jaga zamieszkała w tym odludnym klasztorze, cierpliwie czekając na dalsze rozkazy.

– Tak – odezwał się mnich. – Złożyłaś seniorita przysięgę, więc teraz ja udowodnię ci, że niedługo przyjdzie czas, w którym znajdę się na takim stanowisku, jakiego byś pożądała.

Wyciągnął zwój listów. Otwierał jeden po drugim i pokazywał podpisy jaki się tam znajdowały.

– To moja tajemna korespondencja. Znacie może seniorita te podpisy, które właśnie oglądamy?

Znała prawie wszystkie. Były to nazwiska najznamienitszych dyplomatów i oficerów meksykańskich. Pomimo tego odpowiedziała:

– Dotychczas mało zajmowałam się polityką, senior. Dopiero w przyszłości zamierzam spróbować szczęścia na tym polu, dlatego też pojedyncze nazwiska nie są mi jeszcze znane.

– Poznacie je, jeżeli tylko zgodzicie się na moją propozycję. Wasza uroda i moje wiadomości mogą nam tylko pomóc. Możemy dzięki nim zająć bardzo wysoko.

Jej przede wszystkim rozchodziło się o to, by poznać treść tych listów, dlatego wyciągnęła rękę i ze słodką miną zapytała:

– Czy mogę je przeczytać?

Poruszył się szybko i odpowiedział niespokojnie:

– Nie, to niemożliwe.

– Dlaczego? Sądzę przecież, że zawarliśmy już sojusz?

– Tak, ale nie dość trwałe.

Przybrała wyjątkowo obojętną minę i odparła:

– Mam nadzieję, że wkrótce się utrwali.

Cała twarz mnicha rozjaśniła się od radości.

– Naprawdę seniorita? – spytał szybko.

– Naturalnie. Tylko ten ma przed sobą przyszłość, kto łączy się z osobami o wielkim wpływie i wielkim znaczeniu.

– Przyszłość powiadacie? Ja jestem już za stary.

Przy tych słowach jego oko spoczęło z niecierpliwością i oczekiwaniem na jej obliczu.

– Stary? – spytała zdziwiona. – Przecież już wam powiedziałam, że nie liczę lat. Świetna przyszłość, choćby miała trwać tylko dziesięć lat, więcej dla mnie znaczy, niż zwyczajne, choćby nieskończenie długie życie.

– To bardzo mądrze i roztropnie powiedziane, seniorita. Przekonałaś się więc pani, że mogę poszczyć się stanowiskiem i to dość poważnym?

– Tak, tylko pytanie, co to za stanowisko?

– Macie na myśli jego rangę?

– Nie, tylko w czyjej służbie?

Wzruszył ramionami.

– Dobry dyplomata nie pyta o pana, któremu służy tylko o własne korzyści. Jestem gotów służyć każdemu, za godne pieniądze, no nie każdemu, wyjątek stanowi Juarez.

– Dlaczego właśnie Juareza z tego wykluczacie?

– Bo nienawidzę go, jak nigdy dotąd nikogo innego.

– To znaczy, nie macie republikańskich przekonań?

– Jestem republikaninem, monarchistą, wszystkim w zależności od tego, jakie mi to może przynieść korzyści. Moja nienawiść nie wywodzi się z przekonań politycznych. Nie jestem wrogiem tej czy innej idei, tylko osobistym nieprzyjacielem Juareza.

– Cóż on wam takiego uczynił?

– Co mi uczynił? O wiele, bardzo wiele. Nasz klasztor był jednym z najbogatszych w całym kraju. Służyliśmy wprowadzić Bogu, ale uważaliśmy także przy tym na własne korzyści, dlatego dobrze nam się wiodło. Byłem przeorem, a więc najwyższą osobistością klasztoru... a teraz?

Przybył ów Juarez i pod pretekstem, że nasze dobra mogą przysłużyć się państwu, rozwiązał całe zgromadzenie i pozabierał majątki. Nastąpiła sekularyzacja majątku, rozpedził moich braciszków na wszystkie strony. Ja utrzymałem się tutaj tylko dlatego, że dość dobrze znam się na medycynie, ale kim jestem? Kim byłem przedtem, a kim jestem teraz? Czy nie mam powodu, aby go nienawidzić? Wykorzystam każdą sposobność, by się tylko na nim zemścić i wszystkie moje siły poświęcę temu jednemu celowi. Jak ja długo żyję, on nie wróci na fotel prezydencki. To sobie przysięgłem i tego dotrzymam za wszelką cenę!

Sam się swoją mową podniecił. Policzki jego stały się czerwone, oczy błyszczały złowrogim ogniem. Można było poznać, że człowiek ten zdolny był do wszystkiego, by tylko osiągnąć swój cel.

– Tylko raz w życiu nienawidziłem tak jak teraz, ale to było już dawno, bardzo dawno temu – dodał.

– Kogo takiego? – spytała z udaną troską w głosie.

– Wątpię czy będziecie znała tego człowieka – odparł. – To był hrabia Rodriganda.

– Rodriganda? Zdaje mi się, że już gdzieś słyszałam to nazwisko.

– Gdzie?

– Tego chyba sobie nie przypomnę.

Nie chciała się zdradzić, że w Chihuahua Sternau opowiadał jej o tym człowieku. Popatrzył na nią badawczo i spytał:

– Co słyszałaś o tym Rodrigandzie, seniorita?

– Tego też sobie nie przypominam. Wiem tylko, że słyszałam już gdzieś to nazwisko, ale co i jak; nic bliższego nie wiem.

– To zresztą i tak obojętne, bo człowiek ten już nie żyje.

– A co on wam zrobił?

– Może później wam o tym opowiem. Teraz nie ma na to czasu. Począł pakować listy do szafki.

– Czyli, że nie będę mogła ich przeczytać? – spytała rozczarowana.

– Nie, dopiero jako moja żona dostaniecie je w swoje ręce.

– A może jako narzeczona?

Powiedziała to żartem śmiejąc się perliście, choć bardzo poważnie chciała poznać tajemnicę tych pism.

– Nie – powiedział stanowczo. – Zaręczyny łatwo można zerwać, a to są tak ważne rzeczy, że można je powierzyć tylko takiej osobie, z którą na zawsze będzie się dzielić swój los. A teraz pokażę wam drugi dowód.

– Drugi dowód? Jaki?

– Że jestem bogaty.

– Jestem bardzo ciekawa.

– Twoja ciekawość seniorita zaraz zostanie zaspokojona.

Podszedł do skrzyń, były zamknięte na sprężynowy zamek, który przy naciśnięciu odskoczył. Bogactwa jakie się tam znajdowały, były tak wielkie i rozmaite, że od patrzenia rozboleły ją oczy.

Najrozmaitsze ornaty, kielichy, monstrancje; wszystko ze złota wykładane drogimi kamieniami, przedstawiały ogromną wartość.

– No i...? – spytał dumnym głosem.

– Boże, co za bogactwa!

– A nie mówiłem, one są warte miliony.

– To prawdziwy książęcy majątek.

– Przypuszczam, że większy. Nasz klasztor był bardzo bogaty, bogatszy niż niejedno księstwo. W chwili zajęcia go, udało mi się ukryć te wszystkie skarby.

– Jak wam się to mogło udać, senior? Musieli przecież wiedzieć, że w klasztorze znajdują się bogactwa?

– To prawda, wiedziano o tym, – odparł z drwiącym uśmiechem – ale ja także znałem środki prowadzące do celu.

– Jakie na przykład?

– O tym powiem później. Teraz lepiej powiedzcie mi, czy wierzycie już, że jestem bogaty?

– Ale te rzeczy nie do was należą.

– A do kogo?

– Do państwa.

– Do państwa? Nie rozśmieszajcie mnie. A do kogo należy to państwo? Do Juareza, do Pantery Południa, do Maksymiliana, do Francuzów! Każdy z nich rości sobie do niego pretensje, a nikt nie może nim zawładnąć. Właściwie Meksyk to nie państwo, bo gdzie jest jego pan? Teraźniejsza forma rządu to ogólna anarchia. Każdy bierze co mu się podoba, co mu wpadnie pod rękę.

– Ależ to zwykła kradzież, złodziejstwo!

– Głupstwo, to tylko roztropność. Te rzeczy nie mogą należeć do klasztoru, bo ten już dawno został zlikwidowany. Do państwa także nie, bo państwa we właściwym tego słowa znaczeniu w Meksyku nie ma, a choćby i było, to nie miałyby prawa do kościelnych rzeczy. Ja jeden pozostałem z dawnego klasztoru, a więc to wszystko należy do mnie. Czy przekonałem cię w końcu, seniorita?

Wiedziała, że to co mówił, było złem, ale nie chciała go dłużej drażnić przeczeniem, więc odrzekła:

- Nie mogę wam nie przyznać racji.
- To znaczy, że według was, że te rzeczy należą do mnie?
- Tak.
- Czy chcecie zostać współwłaścicielką tego wszystkiego?

Obrócił swe pełne pożądania oczy na jej twarz, niecierpliwie oczekując odpowiedzi. Blask złota i drogich kamieni nie pozostał na niej bez wrażenia. Która kobieta nie da się olśnić takim bogactwem? Kosztowności te mocno ją pociągały. Wprawdzie to byłaby wielka ofiara z jej strony oddać się temu starcowi, poświęcić mu całą swą urodę i młodość, ale te skarby, czy nie były w stanie sownie odplacić za jej poświęcenie?

Podobne myśli zaprzętały jej głowę. Ale czy nie miała możliwości, by w inny sposób dostać te skarby w swoje ręce, wcale nie potrzebując się wiązać na całe życie w tą wyschniętą mumią? To musiała dokładnie przemyśleć.

- Czy muszę się zdecydować od razu? – spytała.
- Proszę was o to.
- A ja proszę o czas do namysłu.
- Dlaczego?
- Bo to bardzo ważny krok w życiu, nad którym trzeba się dokładnie zastanowić.
- Nie mogę zaprzeczyć, macie rację, chociaż z drugiej strony miłość nie czyni rachunków.
- Jeżeli rzeczywiście istnieje.
- Nie obudziła się jeszcze w waszym sercu?
- Nie, jeszcze nie, senior. Nie możecie mi tego brać za zła. Nie należę do tych kobiet, które od pierwszego spojrzenia płoną, ale za to jak już w końcu pokocham, to kocham wytrwale.
- Dobrze, nie chcę was ponaglać, ale o jedno chciałby cię seniorita prosić.
- O co?
- Chciałbym za moją otwartość i szczerłość otrzymać małą nagrodę?
- Jaka?
- Małego całusa.

Chciał się do niej przybliżyć i objąć ją wpół, cofnęła się jednak natychmiast wyciągając ręce.

– Tylko nie tak natarczywie, senior! – odpowiedziała. – Ja mogłabym pocałować tylko tego, komu bym oddała swą rękę.

- A ja właśnie się spodziewam, że to mnie przypadnie to szczęście w udziale.
- Możliwe, ale dotychczas jeszcze nie jest to pewne.
- Pomyślcie tylko, przecież taki całus to nie zbrodnia.
- Oczywiście że nie, ale to nie ma najmniejszego sensu. Tylko pomiędzy kochającymi się ludźmi może dochodzić do czegoś takiego.
- Zabraniacie mi więc?
- Tak.

Wiedziała dobrze, że tym samym tylko silniej rozgrzała jego pożądlivość i na skutek tego zyska nad nim jeszcze większą przewagę.

Wydobył nóż i złapał za jeden bogaty ornat.

– Widzicie ten diament – rzekł. – Wart jest co najmniej dwa tysiące dolarów. Natychmiast go odetnę i podaruję wam, za jeden jedyny całus.

- Nie mam w zwyczaju sprzedawać moich pocałunków – odparła zimno.
- Pomimo tego muszę go dostać!

Przy tych słowach przyskoczył nagle do niej, objął ją ramieniem zanim się spostrzegła. Długo musiał się mozolić, zanim ustami mógł dotknąć jej warg. Wreszcie jednak udało mu się, ale tylko na krótko i przelotnie; potroilo to tylko jego namiętność. Nie można było poznać czy

rzeczywiście udało mu się zmusić ją do tego, czy też w swojej przebiegłości pozwoliła mu na to. Stary zakonnik począł ją mocno przyciskać do siebie, wreszcie zawołał:

– Na Boga! To nie będzie ostatni całus!

– Ostatni! – odparła.

Sam nie wiedział jak to się stało, poczuł silnie pchnięcie, zatoczył się, po czym upadł jak długi. Natychmiast zrywając się zawołał:

– Seniorita, jesteś aniołem, ale zarazem i diabłem. Bóg stworzył cię po to, abyś uszczęśliwiała innych, a ty swoją zimną, lodowatą naturą doprowadzasz pani ludzi do szaleństwa.

– Naprawdę jestem taka zimna? – spytała z uśmiechem.

– Jak lód!

Mimo woli pomyślała o Czarnym Gerardzie, któremu całą duszą i całym ciałem by się oddała, gdyby tylko zechciał, gdyby tylko wyciągnął rękę.

– To spróbujcie stopić ten lód! – powiedziała kokieteryjnie.

Dumny, ale zarazem czarujący uśmiech zawitał na jej wargach. Patrząc na nią tracił nie tylko głowę, ale i panowanie nad sobą.

– Właśnie próbowałem! – odpowiedział.

– Ale nie w należyty sposób, senior. Przemocą i gwałtem nigdy mnie do miłości nie zmusicie, zapamiętajcie to sobie!

– Mam wam może służyć przez czternaście dni, jak Jakub Racheli?

– O nie, czternaście dni znudziłyby mnie, tego od was nie żądam. Macie jeszcze tutaj coś do pokazania?

– Już wszystko widziałaś, seniorita.

– No to wracajmy.

– A kiedy się dowiem, czy zgadzasz się zostać mą żoną?

– W ciągu trzech dni udzielę wam odpowiedzi.

– Niech i tak będzie. Spodziewam się, że mnie nie odtrącicie. A teraz chodźmy.

Powrócili tą samą drogą, którą przyszedli. Naturalnie, Hilario wszystko pozamykał starannie. Z równą starannością, czynności te obserwowały oczy Emilii. Nic nie uszło jej bacznego spojrzenia. Wreszcie wróciła, ale nie do celi zakonnika, tylko do przeznaczonego dla siebie pokoju.

Ojciec Hilario, gdy tylko znalazł się sam w pokoju począł spacerować tam i z powrotem w niezwykłym rozdrażnieniu.

– Nie wiem, czy przypadkiem nie zrobiłem dzisiaj największego głupstwa w swoim życiu – mrucał pod nosem. – Zdradziłem moje tajemnice. Ciekawy jestem czy mi to coś pomoże, a jak mi odmówi? Czy potrafi milczeć o tym, co widziała? Zakochałem się w tej dziewczynie, jak jakiś sztubak, och gdybym tylko mógł zostać jej wybrankiem, zapewniam, że nie obawiałbym się żadnego z jej adoratorów. Żeby te trzy dni przeleciały jak najszybciej.

Wtem ktoś ostrożnie zapukał w szybę jego okna. Zdziwiony przystanął, spoglądając przed siebie. Powtórne, silniejsze już pukanie odezwało się po chwili. Otworzył okno i wystawił głowę. Zobaczył jakiegoś mężczyznę.

– Kto tam? – spytał półgłosem.

– Ja, stryju – padła krótka odpowiedź.

– Ach! Manfredo, to naprawdę ty?

– Tak, otwórz mi!

– Zaraz.

Nie otworzył głównej bramy, tylko małą, boczną furtkę. Po drugiej stronie stał Manfredo. Widocznie nie pierwszy raz wchodził do klasztoru tym skrytym wejściem.

– Nie spodziewałem się ciebie – szepnął Hilario. – Przynosisz jakieś wiadomości?

– Tak i to bardzo ważne.

– Chodź do mojej izby.

W środku oglądał swego bratanka z zainteresowaniem. Był to ten sam, który pomagał Kortejowi nad stawem krokodyli i który mu doradził, aby wszyscy ukryli się w klasztorze.

– Skąd przybywasz? – spytał zakonnik.

– Z hacjendy del Erina.

– Z hacjendy del Erina, a więc z zupełnie przeciwnej strony. Wysłałem cię przecież do Meksyku, abyś znalazł jednego ze stronników Korteja.

– Byłem i tam, stryju.

– A jak dostałeś się do hacjendy del Erina?

– Udało mi się znaleźć stronnika Korteja. Od niego dowiedziałem się, że sam Kortejo znajduje się właśnie w hacjendzie. Jako najemnik dałem się zaciągnąć i w ten sposób dotarłem do hacjendy.

– Czy ona wcześniej nie należała do hrabiego Rodriganda.

– Tak, ale on ją zapisał, czy też darował Pedro Arbellezowi,

– W takim razie dziwi mnie, że Kortejo odważył się iść do Arbelleza. Nie wiesz jak go tam przyjęto?

– Wiem o tym, ale niezbyt dokładnie, gdyż mnie przy tym nie było, słyszałem tylko od innych, że Kortejo napadł na posiadłość, zrabował ją i splądrował do szczętu, Arbelleza zaś kazał pojmać i uwięzić.

– Gdzie go uwięził?

– W piwnicy hacjendy.

– To dla mnie bardzo ważna wiadomość. Nie znasz wprawdzie moich zamiarów względem hrabiego Rodrigandy, ale co się tyczy Kortejo, to mogę ci powiedzieć tylko tyle, że tymczasowo chciałbym mu udzielić swej pomocy.

– W tym właśnie duchu postępowałem, stryju.

– Udało ci się może pomóc mu czymś?

– Tak i właśnie dlatego przychodzę do ciebie, abyś i ty mógł w tym uczestniczyć, jeżeli takie są twoje plany.

– To mogę, ale co masz na myśli?

– Abyś ukrył u siebie Korteja.

– Do wszystkich diabłów, czego on tu chce?

– Przychodzi jako wygnaniec.

Hilario przybrał bardzo zdziwioną minę.

– Jako wygnaniec? Przytrafiło mu się jakieś nieszczęście?

– Tak. W czasie wyprawy nad rzekę Rio Grande del Norte poniósł porażkę, w bitwie z Indianami stracił nawet jedno oko.

– Po co tam wyruszył?

– Tego dobrze nie wiem. Opowiadano tylko, że chciał przejąć jakąś przesyłkę składającą się z broni i pieniędzy, a która była przeznaczona dla Juareza.

– I to mu się nie udało?

– Chyba nie.

– Czyli, że Juarez otrzymał swą przesyłkę.

– Prawdopodobnie.

– Niech go diabeł porwie. Ten Kortejo to skończony osioł. Juarez znowu wzmocni swe siły. Ale dlaczego nazywasz Korteja wygnańcem? Mógł przecież wrócić do hacjendy.

– Tak rzeczywiście zamierzał, ale przybył zbyt późno. Mistekowie napadli na hacjendę.

– Mistekowie, ci też się ruszyli?

– Niestety. Byłem nawet przy tym, jak napadli. Było ich przeszło tysiąc, tylko z trudem udało się kilku z nas ująć z życiem.

– Kto im przewodził?

– Bawole Czoło.

- Głupstwa pleciesz. Przecież on nie żyje.
- Taka była powszechna opinia, ale błędna, pojawił się.
- Jeżeli to prawda, to Juarez ma teraz nowego stronnika, gdyż Bawole Czoło niezwłocznie się do niego przyłączy, a do tego nie możemy dopuścić. Co teraz robić?
- Może będziesz wiedział co robić, gdy usłyszysz wszystko co się stało. Teraz nie mogę mówić dokładnie, bo moi towarzysze czekają na mnie, tylko to ci powiem, że przeżyliśmy straszne rzeczy i że nas z całą pewnością ścigają.
- Kto?
- Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce, a może i inni.
- Przecież Niedźwiedzie Serce także podobno zaginął.
- Żyje, jak i Bawole Czoło. Jak tylko zajęli hacjendę uwięzili córkę Korteja, Józefę, po czym wywieźli ją na górę el Reparo. Tam chcieli ją rzucić na pożarcie krokodylom, co żyją w stawie Misteków, ale udało się nam i uratowaliśmy ją.
- Czyli, że i ona jest z wami?
- Oczywiście. Kortejo, jego córka i sześciu Meksykanów. Było nas więcej, ale reszta opuściła nas w czasie drogi.

Hilario znowu począł spacerować po izbie, głęboko zamyślony, wreszcie powiedział:

- Co za dziwnym przypadek. Naturalnie ukryję Korteja. Ciekawy jestem czy mnie pozna.
- To wy znaleźliście się już kiedyś?
- Tak.
- Gdzie?
- Widzieliśmy się w Meksyku i w paru innych miejscach.
- Byliście przyjaciółmi, czy wrogami?
- Wrogami, ale teraz nie mogę się jeszcze mścić. Idź i przyprowadź go. Tu masz klucz, ale nie mów mu, że go znam.
- Innych też mam wpuścić?
- Nie, jeszcze nie.
- A jego córki także nie?
- Nie. Obecność tak wielu osób mogłaby nas zdradzić, jego przybycie także musi być utrzymane w tajemnicy. Sam jeszcze nie wiem, gdzie ich wszystkich ulokuję. Pomyślę o tym później, przede wszystkim muszę porozmawiać z Kortejem.

Manfredo wyszedł, by wkrótce wrócić z Pablo Kortejem. Na dany znak oddalił się.

Kortejo stanął w drzwiach, skłonił się spoglądając na zakonnik. Ten popatrzył mu prosto w twarz i spytał:

- Nazywa się pan Kortejo?
- Tak – odparł zapytany.
- Jesteście tym samym człowiekiem, który służył u hrabiego Rodriganda?
- Tym samym.
- Witajcie więc i siadźcie?

Wskazał przy tym na stół, na którym Kortejo usiadł, sam Hilario jednak stał i nie spuszczał ani na chwilę z gościa oka, kontynuował:

- Mój bratanek powiedział mi właśnie, że na jakiś czas szukacie schronienia. Nasza religia nakazuje nam pomagać bliźnim, więc chętnie przez jakiś czas przechowam was u siebie.
- Dziękuję wam, pobożny ojciec i tylko jedno pytanie pozwolę sobie zadać, czy to schronienie będzie dostatecznie bezpieczne? Czy nie będę się potrzebował obawiać zdrady?
- Obawiać się zdrady? – wypowiedział te słowa wprawdzie dość obojętnie, ale w oczach jego można było wyczytać szatańską radość.
- Właśnie tak – odparł Kortejo. – Czy znane są wam moje stosunki?
- Tylko tyle wiem, że chcieliście kandydować do prezydentury.
- I właśnie na skutek tego zostałem wygnany z kraju.

- Przez Francuzów?
- Właściwie to przez tak zwanego cesarza Maksymiliana, ale on przecież nic nie czyni bez zgody Francuzów. Udałem się na pomoc, aby poczynić odpowiednie kroki i zapewnić sobie możliwości kandydowania, gdy w tym samym czasie napadli na mnie w hacjendzie del Erina, wymordowali moich ludzi i teraz zapewne gonią mnie.
- Raczej nie, u mnie jesteście całkowicie bezpieczni.
- Znajdę tu dobrą kryjówkę?
- I to nie jedną. Ten klasztor posiada tyle jaskiń, podziemnych korytarzy i cel, że tysiące z was mógłbym ukryć.
- To jest mi bardzo na rękę, gdyż dowiedziałem się, że są tutaj zakwaterowani Francuzi, a nie mam ochoty się z nimi spotykać.
- Tak, jest ich tu pod dostatkiem.
- Dlatego należy zachować wyjątkową ostrożność. Ja wam za to wszystko zapłacę.
- Co do ostrożności nie potrzebujecie się niczego obawiać. Ci Francuzi co tutaj przebywają nie posiadają broni i są raczej szczęśliwi z faktu, że Juarez wypuścił ich żywych, a co do zapłaty to powiedzcie mi skąd ją weźmiecie?
- Ja jestem bogaty – odparł Kortejo.
- Co to za bogactwa?
- Dla Korteja pytania te nie były wygodne, gdyż skrzywił się i odparł:
- Czy macie jakiś szczególny powód tego zainteresowania?
- Tak jest – odparł Hilario ze spokojem. – Mógłbym wam powiedzieć, że chcę wiedzieć czy będziecie mi w stanie wynagrodzić moje ryzyko, ale ja nie chcę od was żadnej zapłaty, chcę tylko lepiej poznać wasze stosunki i możliwości, abym w razie potrzeby mógł wam pomóc.
- Dziękuję wam, nie wiem tylko czemu zawdzięczam to zainteresowanie moją osobą?
- O tym dowiedziecie się później, teraz odpowiedzcie mi, jakie bogactwa macie na myśli.
- Jestem zarządcą majątku hrabiego de Rodriganda.
- Na twarzy zakonnika pojawił się dziwny uśmiech.
- Czyli innymi słowy, dochody z jego dóbr przeznaczacie na swoje cele.
- Twarz Korteja przybrała niespokojny wygląd.
- Tego bym nie powiedział.
- To mnie już mało obchodzi. Ja kieruję się tylko faktami. Zresztą co do tej administracji muszę zauważyć, że teraz i tak nic z tego nie będzie, bo jesteście wygnani z kraju, a więc ciekawi mnie w jaki sposób chcecie mnie wynagrodzić?
- Mam pieniądze, senior – odpowiedział zakłopotany Kortejo.
- Widocznie przyszła mu do głowy myśl, że nie zechce go u siebie ukryć.
- Gdzie? – spytał Hilario z bezwzględnością stanowczością.
- Dobrze schowane. Musiałem się zabezpieczyć na wszelkie ewentualności, zebrałem więc sobie całkiem niezłą sumkę.
- Chcecie powiedzieć, że te pieniądze zabraliście z dóbr hrabiego Rodriganda, dobrze rozumuję?
- Senior, skąd te przypuszczenia?
- Dobrze, już dobrze, rozumiem mimo tego, że nie chcecie mi zdradzić waszej tajemnicy, zresztą nie potrzebujecie się mnie obawiać, ja nie mam nic przeciwko temu, choćbyś senior temu Rodrigandzie zabrał i cały majątek.
- Słowa te wypowiedział z taką złością, że Kortejo mimo woli popatrzył na niego z większą uwagą.
- Dlaczego? – spytał. – Znaie może Rodrigandów?
- Lepiej niż bym chciał.
- Ach, jesteście względem niego wrogo usposobieni?

– Tak wrogo, że z największą chęcią byłbym tego Ferdynanda de Rodriganda udusił własnymi rękami, gdyby oczywiście żył, a ja miałbym okazję dostać go w swoje ręce.

Niezmiernie zainteresowało to Korteję.

– Mówicie to z prawdziwą złością – odezwał się. – Co on wam takiego uczynił, ten Ferdynand de Rodriganda?

– Po co te pytania? Sam przecież wiecie o tym i to dokładnie.

– Ja? A w jaki sposób?

– Nie poznajecie mnie?

– Zdaje mi się, że już was gdzieś widziałem, ale kiedy i gdzie, tego nie mogę sobie przypomnieć.

– Muszę wam przyjść z pomocą. Co do mnie, poznałem was natychmiast, pomimo tego, że brakuje wam jednego oka i że tyle lat minęło od czasu, kiedy się spotkaliśmy. Wyrzuciliście mnie wtedy za drzwi, senior.

Kortejo zbladł. Czyżby to była prawda? W takim razie mógł się raczej spodziewać zemsty niż pomocy od tego człowieka.

– Ja was wyrzuciłem za drzwi? – spytał. – Żartujecie chyba.

– O nie, mówię całkiem poważnie. Wówczas byłem młodym lekarzem.

Kortejo potrząsnął głową.

– Nie mogę sobie przypomnieć. Musicie się mylić.

– O nie, nie myślę się, wystarczy, że powiem wam moje nazwisko.

– Powiedzcie je, bardzo o to proszę.

– Nazywają mnie ojciec Hilario, ale wtedy nazywałem się Ignacy Mandrillo.

– Ignacy Mandrillo! – zawołał Kortejo z przerażeniem. – Czy to możliwe?

Na jego twarzy malowała się widoczna trwoga. Zakonnik spoglądał na niego z satysfakcją widząc to przerażenie, jakie na samo wspomnienie jego nazwiska owładnęło nim.

– No, teraz mnie poznajecie? – spytał.

Kortejo stał jeszcze ciągle z szeroko rozwartymi oczami.

– Tak – odrzekł. – To wy. Dziwi mnie, że nie poznałem was od razu. Senior spodziewam się, że nie będziecie mi pamiętać tych zamierzonych czasów.

– Dlaczego nie? – spytał Hilario, którego twarz przybrała ponury wyraz. – Te czasy pchnęły mnie na drogę, o jakiej nie miałem pojęcia. Dziwi mnie nawet, że udało mi się przeżyć tyle chwil cierpienia. Takich momentów nie zapomina się nawet w godzinie śmierci.

– Bardzo mi tego żal. Myślę, że nie będziecie się na mnie mścić. Ja byłem przecież tylko wykonawcą rozkazów mego pana.

Zakonnik przegryzł wargi, nie chciał się widać zdradzić z prawdziwymi zamiarami, więc odpowiedział:

– Jestem o tym przekonany, chociaż wtedy złość moja była o wiele większa i tak samo wielka na pana jak i na hrabiego.

– Zapomnijcie i tym! Zemściliście się już przecież.

– Skąd o tym wiecie?

– Nie wiem wprawdzie nic pewnego, ale myślę, że to wy byliście tym, który później...

– Ani słowa więcej! – przerwał mu zakonnik. – Nie chcę o tym słyszeć, ale muszę wam powiedzieć, że się okrutnie zawiodłem, kiedy usłyszałem, że hrabia umarł. Moje, na zewnątrz spokojne zakonne życie, wcale nie było takie spokojne, jak sobie wyobrażacie. Uczucie i pragnienie zemsty paliło mnie we wnętrzu dzień i noc. Pomału przygotowywałem plan zemsty, który niezawodnie by mi się udał, gdyby ten, przeciw któremu szykowałem cios nie umarł.

– Wolno mi zapytać co to był za plan?

– Nie pytajcie! Już za późno na zemstę.

Począł chodzić po pokoju dużymi krokami. Widać było, że chęć zemsty nie wygasła w nim całkowicie. Kortejo spoglądał na niego uważnie błyszczącymi oczami. Zrodziła się w nim myśl, która w przyszłości mogła być całkiem korzystna.

– A jeżeli, nie byłoby jeszcze za późno? – spytał pomału, lecz widocznym naciskiem.

Zakonnik stanął przed nim pytając:

– Nie za późno? Przecież hrabia nie żyje!

– Skąd o tym wiecie?

– Słyszałem, a także czytałem o jego pogrzebie.

– A jeżeli mimo tego zapewnię was, że on żyje, senior Mandrillo?

– Nie wierzę w to.

– Ale to czysta prawda.

Hilario pokiwał głową pytając:

– Chcecie mnie zwieść tak jak wtedy, senior? Teraz wam się to nie uda.

– O tym nie ma mowy. Powiedzcie, co za korzyść miałbym z tego, aby was oszukiwać?

– Naturalnie, że żadnej. Ale nikt mnie nie przekona, że hrabia Ferdynand de Rodriganda żyje.

– A ja powtarzam wam, że żyje. On tylko pozornie umarł.

– Pozornie? Ach, tego bym mu życzył z całego serca. Co to musi być za szalone cierpienie obudzić się z letargu i dopiero w grobowcu umierać dusząc się. Ale jak dowiedziano się, że on nie umarł tylko popadł w letarg.

– Podano mu pewien środek, który ten letarg wywołał.

– Do stu piorunów – zaklął zakonnik. – Toż to przecież zbrodnia!

– Wiele zbrodni uchodzi bezkarnie.

– To prawda, ale co za korzyść mieliby w tym ci, co spowodowali pozorną śmierć.

– Przypuśćmy, że była to zemsta.

– To całkiem niezły powód, ale hrabiego potem pochowano, więc musiał zginąć.

– Nie, w tajemnicy wyjęto go z trumny.

Hilario skierował swój przenikliwy wzrok wprost w oczy opowiadającego.

– Senior! – zawołał – Chcecie mi tu bajki opowiadać?

– Ani mi to w głowie. Wyjawiam wam bardzo ważną tajemnicę, a czynię to nie bez powodu.

– Co to za powód?

– Chcę wam dać okazję do zemsty.

Zakonnik zaśmiał się krótkim, urywanym głosem.

– Nie starajcie się mnie przekonać, senior – odpowiedział. – Daremny trud. O ile was poznałem, ku memu własnemu nieszczęściu, nigdy nie robicie niczego, co by wam nie przyniosło korzyści.

– To prawda, senior Mandrillo. Dając wam sposobność do zemsty, przy okazji zaspokoję swoją własną nienawiść do tego człowieka.

– To znaczy, że wy także macie jakieś porachunki z hrabią?

– Nawet wielkie.

– Czyli, że wy daliście mu ten środek, po którym popadł w letarg.

– Nie mogę ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, w tych sprawach należy zachować daleko idącą ostrożność.

– Właśnie w tych sprawach możecie być ze mną zupełnie otwarci, wiecie przecież jakie uczucia żywię do niego.

– Co mi pomoże moja otwartość, kiedy mi nie wierzycie.

– Obstawajcie więc przy tym, że hrabia żyje?

– Naturalnie.

– Senior, jeżeli mówicie prawdę...

– Mówię prawdę!

– To zrobilibyście mi tym taką radość, że nie wiedziałbym w jaki sposób mam się odplacić. Zemścić się, to jedyna moja rozkosz.

– Co za plan zemsty wymyśliliście wówczas?

– Nie powiem wam tego tak długo, dopóki nie dowiem się wszystkiego od was.

Kortejo spoglądał w milczeniu przed siebie nie wiedząc co ma robić. Wreszcie rezolutnie podniósł głowę i rzekł:

– Dobrze, zgadzam się na to i wtajemniczę was, bo możecie przysporzyć mi wiele korzyści, naturalnie pod jednym warunkiem, zachowania całkowitego milczenia.

– Przysięgam na Boga i wszystkich świętych, że tego, czego się od was dowiem, nikomu i nigdy nie powiem.

Przy tych słowach Hilario podniósł w górę rękę, jakby naprawdę chciał złożyć przysięgę. Kortejo odpowiedział:

– Chcę wam wierzyć i ufać, a więc po pierwsze oznajmiam wam, że to ja podałem hrabiemu środek, po którym popadł w letarg.

– Tak, domyśliłem się tego. Czy ktoś jeszcze o tym wiedział?

– Tylko moja córka. Byłem zmuszony ją wtajemniczyć.

– Jesteś pan pewny jej milczenia?

– Całkowicie.

– Czyli, że hrabia został pochowany w letargu?

– Nie, przebudził się, gdy wyjmowałem go z trumny.

– To wy zrobiliście?

– Tak jest.

– I nie zabiliście go?

– Nic.

– Co za głupota! – zawołał zakonnik z oburzeniem. – Zresztą dalej nie wiem, czy mam wam w to uwierzyć.

– Uwierzycie, jak się dowiecie reszty.

– Ale dlaczego pozwoliliście mu powrócić do życia?

– Aby zaspokoić moje pragnienie zemsty. Miał ginąć pomału, a nie w jednej chwili.

Oczy zakonnika błysnęły radością.

– To była świetna myśl. Co następnie zrobiliście z nim?

– Oddałem go w niewolę.

– Do diabła! Zaczynam was poważać. Przebywa tam do chwili obecnej.

– Tak myślałem, że albo tam gnije, albo już zginął, tymczasem udało mu się uratować i powrócił do Meksyku.

– Naprawdę?

– Niestety.

– Widzieliście go?

– Jeszcze nie, ale wiem to z całą pewnością. Znajduje się na północy, w forcie Guadaloupe.

– Dlaczego właśnie tam? Dlaczego nie przybył, by was oskarżyć?

– Bo jest bardzo słaby.

– Do pioruna! Chyba nie umrze?

– Mnie by to akurat bardzo ucieszyło.

– Wierzę, ale mnie nie. To co mi opowiedzieliście, na nowo zrodziło we mnie nadzieję, że może przyjdzie jeszcze czas, w którym będę mógł się zemścić. Och, wiele bym dał za to, gdybym mógł go dostać w swoje ręce.

– Co byście z nim zrobili?

– To co pierwotnie postanowiłem. Teraz mogę wam to powiedzieć. Chciałem go wrzucić do klasztornej więzienia i napawać się widokiem jego męczarni.

Po twarzy Korteji przebiegł radosny uśmiech, widocznie sądził, że wygrał. Po chwili spytał:

- Jak pan chciał dostać go w swoje ręce?
- W pierwszy lepszy sposób, to najmniejsza trudność, ale powiedzcie mi, na co choruje?
- Jest ranny w głowę, od cięcia, które otrzymał.
- Chyba nie śmiertelnie? Jak tylko wyzdrowieje, to prawdopodobnie opuści fort, aby powrócić do swoich posiadłości i wystąpić przeciwko wam z oskarżeniem. Chciałbym bardzo, aby w drodze do Meksyku zawitał do nas tu, do Santa Jaga.
- Mam go do tego skłonić?
- A jesteście w stanie?
- Naturalnie, ale spodziewam się, że spełnicie moją prośbę.
- Jaka, senior?
- Chodzi o to, senior, aby jego przyjaciół i towarzyszy także pozamykać.
- Hm! To może być możliwe, ale na pewno połączone z pewnymi z trudnościami. Może się to okazać albo konieczne albo zbędne, korzystne albo szkodliwe. Trzeba poczekać.
- Wy możecie czekać, ale ja nie. Muszę najpierw wiedzieć co w tej sprawie postanowicie.
- Dlaczego was to tak bardzo senior interesuje, czemu wam tak zależy na tym, aby ci ludzie zniknęli?
- Bo z całą pewnością dowiedzieli się od hrabiego o całej sprawie, a więc wyeliminowanie tylko Rodrigandy na nic się nie zda.
- To całkiem słuszne. Ale ci ludzie nic mi nie uczynili.
- Dotychczas nie, ale w przyszłości mogą się stać dla was niebezpieczni.
- A to w jaki sposób?
- Mogą odkryć więzienie hrabiego.
- Do diabła! O tym nie pomyślałem, chociaż mam wrażenie, że w całej tej sprawie można zachować ostrożność.
- Mogę wam wydać hrabiego tylko pod tym warunkiem, że równocześnie unieszkodliwicie jego towarzyszy.
- W waszej przeszłości musi być jeszcze jakiś ciemny punkt, który dotyczy tych ludzi, a którego mi nie zdradziliście.
- Słusznie przypuszczacie, ale nie chciałbym o tym mówić.
- Jeżeli chcecie zostać moim wspólnikiem musicie być ze mną zupełnie szczerzy, wszystko co się tyczy hrabiego muszę wiedzieć.
- Kortejo milczał przez chwilę, po czym z wahaniem odrzekł:
- Widzę, że muszę wam wszystko wyznać, ale musicie wiedzieć, że jeżeli choćby jedno słowo z tego co usłyszycie zostało zdradzone, zabiję was!
- Mnie? Ba! Przecież znajdujecie się w moich rękach, a nie na odwrót. Nie muszę się was obawiać, chociaż nie mam zamiaru was zdradzać.
- Mylicie się i to bardzo, senior. Są też inni wtajemniczeni w moje sekrety. Naturalnie zawiadomię ich, że wszystko wam opowiedziałem, więc to oni was ukarzą, jeżeli zechcecie mnie zdradzić.
- Kto jeszcze jest wtajemniczony?
- Przede wszystkim mój brat.
- Macie brata? Gdzie?
- W Hiszpanii. Jest zarządcą dóbr hrabiego Alfonso de Rodriganda.
- Nie wiedziałem o tym. Zapewne hrabia Alfonso ucieszy się niezmiernie, gdy się dowie, że jego stryj żyje?
- Kortejo zaśmiał się szyderczo.
- Przeciwnie! Zechce, żeby stryja piekło pochłonęło.
- Własnego stryja? – spytał Hilario zdziwiony.
- Hrabia Alfonso jest jednym z tych, którzy znają tajemnicę.
- Co? Naprawdę? On wie, że hrabia Ferdynand był tylko w letargu?

- Tak jest.
- I że później sprzedałeś go, senior w niewolę?
- Naturalnie. On wcale nie jest z nim spokrewniony.
- Jak to, przecież jest jego bratankiem.
- Nie. To właśnie jest ta tajemnica, która jeżeli wyjawicie, grozi wam śmierć. Hrabia Alfonso jest podsuniętym, nie rzeczywistym synem hrabiego Emanuela de Rodriganda.
- Hilario cofnął się w tył parę kroków, jakby na skutek silnego zdziwienia.
- I ja mam w to wszystko uwierzyć? – spytał.
- A czy inaczej zdradziłbym tak ważne sprawy, gdyby nie były prawdą?
- Rzeczywiście nie potrafię sobie wytłumaczyć, co mogło was skłonić do opowiedzenia mi takich bajek. Ale jeżeli Alfonso nie jest prawdziwym synem Rodrigandy, to czym właściwie jest?
- Jest synem mego brata.
- Czyli waszym bratankiem. Aha, teraz wszystko zaczyna mi się układać w logiczną całość. Rzeczywiście, jeżeli hrabia Alfonso jest waszym bratankiem, to możecie robić z jego majątkiem co wam się podoba.
- Wierzycie więc teraz, że jestem w stanie zapłacić wam?
- Wierzę, ale nie potrzebuję waszej zapłaty. Posiadam tyle ile mi potrzeba, a nawet nieco więcej. Powiedzcie mi jeszcze, co się stało z prawdziwym synem hrabiego Emanuela? Umarł?
- Niestety nie. Żyje i na dodatek przebywa w towarzystwie Hrabiego Ferdynanda.
- Do diabła! Wiedzą, że są krewniakami?
- Nie, ale łatwo mogą w tej materii dojść do porozumienia, jeżeli przypadek tak sprawi.
- Już ja się o to postaram, żeby do tego nie doszło. Muszę wam przyznać, że wiadomości te są bardzo ważne, nawet i dla mnie. Te okoliczności, o których mówiliście zupełnie zmieniają plan mojej zemsty.
- Bardzo mnie to cieszy. Muszę wam jeszcze dodać, że wszyscy towarzysze hrabiego, są zapalonymi stronnikami Juareza.
- Co takiego?
- Tak jest. Walczyli już nawet w jego obronie.
- Ha! Wsadzenie ich do więzienia będzie dla mnie prawdziwą rozkoszą. Kim oni są?
- Na czele stoi Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce...
- Ci co was ścigają?
- Naturalnie.
- Czyli, że nie są przy Juarezie.
- Wyruszyli jako jego przednia straż i przy pomocy Misteków zagarnęli moją hacjendę.
- Kto jeszcze?
- Niejaki Sternau, niemiecki lekarz. On jest z nich wszystkich najbardziej niebezpieczny. Prawdopodobnie jest najbliższym odkrycia całej tajemnicy, a swym bystrym umysłem ciągle szuka nowych śladów i dowodów.
- Ale skąd niemiecki lekarz znalazł się w zażyłych stosunkach z hrabiami i dlaczego w ogóle interesuje się tymi sprawami.
- To długa historia, na pewno by was znużyła.
- O nie, to wszystko bardzo mnie interesuje, o żadnym znużeniu nie może być mowy. Opowiadajcie!
- Kortejo widział, że nie ma innego wyjścia jak wtajemniczyć tego obcego, ba nawet nieprzyjaznego mu człowieka w najskrytsze intrygi i stosunki domu Rodriganda. Opowiedział to co najważniejsze, milcząc, o ile było to możliwe, nad swoimi nikczemnościami. Kiedy skończył zakonnik zawołał z najwyższym zdumieniem:
- Senior! Czy to wszystko to szczerą prawdą?

- Naturalnie – odparł Kortejo.
 - Ależ na podstawie tego można by napisać kilka tomów romansu. A co do tych wiadomości, czy wasza córka wie o tym wszystkim?
 - Oczywiście, słyszała od owego *vaquero*, potem zaś była więźniem Sternaua i od niego dowiedziała się wielu spraw.
 - Czyli, że ten Landola wszystkich was oszukał?
 - Pociągnę go do odpowiedzialności.
 - Tak, musicie to uczynić, chociaż jeżeli chodzi o mnie, to muszę być mu raczej za to wdzięcznym.
 - Wy? Jemu wdzięczni? Dlaczego to?
 - No bo gdyby względem was postępował uczciwie, to ja obecnie nie miałbym okazji zemścić się na Ferdynandzie Rodriganda. Jesteście pewni, że po jakimś czasie ujrzymy tutaj obu Indian?
 - Naturalnie. Na pewno zabrali z hacjendy konie i puścili się za nami w pościg. Ślady nasze zaprowadzą ich aż tutaj.
 - A czy nie lepiej będzie pozamieniać trochę te ślady?
 - Ale jak to zrobić?
 - Każcie swoim towarzyszom jechać dalej.
 - Myślicie, że Indianie dadzą się oszukać?
 - Tak.
 - To się grubo mylicie. Te draby są wyjątkowo spostrzegawcze.
 - To dobrze, przyjmujemy ich, ale co do waszych towarzyszy... naprawdę chcecie, abym ich także przechował u siebie?
 - A czy nie jest to możliwe?
 - Możliwe jest, ale odradzałbym. Obecności tylu osób nie da się ukryć. Łatwo by was wtedy odszukano i uwięziono.
 - A co mam z nimi zrobić?
 - Puścić ich wolno!
 - Tego nie mogę zrobić, senior Mandrillo!
 - Dlaczego?
 - Potrzebuję ich, w ogóle potrzebuję bardzo dużo ludzi.
 - Do czego?
 - Zapomnieliście o tym, że kandyduję na prezydenta?
- Zakonnik położył mu rękę na ramieniu i rzekł:
- Wy? Na miłość Boską, toż to tylko mrzonki, nie potraficie zostać nawet gubernatorem jednej choćby prowincji, a cóż dopiero prezydentem całego kraju.
- Kortejo poczuł się dotknięty, ale nauczony fatalnymi doświadczeniami ostatnich dni odrzekł dość niepewnie:
- Dlaczego tak mówicie?
 - Mam ważne powody. Potraficie może wypędzić z kraju Francuzów?
 - Teraz jeszcze nie.
 - A cesarza Maksymiliana?
 - Nie.
 - A czy ośmielicie się chociaż stanąć do walki z Juarezem?
 - Teraz nie, ale niedługo będzie to możliwe.
 - Tak, a kiedy?
 - Gdy tylko uda mi się zgromadzić nowe siły. Wówczas przyłączy się do mnie także Pantera Południa wraz ze swymi ludźmi.
 - Pantera Południa? I wy w to wierzycie?
 - Naturalnie.

– W takim razie budujecie zamki na lodzie. Pantera Południa sam chce zostać prezydentem, to co robi, robi tylko dla siebie.

– O tym wiem najlepiej. Dałem mu przecież całkiem okazały zadatek na pomoc, którą miałem od niego otrzymać.

– Naprawdę? To wielka głupota z waszej strony. Zapewne ta myśl, abyście rozpoczęli działania na północy kraju wyszła do niego?

– Tak.

– A więc wiecie, że chciał się was pozbyć. Na niego nie macie co liczyć.

– Do diabła, czy to wszystko prawda?

– Prawda, mogę wam to nawet udowodnić.

– W jaki sposób?

– Otrzymałem od niego list.

– Co? Wy korespondujecie z Panterą Południa?

– Już od dłuższego czasu.

– Mogę zobaczyć ten list?

– Tak. Teraz nie ma go przy sobie, ale przyniosę. Radzę wam jednak zaniechać wszelkich agitacji, bo nic nie wskóracie, tylko się ośmieszycie.

Kortejo poczuł się zupełnie pogiębiony i pokonany. Słowa te ubodły go bardzo boleśnie. Hilario patrzył na niego z wyrazem satysfakcji, ciesząc się jego poniżeniem. Po krótkiej chwili powiedział:

– Teraz idźcie senior Kortejo i przyprowadźcie swoją córkę. Wskażę wam kryjówkę w podziemiach klasztoru, swoich towarzyszy możecie tymczasem ulokować w jakiejś *vencie*, w miasteczku.

– Będę tam bezpieczni?

– A dlaczego by nie? Tylko niech się nie zdradzają z tym, że stanowią waszą kompanię.

– A co mam zrobić z tym myśliwym, Grandepri? Ten nie zechce mnie opuścić.

– On może przyjść z wami do klasztoru. Jego nie muszę ukrywać. Może tu wchodzić i wychodzić kiedy mu się spodoba, to nikogo nie będzie dziwić, bo wiedzą, że zawdzięcza mi bardzo wiele, nawet życie...

Podczas tej rozmowy Emila przebywała w swoim pokoju. Nie położyła się spać. Rozmyślała nad listami, które pokazał jej Hilario. Ponieważ pokój jej sąsiedował z pokojem zakonnika zauważyła więc, że jakieś osoby wchodzi i wychodzi stamtąd w tajemnicy. Wydało jej się to podejrzane, zgasiła światło i uchyliwszy nieco drzwi poczęła bacznie obserwować.

Po jakimś czasie usłyszała ponowne kroki. Drzwi pokoju zakonnika otworzyły się, a światło lampy padło na wchodzących. Przy jego blasku, poznała, że to jakiś mężczyzna z kobietą. Zanim drzwi się zamknęły zdążyła zobaczyć, że mężczyźnie temu brakuje oka.

Wkrótce znowu odezwały się czyjeś kroki. Ujrzała zakonnika schodzącego z latarką na dół po schodach, do piwnicy.

Hilario poszedł po list od Pantery Południa, który obiecał pokazać Kortejowi. Postanowiła zakraść się za nim.

Ostrożnie, bez szmeru zeszła po schodach na dół. Hilario pozostawił za sobą wszystkie drzwi otwarte, więc mogła podejść, aż do owego schowka w skale, gdzie przechowywał swoje listy i bogactwa. Zobaczyła jak otworzył szafkę i szukał jakiegoś listu, potem schował go do kieszeni.

Emilia musiała się cofnąć, aby jej nie zauważył. Szczęśliwie udało się jej powrócić do pokoju. Przez szparę widziała jak zniknął w swoim pokoju. Po jakimś czasie znowu wyszedł, tym razem nie sam, tylko z przybyszami. Prowadził ich obok niej, tak że udało jej się usłyszeć parę słów.

– Seniorita Józefa, tam, na dole będziecie zupełnie...

Więcej nic nie usłyszała. Gdy tylko zniknęli w korytarzu, Emilia wpadła na szaloną myśl, nie namyślając się wiele zabrała ze sobą parę zapalek i zakradła się do izby Hilario. Przy ich słabym świetle zabrała ze ściany klucze, te same, które przedtem brał zakonnik i ze zdobyczą szybko poszła do siebie.

Hilario powrócił sam. Postawił latarkę na stole i popadł w głęboką zadumę. Ani mu przez myśl nie przeszło, że podczas nieobecności miał w swej izbie gościa. Począł spacerować po pokoju mruczając cicho pod nosem:

– Co za wieczór! Zemsta, z której kiedyś musiałem zrezygnować teraz się rozpoczyna. Kortejo nawet nie przeczuwa co spadnie na jego głowę, że na nim zemszczę się o wiele bardziej niż na Rodrigandzie, bo to on wówczas najwięcej zawinił. Tymczasem jednak musi mi pomóc w moich planach. Co za głupota! Mnie, swojemu wrogowi zdradzać wszystkie tajemnice domu Rodriganda. Wykorzystam to wszystko dla własnych celów. Do stu diabłów! Jakby tak można było Manfreda podsunąć za hrabiego! Ale wtedy musiałbym zgubić wszystkich, którzy są w tę strawę wtajemniczeni. Zaczekam jeszcze, potem okaże się, jaką drogę mam wybrać. Jutro zapewne przybędzie pościg, będę miał masę roboty. Muszę się przespać! Jutro odniosę list Pantery do kryjówki.

Decyzja ta to wielkie szczęście dla Emilii, bo w innym wypadku zauważyłby brak kluczy na ścianie. Nie przeczuwał nawet jakie niebezpieczeństwo grozi jego tajemniczej korespondencji, spokojnie udał się spać.

Emilia czekała tylko na moment, w którym wszystko ucichnie. Może po godzinie całkowitego spokoju, kiedy mogła już być pewna, że wszyscy twardo śpią, wysunęła się ze swego pokoju zabierając ze sobą papier, ołówek i lampę.

Starannie zamknęła drzwi, aby nikt się nie domyślił, że pokój jest pusty i po ciemku zeszła po schodach aż do drzwi piwnicy. Potem, pamiętając o ostrożności dotarła do ściennego schowka.

Natychmiast otworzyła szafkę wyjmując listy, jeden za drugim i czytając je z uwagą.

Miały wielkie znaczenie przede wszystkim dla Juareza i jego sprzymierzeńców, wyjęła papier i ołówek odpisując co ważniejsze fragmenty. Pomimo pośpiechu i wielkiej wprawy w tych pracach nie wiedziała, czy upora się z wszystkim do rana.

Wtem jakieś przyciszone ludzkie głosy dotarły do jej uszu. Widocznie w sąsiedztwie znajdowali się ludzie. Podeszła do okrągłego otworu, który łączył izdebkę z inną celą. Przyłożywszy ucho do otworu mogła słabo, ale dość wyraźnie słyszeć prowadzoną tam rozmowę.

– Ufasz temu zakonnikowi? – spytał kobiecy głos.

– Naturalnie, całkowicie – odpowiedział mężczyzna.

– Ale on jest twoim wrogiem!

– Nie, on tak jak i ja zapomniał o dawnych czasach. Nienawidzi Juareza, a przede wszystkim chce się zemścić na Ferdynandzie de Rodriganda.

– Ja jednak uważam ojczyste, że musisz zachować wielką ostrożność!

– Nie obawiaj się o mnie, Józefo. Pablo Kortejo nie da się tak łatwo podejść, to powinnaś już wiedzieć.

– Chyba w ostatnich czasach mogłeś się przekonać, że są na tym świecie tacy, którzy swym sprytem przewyższają nas.

– To był zbieg fatalnych wypadków, które się wprawdzie wydarzyły, ale już się szybko nie powtórzą. Najgorsze jest to, że straciłem oko. Niech diabeł porwie tego łotra, co się jeszcze tak głupio nazywa, Sepi Dziób.

– Skąd wiesz, jak się nazywa.

– Grandepriś mi powiedział. Poznał go z opisu, gdyż wcześniej widział go przy Juarezie.

– Może jeszcze wpadnie w nasze ręce.

– Ha! Poniósłby zasłużoną karę, diabeł by lepszej nie wymyślił. Z początku miałem zamiar zawrzeć przymierze z Juarezem, gdyby mi się udał napad na tego Anglika, to z pewnością przyjąłby mnie, a ja zmusiłbym go do pomocy. Teraz wszystko przepadło!

– Gdzie jest Juarez?

– Jeżeli to prawda, że pomagają mu Stany Zjednoczone i Anglia, to niezawodnie szybko stanie na nogach. Zwłaszcza, jeżeli połączą się z nim ochotnicy amerykańscy, bez przeszkód ruszy naprzód. Wkrótce gotów dotrzeć do hacjendy del Erina.

– Dlaczego właśnie tam?

– Tak mi się wydaje, a zresztą tam zebrali się ci przekłeci Mistekowie, co odebrali nam naszą ostatnią deskę ratunku.

– Myślę, że jeszcze wszystko nie przepadło.

– Pomów z zakonnikiem, on uważa coś wręcz przeciwnego. Pantera Południa nas oszukał.

– To niemożliwe!

– Pokazał mi list od niego. To najlepszy dowód jego zdrady. Ale skończmy już tę rozmowę, jestem bardzo zmęczony, a ty zwłaszcza po tych wszystkich przejściach potrzebujesz odpoczynku. Spróbujmy zasnąć w tej paskudnej norze.

Zamilkli. Emilia nasłuchiwała jeszcze jakiś czas, ale daremnie, niczego więcej nie usłyszała.

– Posnęli już pewnie – rzekła sama do siebie. – Co za szczególnych odkryć dokonałem! Kim oni są? Kortejo i jego córka, w to nie mogę wątpić. Uciekli aż tutaj, do klasztoru i Hilario ukrył ich. Najważniejsze dla mnie, że Juarez wkrótce przybędzie do hacjendy del Erina. Sama będę musiała udać się do niego, by mu te ważne wiadomości zakomunikować, bo nie mam tutaj nikogo, komu mogłabym zaufać. Muszę przyspieszyć pracę.

Znowu poczęła odpisywać co ważniejsze fragmenty, aż wreszcie była gotowa. Poskładawszy wszystko na swoje miejsce, już się chciała oddalić, gdy nagle wzrok jej padł na skrzynie i paki stojące tuż przy ścianie. Przystanęła i sama siebie zapytała:

– Co robić? To pełne skarbów skrzynie, które według mnie należą do państwa, czyli do Juareza. Hilario nie ma do nich najmniejszego prawa. Mogłabym zabrać dla siebie najkosztowniejsze drobiazgi.

Przewyciężyła jednak chwile słabości i wróciła do swego pokoju. Podniecenie nie pozwoliło jej jednak spać, zaczęła przygotowywać się do wyjazdu.

Hilario wstał bardzo wcześnie, niosąc posiłek dla Józefy i jej ojca musiał przejść obok pokoju Emilii, która usłyszawszy kroki, wyszła mu naprzeciw.

– Tak pani wcześnie wstała, seniorito? – ucieszył się na jej widok. – Czyżby nie spała pani dobrze?

– Ależ skąd, spałam wyśmienicie, ale rano taki piękny, że chciałam się przespacerować.

– To znakomity pomysł, ale proszę, byś się pani w czasie spaceru zastanowiła nad odpowiedzią, której z niecierpliwością oczekuję.

– Oczywiście, senior – odpowiedział mile.

– Czy będzie pozytywna?

– Cierpliwości – lekko uścisnęła jego rękę.

Gdy tylko odszedł i zniknął za zakrętem Emilia weszła do jego pokoju i zawiesiła na ścianie wykradzione nocą klucze. Następnie z dużą paczką w ręku wymknęła się niepostrzeżenie z klasztoru i poszła prosto do handlarza koni.

– Pożycza pan konie? – spytała.

– Tak, seniorita. Chce pani jechać gdzieś na spacer?

– Nie, muszę i to zaraz odbyć daleką podróż. Czy potrafi pani milczeć?

– Biorę pieniądze za milczenie.

– Dostanie je pan z góry. Czy zna pan hacjendę del Erina?

– Tak, oddalona jest o parę dni jazdy, czy chce pani, aby ktoś jej towarzyszył?

– Nie.

- Odważna z pani kobieta, przewodników też pani nie chce?
 - Wystarczy dwóch ludzi.
 - Jak sobie pani życzy. Dostanie pani dwóch *vaqueros*. To pewni ludzie. Za pół godziny wszystko będzie gotowe.
 - Doskonale, niech zabiorę ze sobą tę paczkę. Ja pójdę, spotkam się z nimi za miastem, nikt nie może wiedzieć, w jaki sposób i w jakim kierunku opuściłam miasto.
- Zapłaciła sownie za przysługę i odeszła spokojnym krokiem.
- W oznaczonym czasie dogonili ją dwaj jeźdźcy prowadzący jednego luzaka z damskim siodeł.

POŚCIG I PUŁAPKA

Prawie w tym samym czasie w kierunku północnym mknął mały oddział złożony z dziesięciu jeźdźców. Był to Sternau z towarzyszami. W pewnej odległości za nimi jechali Mistekowie, których zabrał Bawole Czoło.

W pewnym momencie Sternau wskazał na trawę i powiedział:

– No, na całe szczęście nie zgubiliśmy śladów. Uciekinierzy odpoczywali tutaj, Zeskoczyli z koni, by obejrzeć ziemię.

– Tak – potwierdził Bawole Czoło – to oni. Taka sama liczba koni i wielkość kopyt.

– Dokąd prowadzi ta droga?

– Do Santa Jaga.

Szybko udali się dalej. Kolo południa ujrzeli w oddali trzech jeźdźców, ponownie się więc zatrzymali.

– To jakaś kobieta z dwoma mężczyznami – powiedział Sternau.

– Ujrzeli nas. Skręcają by nas wyminąć. Musimy im przeszkodzić.

– Ruszajmy! – zawołał Bawole Czoło.

Puścili się galopem i tamci widocznie zrozumieli, że nie ujdą pościgowi, gdyż wrócili ponownie na drogę. Gdy zbliżyli się na tyle, że mogli się już poznać. Bawole Czoło osadził konia na miejscu i zawołał:

– *Uff!* To przecież ta piękna *squaw* z Chihuahua.

– O kim mój brat mówi? – spytał Sternau.

– O senioricie, która była u francuskich oficerów.

– Seniorita Emilia? Ach, mój Boże, to rzeczywiście ona! Co ona tu robi?

Popędzili konie i wkrótce zrównali się z Emilią.

– Doktor Sternau! – krzyknęła zdumiona.

– We własnej osobie. Ale skąd pani się tu wzięła? Sądziłem, że seniorita jest w drodze do Meksyku.

– Bo byłam, ale teraz jadę do hacjendy del Erina. Czy zastanę tam Juareza?

– Nie, ale przybędzie za parę dni.

– Mam dla niego bardzo ważne wiadomości. Nie mogłam ich powierzyć posłańcowi.

– Może zsiądźmy z koni i porozmawiajmy, przy okazji trochę wypoczniemy. Problemu z posłańcem też nie będzie. Ale może pani musi osobiście mówić z Juarezem?

– Nie, chodzi tylko o to, aby dokumenty, które mam przy sobie, dotarły do jego rąk.

– Można je powierzyć naszym Mistekom. Zawiozą je do hacjendy i wręczą prezydentowi, gdy tylko się tam zjawi.

– Chętnie skorzystam z tej propozycji, senior. Muszę bowiem jak najszybciej znaleźć się w stolicy.

– A skąd pani teraz jedzie?

– Z Santa Jaga.

– My zaś właśnie tam podążamy. Spodziewamy się znaleźć w tym mieście osoby, które ściągamy od kilku dni.

– Czy chodzi o Korteja i jego córkę, Józefę? – spytała.

– Widziała ich pani może?

– Tak, w pobliskim klasztorze della Barbara. Przyjechali nocą i zostali ukryci w podziemiach.

Opowiedziała wszystko o wydarzeniach poprzedniego dnia, oczywiście zataiła osobiste szczegóły, gdy skończyła Sternau zapytał:

– Chciałbym, aby w drodze do stolicy towarzyszyli pani Mistekowie.

– A panu nie są potrzebni?

– Santa Jaga zajęta jest przez Francuzów, więc aby się tam dostać musimy posłużyć się podstępem, więc Indianie będą nam tylko przeszkadzać.

– Chcecie schwytać Kortejo i jego córkę?

– Naturalnie.

– To powinniście się zwrócić do Francuzów. Kiedy dowiedzą się, że ten „znakomity” kandydat na prezydenta ukrywa się w klasztorze, z wielką chęcią go pochwycą.

– Ale to my musimy pojmać Korteję! Czy może mi pani powiedzieć, jak dostać się do podziemi klasztoru?

– Naturalnie.

Dokładnie opisała całą drogę i sposób dostania się tam.

– Dobrze, ale jak rozpoznam klucze?

– Wiszą kolejno w pobliżu oka.

– Dziękuję, już wszystko wiem, pani jak rozumiem chce jechać do stolicy?

– Tak, jeżeli da mi pan obiecaną eskortę Misteków.

– Ma pani bagaż?

– Przy sobie mam tylko niezbędne rzeczy, a resztę na pewno przywiozą Francuzi, chociaż nic nie wiedzą o tym, że wyjechałam.

– W tym pani nie mogę pomóc, gdyż ci Francuzi, którzy są w miasteczku widzieli mnie w Chihuahua.

– Nie może się więc pan tam pokazywać.

– Też tak myślę, kiedy wyjechała pani z Santa Jaga?

– O siódmej rano.

– Czyli, że my przybędziemy tam w nocy. Dobrze, bo nikt nas wtedy nie zauważy. Czy mogłaby mi seniorita opisać mieszkanie ojca Hilario?

Emilia spełniła jego prośbę i wręczyła mu tajne dokumenty. Książe Skał wtajemniczył we wszystko Bawole Czoło, gdyż to on miał zdecydować, komu je powierzyć. Po chwili dwaj Mistekowie, zawrócili do hacjendy. Pozostali Indianie mieli towarzyszyć senioricie Emilii w drodze do stolicy.

Dosiadłszy konia, Emilia rzekła do Sternaua:

– Senior, muszę jeszcze pana ostrzec, ten Hilario to niebezpieczny człowiek.

– Proszę się uspokoić, nie dla nas. Szczęśliwej drogi.

– Do widzenia, panowie – powiedziała Emilia i wraz z Mistekami udała się w drogę.

Towarzyszący jej do tej pory *vaqueros* zawrócili do miasteczka.

– Senior Sternau, – spytał Helmer – czy nie powinniśmy jednak zatrzymać Misteków? Nie wiemy przecież co nas czeka? Może ich pomoc przydałaby się?

– Nie, ojciec Hilario nie zrobi nam nic złego, będzie musiał wydać Korteja. Jedyny błąd jaki popełniliśmy, to ten, że obu Misteków, którzy zawrócili do hacjendy nie poinformowaliśmy o celu naszej wyprawy.

– Chyba słyszeli.

– Wątpię, stali zbyt daleko, ale teraz ruszajmy już.

Popędzili co koń wyskoczy i po pięciu godzinach dotarli do miasteczka. Klasztor mimo ciemności widać było dość wyraźnie.

– Gdzie zostawimy konie? – spytał Helmer.

– Musimy znaleźć miejsce na wzgórzu, w okolicy klasztoru, tam je ukryjemy. Kto przy nich zostanie? – zwrócił się Sternau do towarzyszy.

– Ja, nie – odpowiedział Bawole Czoło.

– Ani ja, Niedźwiedzie Serce musi iść do Korteja.

– Ja też nie będę tutaj sterczał – dodał Piorunowy Grot.

– No cóż, wychodzi na to, że pozostawimy je bez opieki, boja też nie zostanę – zdecydował Sternau. – Miejmy nadzieję, że nikt ich nie ukradnie. Chodźmy! Musimy być ostrożni.

– To chodźmy boczną furtką, – dodał Bawole Czoło – by nikt oprócz ojca Hilario nas nie widział.

Wszystko to widział i słyszał jakiś mężczyzna leżący w krzakach, teraz podniósł się i szybko pobiegł do klasztoru. Był to Manfredo.

– Co się stało? – spytał zakonnik.

– Przyszli, jeden z nich to prawdziwy olbrzym.

– Chyba Sternau, ukryj się i pamiętaj, że nikt, nawet Grandepriese nie może ich widzieć.

– Mamy jeszcze czas, oni weszli dopiero do zagajnika, chyba chcą tam ukryć konie.

– To dobrze. Czy wszystko zapamiętałeś? Ty masz tylko świecić za nimi, ja z lampą w rękę będę szedł pierwszy. Gdy wejdę razem z nimi do oznaczonego korytarza, zatrzaśniesz drzwi i zasuniesz rygle. A teraz idź już!

Gdy został sam rozłożył księgi i udawał, że bardzo pilnie nad czymś pracuje, nagle drzwi otworzyły się bez szmeru i do środka wszedł Sternau ze swymi towarzyszami.

– Czy pan jesteś, ojcem Hilario? – spytał.

Zakonnik był tak przerażony, że dopiero po chwili mógł wydobyć z siebie głos.

– Tak, kim jesteście?

– Wkrótce się pan dowie.

Po tych słowach wszyscy weszli do środka, a gdy tylko ostatni zamknął za sobą drzwi, Sternau pytał dalej:

– Czy jest pan sam, senior?

– Tak.

– Nikt nie może nas słyszeć?

– Nie, nikt.

– To i dobrze, bo mam do pana prośbę – powiedział Sternau spokojnie, co uspokoiło Hilario.

– Czy nie zechciałby pan raczej powiedzieć, kim jesteście? – spytał.

– Dowie się pan, prosimy tylko o szczerą odpowiedź na nasze pytania. Proszę mi powiedzieć, czy nie był pan przypadkiem uprzedzony o naszym przybyciu?

– Nie, kto miał to uczynić?

– A czy wczoraj nie przybył tutaj pewien mężczyzna z kobietą.

– Nie.

– Nazywa się Kortejo.

– Nie znam tego nazwiska, żyję nauką i leczeniem, polityka mnie nie interesuje.

– A skąd pan wie, że nazwisko to związane jest z polityką? Nie próbuj nas senior dalej oszukiwać, wiemy, że prowadzisz ożywioną korespondencję z wszystkimi politykami w kraju.

Hilario zląkł się, skąd ten Sternau o tym wiedział.

– Myli się pan – zaprzeczył energicznie. – Nigdy nie słyszałem o żadnym Korteju.

– Czyli, że Kortejo i jego córka nie ukrywają się tutaj?

– Nie.

– Na pewno nie przebywają w podziemiach?

– Nie. W ogóle, jakim prawem wtargnął pan do mego mieszkania i zadaje tego typu pytania. Wezwę pomoc?

– To się panu nie opłaci.

- To czego chcecie ode mnie?
- Ma nam pan wydać Korteja i jego córkę.
- Ja nic o nich nie wiem.

Sternau stracił cierpliwość, złapał Hilario za gardło i ścisnął tak mocno, że zakonnikowi oczy wyszły na wierzch, ale zrozumiał, że to nie przelewki, bo wystękał:

– Ja... chcę...

Sternau zwolnił uścisk.

– Zatem oboje są tutaj?

– Tak.

– Gdzie?

– W podziemiach.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że są zamknięci?

– Tak, są mymi więźniami. Sternau przypatrzył się mu uważnie.

– Mówi pan prawdę?

– Tak senior. Nie wiem kto panu to wszystko powiedział, ale skoro już wiesz, to powiem, że Kortejo jest moim wrogiem. Przypadkiem chciał znaleźć u mnie schronienie, ale tak naprawdę wpadł w moje ręce. Zamierzam go trochę pomęczyć, a potem wydam Francuzom.

– Lepiej pan zrobi wydając go nam.

– Co z tego będę miał?

– Myśli pan o zapłacie? Może się to panu nie opłacić. Pytam krótko, wyda nam pan ich? Macie senior minutę do namysłu.

– Jestem gotów! Pozwól mi pan tylko zawołać mego bratanka, on pilnuje więźniów i ma klucze – powiedział zgodny nagle Hilario, po czym zastukał w ścianę.

Po chwili zjawił się Manfredo i pełnym ciekawości, a zarazem strachu wzrokiem zmierzył przybyszów.

– Panowie przybyli po naszych więźniów – powiedział Hilario.

– Kim są?

– To nie powinno cię interesować. Czy jest droga wolna?

– Raczej tak.

Hilario sięgnął po latarkę.

– Dla bezpieczeństwa i pewności – wtrącił Sternau – jeden z panów pójdzie przodem, a drugi z tyłu. Pierwszy będzie zakładnikiem, jeżeli coś złego się wydarzy, roztrzaskamy mu głowę.

Stało się jak przewidział Hilario. Gdy dotarli w podziemiach do piwnicy, której drzwi obite były blachą stanął, odsunął dwie zasuwki i powiedział do bratanka:

– Daj klucz!

– Czy tam są Kortejowie? – spytał Sternau.

– Nie, w następnym.

Manfredo otworzył zamek i odsunął się na bok, by przepuścić pozostałych. Hilario szedł przodem. Nikt nie zauważył, że przeciwległe żelazne drzwi nie są domknięte. Zanim cokolwiek zauważyli, zakonnik skoczył naprzód i zatrzasnął je za sobą. W tym samym momencie usłyszeli z tyłu taki sam odgłos. To Manfredo wykonał polecenie stryja. Znaleźli się w portzasku, a na dodatek w zupełnych ciemnościach.

– Do stu tysięcy diabłów! Jesteśmy uwięzieni! – zaklął Helmer.

– *Uff!* – westchnął Apacz.

Bawole Czoło strzelił w stronę drzwi.

– Co mój brat czyni? – spytał Sternau.

– Chcę roztrzaskać zamek!

– To na nic, zasuwki są zbyt mocne. Wyjął z kieszeni zapałki. W ich świetle ujrzeli mglistą smugę wydobywającą się spod drzwi i poczuli silny, duszący zapach.

– Chcą nas otruć! – krzyknął Helmer. – Wpuszczają jakiś gaz!

– Wsadźmy drzwi! – dodał Niedźwiedzie Serce.

Z całej siły naparli na nie, wszystko daremnie.

Za nimi stał Hilario i nasłuchiwał, na twarzy jego malowała się piekielna radość.

– Zwycięstwo! – rzekł do siebie. – Mogą się tłuc, żelazo wytrzyma, zasuwamy nie puszcza, a za dwie minuty będzie po wszystkim.

Istotnie, po kilku minutach wszystko ucichło. Hilario zastanawiał się czy ma wejść do środka, pomału odsunął rygle i ostrożnie otworzył drzwi, a sam szybko się cofnął, przed ostrym zapachem dochodzącym ze środka.

– Manfredo! – zawołał – Otwieraj drzwi.

Ten natychmiast spełnił polecenie i niebawem bez obawy można było wejść do środka. Hilario ukląkł przy leżących i sprawdzał ich puls.

– Żyją. Stało się jak powiedziałem. Zabierz sobie wszystko co ci się spodoba, potem ich zwiąż, ja zaraz wrócę razem z Kortejami. Niech się ucieszą widokiem swych wrogów, bo potem ja będę się cieszył ich losem.

Zakonnik minął szereg korytarzy, stanął przed jakimiś drzwiami i zapukał.

– Dobrze, że pan przyszedł – ucieszyła się Józefa. – Bardzo cierpię, czy zrobi mi pan nowy opatrunek?

– Nie seniorita, to zbyt ciężkie. Była pani źle leczona, a rana jest śmiertelna.

– Żartuje pan! Chce mnie pan wystraszyć?

– Przydałoby się, aby i pani poczuła co to jest strach.

Obojętnie patrzył na jej pobladłą twarz.

– Myślę, że niedługo wyzdrowieję.

– To dobrze, córeczko – powiedział Kortejo. – Senior Hilario nie ma dziś dobrego humoru. Co tam na górze? Czy szybko będziemy mogli stąd wyjść? Francuzi są jeszcze w miasteczku?

– Tak i nie prędko się stąd wyniosą.

– Niech ich diabli porwą! Mam dość tych ciemności! Nie moglibyśmy dostać innego pomieszczenia?

– Pomyślę o tym.

– A co z naszymi prześladowcami? Zjawili się?

– Tak. Przybyli. Jeden olbrzym...

– Sternau!

– Dwóch Indian...

– Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce, gdzie są?

– Chodźcie za mną, to sami zobaczycie.

Chętnie zgodzili się na tę propozycję. Kiedy minęli korytarz ujrzeli światelko dobywające się zza jakiś drzwi. Podeszli bliżej i ujrzeli Manfreda siedzącego przy skrupowanych więzniach. Kortejo podszedł bliżej i krzyknął zdumiony:

– To przecież oni!

– Rzeczywiście – dodała Józefa.

– Widzicie, mnie nikt nie ucieknie – powiedział Hilario.

Więźniowie odzyskali już przytomność i leżeli w milczeniu. Kortejo zwrócił się do zakonnika z pytaniem:

– Proszę powiedzieć, jak ich pan złapał?

– Później się pan dowie, teraz przede wszystkim musimy ustalić, co z nimi zrobimy.

– Dla nich nawet najciemniejsze lochy będą zbyt eleganckie – powiedział Józefa. – Codziennie należy ich chłostać, a żywić tylko raz w tygodniu.

– Prosiłbym panią o większą wyrozumiałość, bo sama też kiedyś może się znaleźć w takiej sytuacji.

– Żadnej wyrozumiałości! Prawda ojczy?

– Oczywiście – przytaknął. – Przez tych drabów straciłem oko, zabrano mi moją hacjendę i wymordowano ludzi. Nie ma dla nich zbyt okrutnej kary! Gdzie są lochy, w których senior ich umieści?

– Piętro niżej? Chce je senior zobaczyć?

– Oczywiście. Taki widok to czysta przyjemność! Czy zabierzemy ich wszystkich na raz? Trzeba by rozluźnić im więzy.

– Absolutnie! Mogliby uciec, przy pierwszej lepszej okazji. Teraz niech tu zostaną. Potem znieśliemy ich tam pojedynczo, chodźmy.

Zeszli na dół.

– To tu – powiedział Hilario stając w wąskim i długim korytarzu.

Po obu stronach znajdowały się małe cele, w drzwiach były judasze.

– Czy to te lochy? – spytała zaciekawiona dziewczyna – Niech pan pokaże jeden.

Hilario otworzył drzwi i oświetlił celę.

– O, dwa żelazne pierścienie, do czego służą? – spytał Kortejo.

– Do unieruchomienia więźnia. To misterne cacko, może się pan przekonać.

– Chętnie.

– Ja też chcę! – zawołała Józefa.

– Dobrze, chodźmy do podwójnej celi.

Weszli do dwumetrowego lochu, o kamiennej, pozbawionej czegokolwiek podłódze. Na wprost drzwi sterczały podwójne żelazne pierścienie.

– Jak w tych pierścieniach zamyka się więźnia, przecież tu nie ma klódek? – spytała Józefa.

– Nie są potrzebne, mają sekretny mechanizm, który je zamyka.

– Chcemy tego spróbować – powiedzieli zgodnym chórem,

– Usiądźcie więc przy pierścieniach.

Kiedy to zrobili, jednym ruchem zamknął żelazne obręcze.

– To wspaniałe! – zachwyciła się Józefa. – Nic podobnego nigdy nie widziałam.

– Zatem uważacie państwo, że ten loch to dobre więzienie?

– Wyśmienite – powiedział Kortejo. – Nikt się stąd nie wydostanie, ale otwórz pan pierścienie, przyjemności już nam wystarczy.

– Senior, powiedział pan przed chwilą, a córka pańska potwierdziła, że to znakomite więzienie.

– Oczywiście, jestem bardzo zadowolony, że nasi wrogowie będą tutaj uwięzieni.

– A ja się cieszę, – przerwał mu Hilario – że nie tylko oni.

Zaległa głucha cisza. Kortejo i jego ukochana córeczka dopiero teraz zdali sobie sprawę, że zakonnik zastawił na nich pułapkę.

– Czy pan oszalał? – zawołał Kortejo.

– Ja?! To raczej pan. Jak można było, w tak głupi sposób oddać się w moje ręce. Powiadam panu, nigdy nie wyjdziecie z tego lochu.

– Niech pan dłużej nie żartuje – prosił Kortejo. – Już wiemy co chcieliśmy wiedzieć, wiemy także jak czuje się człowiek skazany na zagładę w tym lochu.

– Nic jeszcze nie wiecie! Ale gwarantuję, że się wkrótce przekonacie! Nie jestem gorszy do was – odpowiedział.

– Nie zechcecie nas przecież tutaj zgubić?

– Dlaczego nie? Kto mi tego zabroni?

– Ja tego nie wytrzymam!

– Całkiem słusznie – zaśmiał się. – Tego nikt nie wytrzyma.

– Ja jestem słaba.

– Tym lepiej.

– Miejcie litość nad nami – prosił Kortejo.

– Litość? A wy mieliście litość nade mną albo nad tymi wszystkimi, którzy stali się waszymi ofiarami? Nareszcie nadeszła godzina odwetu, chociaż późno, bardzo późno, ale teraz nikt mi nie zabroni czerpać z niej aż do samego dna. Mieliście odwagę grzeszyć, ale teraz wam jej brakuje. Wstydzicie się, bierzcie przykład z tych czterech, którzy są zbyt dumni, by wyrzec choć jedno słowo.

– Jeżeli mnie wypuścicie, oddam wam wszystkie moje bogactwa – krzyczał Kortejo w bezgranicznym strachu.

– Na takie propozycje jeszcze za wcześnie, zresztą nie mam teraz czasu na dalszą rozmowę z wami. Nadchodzi wasz strażnik, jemu możecie się skarżyć do woli – zaś do nadchodzącego Manfredo rzekł: – Kortejo i jego córka nie mogą dzisiaj nic dostać.

– A pozostali?

– Tamtym do celi podasz chleb i wodę.

– Mogę z więźniami rozmawiać?

– Absolutnie, gdy tylko zrobisz co do ciebie należy masz natychmiast wracać.

Udał się do własnego mieszkania, gdzie wkrótce zjawił się i bratanek.

– Co mówili? – spytał Hilario.

– Ci czterej milczeli, za to Kortejo i jego córka lamentowali tak, że mnie uszy bołą. Nadal mają pozostać w tej norze?

– Naturalnie.

– Mają tam zgnić?

– To się jeszcze okaże, ale mówiłeś mi, że ci czterej ukryli swoje konie w zagajniku, na górze.

– Tak.

– Te zwierzęta mogą nas zdradzić.

– Musimy je stamtąd zabrać, ale dokąd?

– Idź tam i zabierz wszystko, co znajdziesz przy koniach, a je puść wolno.

– Szkoda ich, gdybyśmy je sprzedali to byłby niezły zarobek.

– Tak, tylko że sprzedaż mogłaby być naszą zgubą. Nadchodzi noc, masz więc dość czasu by wykonać moje polecenia. Tymczasem zadowolisz się zdobyczą, którą im dzisiaj zabrałeś. Jutro musisz poszukać śladów seniority Emilii.

Manfredo spojrzał na niego zdziwiony.

– Śladów seniority? Po co ci to? – spytał.

– To cię nic nie obchodzi.

– To dlaczego mam szukać jej śladów?

– No dobrze, powiem ci. Mam ważny powód, aby się o nią martwić.

– Jaki?

– Bo... bo ona zostanie twoją stryjenką?

Manfredo otworzył gębę jak wrona i spojrzał na stryja ogłupiałym wzrokiem, po chwili doszedł do siebie i spytał:

– Moją stryjenką?

– Tak.

– W takim razie musiałyby zostać twoją żoną?

– Naturalnie.

– Czyli, że ty chcesz się z nią ożenić?

Stary uderzył się w piersi i odpowiedział:

– Oczywiście, ona mnie kocha.

– Do diabła! Powiedziała ci to?

– Tak.

– Ona sama? Osobiście?

– A jak inaczej.

- W takim razie musiałeś się chyba przesłyszeć.
- Myślisz może, że ja nie mogę się z nią ożenić?
- Wierzę w to, że chciałbyś.
- Z senioritą Emilią?
- Tak, jeżeli się tylko zgodzi.
- Myślisz, że mi odmówi?
- Jestem przekonany.
- W takim razie jesteś największym osłem, jakiego ziemia nosi.
Za kilka dni dostaniesz stryjenkę, której cię wszyscy będą zazdrościć.
- Dlaczego za kilka dni, dlaczego nie zaraz?
- Bo poprosiła o kilka dni do namysłu.
- Namysłu?
- To taka formalność. Tak piękna kobieta nie może przecież zaraz rzucać się w ramiona mężczyzny i powiedzieć tak.
- Jeżeli rzeczywiście go kocha, to od razu się zgodzi. Stryjaszku, myślę, że nie będę potrzebował jej szukać.
- Dlaczego?
- Bo jej nie znajdę. Ona z pewnością uciekła, wymknęła się skrycie, bo nie chciała zostać twoją żoną.
- Z kolei stary rozdziawił usta i wyjąkał:
- Co za głupie myśli. Ma przecież tutaj jeszcze swoje rzeczy.
- Wszystkie?
- Nie, tylko niektóre drobiazgi.
- A resztę zabrała?
- Chyba tak.
- W takim razie na pewno uciekła.
- Do diabła, czyżbyś miał rację?
- Poszukam, gdy coś znajdę powiadomię cię z pewnością.

* * *

W kilka dni później, trzech jeźdźców zatrzymało się przy bramie hacjendy del Erina. Był to Mariano, sternik Helmer i mały André . Wyprzedzili nadciągające wojska Juareza. Już na pierwszy rzut oka poznali, że hacjenda była zamieniona w wielki obóz wojenny.

Mistekowie rozłożyli się w środku, strzegąc jej pilnie ze wszystkich stron. Żaden z Indian nie znał jeźdźców, dlatego zostali zatrzymani przy bramie.

- Kim jesteście? – spytała straż.
 - Posłańcami Juareza – odparł Mariano.
 - Możecie to udowodnić?
 - Tak, niech przyjdzie tutaj senior Sternau – brzmiała odpowiedź.
 - Jego tutaj nie ma.
 - No to, Bawole czoło.
 - Także go nie ma.
 - Niedźwiedzie Serce albo Piorunowy Grot.
 - Ci także są nieobecni.
 - A gdzie oni są.
 - Tego nie wiem, senior.
 - Kto tutaj dowodzi?
- Straż podała imię wodza.

– Nie znamy go, ale zaprowadźcie nas przed jego oblicze. Trzej jeźdźcy zsiadli z koni, zaprowadzono ich do wodza, który przenikliwie zaczął się im przyglądać.

– Przychodzimy od Juareza – odezwał się Mariano.

– Wasze nazwiska? Mariano wymienił je po kolei.

– Nie znam was – powiedział Misteka. – Czego tu chcecie?

– Mamy poinformować seniora Sternaua, że jutro przybędzie tutaj Juarez.

– Jesteście przyjaciółmi seniora Sternaua?

– Tak.

– W takim razie jesteście także przyjaciółmi naszego brata, Bawolego Czoła, a więc i moimi.

Witajcie!

– Gdzie jest Sternau?

– Tego nikt nie wie. Pojechał za uciekającymi?

– To znaczy za kim?

– Za Kortejem i jego córką.

– To oni tutaj byli i zdołali uciec?

– Córka Korteja, Józefa była tutaj i została uwięziona. Bawole Czoło i Piorunowy Grot powlekli ją nad staw krokodyli, aby tam ją męczyć, niestety... Nadjechał tymczasem jej ojciec, pozabijał naszych wojowników i uratował ją. Uciekli gdzieś, a Sternau puścił się za nimi w pościg. Razem z nim pojechali Bawole Czoło, Piorunowy Grot i Niedźwiedzie Serce. Była przy nich także garstka naszych wojowników, dwóch odesłali do hacjendy, a reszta dostała rozkaz towarzyszyć jakiejś senioricie w drodze do stolicy.

– Gdzie się rozłączyli?

– Tego nie wiem.

– Czy ci dwaj wojownicy są tutaj?

– Są, chcecie z nimi porozmawiać?

– Muszę i to natychmiast.

– Zaraz ich zawołam – gdy odszedł przybysze popatrzyli na siebie zafrasowani.

– Tutaj musiało wydarzyć się coś złego – powiedział Mariano. – Dlaczego tylko we czterech udali się z pościgiem. Bez wsparcia? Mogło ich spotkać jakieś nieszczęście.

– Mój brat jest razem z nimi – zauważył sternik. – Moim obowiązkiem jest pójść za nim. Nie mogę go opuścić.

– A ja tyle zawdzięczam Karolowi, – dodał Mariano – że gotów jestem nawet życie poświęcić dla niego. Co wy na to, senior André ?

Mały myśliwy wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Teraz jeszcze nic. Musimy najpierw przesłuchać tych dwóch Misteków.

Gdy się zjawili powiedzieli wszystko co im było wiadome i dodali, że ich zdaniem Sternau udał się w kierunku Santa Jaga.

– Czy znaleźlibyście to miejsce, w którym wasze drogi się rozeszły?

– Tak.

– Dobrze, niech jeden z was zaprowadzi nas tam i to zaraz, potem może wrócić do hacjendy.

Wymienili konie na świeże, przygotowali się do drogi i natychmiast wyruszyli. Przewodnik poprowadził ich na to miejsce, gdzie spotkali senioritę Emilię i wskazał kierunek, w którym leżała Santa Jaga.

Krótko przed zachodem słońca dotarli do miasteczka, gdzie rozdzielili się i każdy z osobna szukał Jakiś śladów. Miejsce przysłego spotkania wyznaczyli na górze klasztornej.

Mariano pojechał do jakiejś *venty* i zsiadając z konia kazał sobie podać kieliszek tekili.

Gospodarz był nadzwyczaj gadatliwym człowiekiem, zresztą nikogo nie było w środku, prócz jakiegoś posługiwacza, który rozłożył się leniwie w kącie izby.

– Mielicie dużo gości w ostatnim czasie? – spytał Mariano.

– O i to bardzo dużo – odparł gospodarz.

- Obcych?
- Tak, byli tu przecież Francuzi.
- Tak, a oprócz niego nie było nikogo innego.
- Było jeszcze paru.
- Pomyślcie, czy nie było tu przypadkiem osób, których szukam?
- Opiszcie mi ich senior.
- Dwaj biali i dwaj Indianie. Jeden z nich był bardzo roslym mężczyzną.
- Z brodą aż po pas? – spytał człowiek, który leżał na ławie.
- Tak. – rzekł Mariano – Widzieliście ich może?
- Widziałem.
- Gdzie?
- Pół dnia drogi stąd, na północ.
- Słuchajcie dam wam jednego srebrnego dolara, jeżeli mi dokładnie powiecie, gdzie to było.
- Obcy zerwał się ławy jak oparzony, srebrny dolar zrobił wrażenie.
- Senior, czy to prawda?
- Zawsze dotrzymuję słowa.
- Dobrze, opowiem wam, chociaż seniorita zakazał mi o tym mówić.
- Co za seniorita?
- Seniorita Emilia, ona przybyła razem z Francuzami z Chihuahua.
- Dopiero teraz Mariano domyślił się związku.
- Czego zabroniła wam mówić? – spytał.
- Przyszła do mego pana, zażądała konia i dwóch jeźdźców jako przewodników do hacjendy del Erina. Ja byłem jednym z nich. Jechaliśmy jakieś pół dnia, gdy spotkaliśmy czterech jeźdźców z Indianami. To ci, których senior szuka. Zsiadli z koni i ten wielki rozmawiał jakiś czas z seniorita. Dala mu jakieś papiery, które przekazał dwom Indianom i wyprawił ich w drogę powrotną do hacjendy del Erina. Seniorita zaś kupiła od nas konia i odjechała w towarzystwie pozostałych Indian.
- Dokąd?
- Myślę, że do stolicy.
- A co zrobili ci czterej?
- Pojechali do Santa Jaga. Wyprzedzili nas po drodze.
- Skąd się mogę dowiedzieć, gdzie się ulokowali?
- Do miasteczka nie przyjechali.
- Wiecie to z całą pewnością?
- Tak. Ponieważ zainteresowali mnie, to dowiadywałem się później we wszystkich gospodach, czy się przypadkiem gdzieś nie zatrzymali, ale nie.
- Może tylko przejechali przez miasteczko i popędzili dalej.
- Może, ale myślę, że pojechali raczej na górę klasztorną, bo tam wcześniej mieszkała seniorita.
- Tak, u kogo?
- U ojca Hilario.
- Można z nim porozmawiać?
- Naturalnie.
- Dziękuję wam, aha, jeszcze jedno pytanie! Czy przybyli tutaj poprzedniego dnia jeszcze jacyś obcy?
- Tak, – odparł gospodarz – zakwaterowali się w gospodzie na przeciwko. Był z nimi jeszcze jakiś mężczyzna, który wyglądał na Jankesa.
- Jak się nazywa?
- Tego nie wiem.

- A można z tymi ludźmi porozmawiać?
- Trudno ich spotkać, bo włóczą się gdzieś po całych dniach.
- Dziękuję, a to wasz dolar.

Zapłaciwszy, Mariano udał się na miejsce spotkania, gdzie zastał już Helmera. Gdy tylko dojechał André, opowiedział o wszystkim. Postanowili udać się do klasztoru. Mariano kazał swym towarzyszom czekać na siebie, sam chciał załatwić sprawę.

Zastukał w bramę. Pomimo, że zapadł wieczór wpuszczono go do środka, jak tylko powiedział, że chce się widzieć z ojcem Hilario. Gdy zakonnik ujrzał wchodzącego zdziwiony zawołał:

- Don Ferdynand!
- Mylicie się senior – powiedział spokojnie Mariano. – Nie nazywam się Ferdynand. Te słowa podziały jak zimny prysznic.
- Naturalnie – odparł Hilario. – To przecież niemożliwe! Jesteście tylko zadziwiająco podobni do człowieka, którego znałem przed laty.

- Wolno mi spytać do kogo?
- Do hrabiego Ferdynanda de Rodriganda!
- Znam to imię, ale hrabia jest już starym człowiekiem, nie można mnie z nim pomylić.
- Znacie go może?

Zadając to pytanie zakonnik uważnie patrzył na przybysza.

- Tak.
- Czy to prawda, że on żyje?
- Tak.
- A wolno spytać, gdzie przebywa?
- Obecnie na północy Meksyku.
- Dziękuję, a może dowiem się z kim mam przyjemność?
- Jestem hiszpańskim myśliwym, a nazywam się Mariano.

Zakonnikowi dziwnie zadrzała twarz, przecież wiedział od Korteja, że prawdziwy hrabia Rodriganda nosi właśnie imię Mariano. Jego ogromna nienawiść rozciągała się na całą rodzinę Rodrigandów.

Ucieszył się więc niezmiernie, gdy dziedzic tego rodu znalazł się w jego rękach. Ale musiał być ostrożny, przede wszystkim chciał się przekonać, czy to rzeczywiście ten sam Mariano, o którym mówił mu Kortejo.

- Jesteście myśliwym, senior? Na co polujecie? – spytał ostrożnie.
- Na wszystko, co wlezie pod nogi.
- A gdzie polowaliście?
- Przede wszystkim w mojej ojczyźnie, tutaj dopiero od niedawna.
- Czyli, że w Meksyku nie jesteście długo?
- Naturalnie.
- A wolno spytać, gdzie przebywaliście wcześniej, zapewne w Hiszpanii?
- Nie, byłem w Australii.

Hilario domyślił się, że to na pewno ten sam Mariano.

- Ale wcześniej byliście już kiedyś w Meksyku? – spytał dla pewności.
- Tak, z czego to wnosicie?
- Bo jeżeli się nie mylę, to już was kiedyś widziałem.
- Gdzie?
- W stolicy.
- Tak, byłem tam.
- Czyli, że się nie mylę.
- Tego nie wiem, to było już tak dawno.

- O senior, ja ma znakomitą pamięć. Twarzy, którą chociaż raz zobaczę nigdy nie zapomnę. Jeżeli dobrze pamiętam, to od tego czasu, gdy was widziałem minęło już dwadzieścia lat.
- Tak, to się zgadza. Tyle czasu nie byłem w Meksyku.
- Właśnie przypomniałem sobie, gdzie was widziałem.
- Bardzo mnie to ciekawi, gdzie?
- W domu jednego Anglika... aha już sobie przypomniałem jego nazwisko, to lord Lindsay.
- To prawda, bywałem u niego, ale jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żebym was tam widział.
- Nie mogliście mnie widzieć.
- Dlaczego?
- Bo ja gościłem tylko u jednego z jego służących, mego przyjaciela, więc widziałem was tylko kilka razy wchodzącego i wychodzącego.
- A tak, to co innego.
- Jeżeli się nie mylę, to byliście konkurentem do ręki córki lorda.
- Tak, rzeczywiście, byłem już wtedy z nią zaręczony.
- Bardzo mnie cieszy, że was znowu spotkałem, czym mogę wam służyć?
- Właściwie szukam moich czterech zaginionych przyjaciół.
- Kogo takiego.
- Myślę, że mogę wam zaufać.
- Ależ to naturalne.
- Szukam niejakiego Sternaua.
- Ach, on już u mnie był.
- Naprawdę?
- Tak.
- I odjechał?
- Tak.
- Dokąd?
- Tego nie wiem, wiem tylko, że szukał Korteja i jego córki.
- Tak, to ten sam.
- Musiałem go wpuścić, nic nie mogąc poradzić, tymczasem wyobraźcie sobie senior, wkrótce po jego wyjeździe przybywa... zgadnijcie kto?
- Może Kortejo!
- Tak jest, ten sam poszukiwany Kortejo.
- Do pioruna! Czego tu chciał?
- Szukał schronienia.
- I daliście mu?
- Naturalnie. Pomyślałem, że senior Sternau może powrócić.
- Chcieliście go wydać Sternauowi?
- Oczywiście – odparł zakonnik.
- Macie go więc jeszcze tutaj?
- Tak.
- O senior, zechcecie mi go wydać?
- Chętnie, ale pod jednym warunkiem.
- Jakim?
- Już tyle o was słyszałem, powiedzcie mi, czy to prawda, że wy jesteście prawdziwym hrabią Rodriganda?
- Skąd o tym wiecie?
- Słyszałem i to od różnych ludzi, a do tego udało mi się pociągnąć za język także i Korteja.
- Na Boga, powiedział wam? – Musiał.

– Ach, to paradne. Już tak długo szukałem dowodów, świadków, a tu nareszcie udaje mi się was znaleźć.

– Czyli, że to prawda?

– Tak, to prawda, tylko niestety dotychczas jeszcze nie potwierdzona.

Opowiedział mu pobieżnie historię swego życia, a na koniec zapytał:

– Czy Kortejo zdradził się przed wami?

Hilario bardzo uważnie słuchał i notował wszystko w pamięci, w końcu odpowiedział:

– Tak jest, zdradził się. Jeżeli będziecie potrzebować świadka, chętnie służyć.

– Dobrze, dziękuję tymczasem. Powiedzcie mi, gdzie go ukryliście?

– Siedzi razem z córką w podziemnym więzieniu.

– Razem z córką, więc Józefa też tutaj jest?

– Tak, jest.

– I oboje są uwięzieni?

– Tak.

– Jak wam się to udało?

– Prosto, poprosili mnie o dobrą kryjówkę. Nie musiałem obawiać się żadnej wpadki, gdyż przybyli tutaj niepostrzeżenie, dlatego spokojnie mogę wam ich teraz przekazać, naturalnie także po kryjomu.

– Możecie na mnie polegać, dotrzymam tajemnicy. Zechcecie mnie do niego zaprowadzić?

– Dobrze, chodźcie za mną.

Zapalił latarkę i zaprowadził Mariano na dół.

– Teraz pokażę go wam, ale nie mogę jeszcze wydać.

– Dlaczego?

– Bo sam nie mogę się mu pokazywać, a wy sami nie dacie rady wynieść go stąd cichaczem.

– Czekają na mnie za bramą moi towarzysze. Zupełnie o nich zapomniałem na skutek tych ważnych wiadomości.

– A kto to taki?

– Sternik Helmer i myśliwy André .

– Dobrze, później ich zawołamy, we trójkę poradzicie sobie, przy wyciąganiu ich z nory.

Zeszli do podziemia.

– Tylko proszę was, byście zachowali całkowite milczenie, nie chcę, aby nas zauważono – poprosił zakonnik.

Poprowadził go do bocznej celi, z której dość dobrze widać było uwięzionych.

– Tak, to oni – wyszeptał z cicha Mariano.

– A teraz chodźmy – rzekł zakonnik ciągnąc go za surdut. – Musimy sprowadzić waszych towarzyszy.

Wrócili do pokoju zakonnika i ten poprosił, by Mariano zaczekał chwilę.

– Chcecie ich sami zawołać? – spytał go zdziwiony.

– Tak.

– Dlaczego?

– Powiedziałem wam przecież, że wszystko musi się odbywać w największej tajemnicy, inaczej moglibyście i mnie i siebie zdradzić. Ja lepiej znam tutejsze stosunki, więc mogę ich niepostrzeżenie przyprowadzić.

Wyszedł, najpierw udał się do swego bratanka.

– Manfredo, bądź w pogotowiu, znowu mamy robotę.

– Jaką?

– Musimy schwytać trzech nowych.

Wydał mu stosowne rozporządzenia, po czym pospieszył do Helmera i André.

Ci dwaj nudzili się czekając tak długo. Wreszcie usłyszeli jakieś kroki. Zakonnik wyszedł przez boczną furtkę i zbliżając się do nich zapytał:

- Czy to może wy jesteście André i senior Helmer?
- Tak – odrzekł mały traper. – Gdzie nasz przyjaciel.
- U mnie, bądźcie tak dobrzy i chodźcie za mną – powiedział i wrócił do bocznej furtki. André natychmiast to zauważył więc zapytał:
- Dlaczego nie wpuszczacie nas główną bramą?
- Bo wasza obecność tutaj musi pozostać w tajemnicy.
- Dlaczego?
- Bo chcę wam wydać Korteja, i nikt nie może tego nawet zauważyć.
- Do stu piorunów, to Kortejo jest tutaj?
- Tak.
- Dobrze, już idziemy, ale co mamy zrobić z koźmi?
- Poprowadźcie je cicho wzdłuż muru aż napotkacie drzewa, tam je przywiążcie. Ja tu na was zaczekam.

Zrobili jak im poradził, po czym niepostrzeżenie weszli do klasztoru, a potem do pokoju zakonnika.

Ostrożny jak zwykle André podzielił się swym niepokojem z Mariano, ale słysząc od niego, że już widział Korteja i jego córkę uspokoił się.

Odbyła się podobna procedura, jak przy Sternaule i jego towarzyszach.

Zostali wprowadzeni do kwadratowego zagłębienia skały i pod pretekstem, że zapomniał klucza do dalszych drzwi, cofnął się, a do środka wpuścił ten sam trujący gaz, potem starannie zaryglował za sobą drzwi.

Po kilku chwilach zapanowała cisza. Hilario usłyszał czyjeś kroki

- Czy to ty Manfredo? – zawołał zakonnik.
- Tak – odpowiedział nadchodzący.
- Chodź prędzej, już czas.
- Czy już są w środku? – spytał.
- Tak.

Odryglował drzwi. Osunęli się na bok, aby wypuścić ze środka gaz, po czym weszli do celi. Trzej mężczyźni leżeli na ziemi nieprzytomni. Hilario schylił się i zbadał puls.

- Żyją! – zawołał – A teraz szybko zabieraj ich stąd.
- Dokąd?
- Tam gdzie pozostali.
- Poczekaj, najpierw muszę im zabrać broń.

Manfredo zaczął przeszukiwać kieszenie więźniów, zabierając przy tym wszystko co mu się spodobało. Kiedy przystąpił do Mariano zawołał:

– Patrz stryjaszku, co to za pierścień? Czy to diament?

Zdjął sygnet i podał zakonnikowi.

– Tak, to diament, a nad nim hrabiowski herb Rodrigandów. Schowam go tymczasem u siebie.

– A ja myślałem, że wszystko co znajduję należy do mnie – odrzekł niezadowolony Manfredo.

– Oczywiście.

– To dlaczego chowasz ten sygnet?

– Jest twój, nie bój się, tylko tymczasowo muszę go przechować, bo przy jego pomocy zamierzam zrealizować pewien plan, potem ci go oddam.

Wywlekli trzech nieprzytomnych mężczyzn i powsadzali każdego z osobna do więziennych celi.

Hilario otworzył drzwi więzienia Korteja, tak że mógł on, przy świetle latarni zauważyć niesionego Mariano.

– Mariano! – krzyknął zdziwiony.

– Tak, to on – potwierdziła Józefa.

W tej chwili zakonnik podszedł do nich.

– Uwaga, nadchodzi ten szatan, Hilario – zawołała Józefa.

– Kto szatan? Ja? – spytał z uśmiechem. – A jak w takim razie należy nazywać was. Chyba tylko królową szatanów! Myślicie, że tymi wyzwiskami polepszyacie swoje położenie?

– Co wam zrobiliśmy, że się tak nad nami znęcaliście?

– Nic, mam tylko rachunek do wyrównania z waszym ojczulkiem. Że wy przy okazji cierpicie, to nie moja wina. Trzeba było wybrać sobie na ojca, mniejszego drania.

– Sam jesteś draniem! – zawołał Kortejo zgrzytając zębami.

– Nie denerwujcie się tak, pomyślcie raczej, jak poprawić swoje położenie, to leży tylko w waszych rękach.

– W jaki sposób? – spytał Kortejo.

– Chcę się od was dowiedzieć o pewnej sprawie. Jeżeli mi dokładnie i otwarcie wyjawicie prawdę, dostaniecie lepszą celę i pożywienie.

– A o co wam chodzi?

– O Henryka Landolę.

– Dlaczego?

– To moja sprawa. Obiecaliście temu Jankesowi, Grandepri, że oddacie mu Landolę.

– Tak.

– Czyli, że uważacie, że jest to możliwe?

– Jak najbardziej.

– Jesteście więc przekonani, że możecie się z nim jeszcze spotkać?

– Tak.

– Gdzie?

– Tego dokładnie nie wiem.

– Ale ja chcę wiedzieć. Jeżeli mi powiecie, ulżę waszej doli.

– A co chcecie od Landoli?

– Wyrównać z nim rachunki.

– Chcecie go potraktować tak jak nas?

– Jeszcze lepiej.

– To wcale nie jest mi na rękę, ale i tak nic bliższego na ten temat nie wiem.

– A moglibyście się dowiedzieć?

Kortejo milczał.

– Dobrze, zachowajcie tę tajemnicę dla siebie, jeżeli chcecie tu zdychać – zwołał zakonnik.

Już chciał zamknąć drzwi, kiedy Józefa szybko zawołała:

– Na boga! Powiedz mu ojcie! Ja nie chcę tutaj umierać, chcę żyć. Och, te potworne bóle w boku.

– Wierzę wam – odparł Hilario. – Źle was leczono, ja mógłbym was wykurować, a właściwie całkowicie wyleczyć, ale sami nie chcecie.

– Ja chcę, chcę. Ojcie powiedz mu! – wołała nagłaco.

– On nas i tak dalej będzie katował – odparł Kortejo.

– O nie – odparł zakonnik. – Jeżeli szczerze powiecie całą prawdę, zabiorę was z tej nory.

– Dobrze, ale będę mówił pod pewnym warunkiem.

– Nie wierzycie mi, no cóż, nie mogę wam mieć tego za złe. Zdejmę wam z żelazne obręcze, ale powiążę sznurami, aby żadna głupia myśl nie wpadła wam do głowy.

Przy pomocy Manfredo rozluźnił obręcze.

– Teraz chodźcie za mną – rzekł postępując. – Dam wam lepsze więzienie, z którego będziecie zadowoleni.

Przy końcu korytarza otworzył drzwi do dość obszernej celi.

– Tutaj zostaniecie – rzekł.

Weszli do środka głęboko oddychając. Tu mogli przynajmniej stać lub położyć się na ziemi.

– Ja dotrzymałem słowa – powiedział Hilario – Teraz mówcie, gdzie i jak mogę dowiedzieć się o Landoli?

– U mego brata – odparł Kortejo.

– Czyli w Hiszpanii?

– Tak.

– To za daleko, nie można by zasięgnąć języka gdzieś bliżej?

Kortejo popatrzył na niego z wściekłością i zapytał:

– A naprawdę zostaniemy tutaj, w tej celi?

– Tak.

– Dostaniemy jeść pod dostatkiem?

– Dostaniecie, jeżeli będziecie odpowiadać.

– Jeżeli jeszcze dwie rzeczy mi obiecacie, to wyznam wszystko.

– O co wam chodzi?

– Po pierwsze, że nas nie zamordujecie, ani nie zamorzycie głodem, a po drugie, że wyleczycie moją córkę.

– Przyrzeknę, jeżeli wiadomość będzie pewna.

– Ona będzie pewna.

– To mówicie.

– Ale ja wam nie wierzę, najpierw złożcie przysięgę.

– A w czym wam to pomoże. Jeżeli rzeczywiście jestem takim wiarołomcom, to nie dotrzymam żadnej przysięgi.

– To prawda, niestety jesteśmy całkowicie w waszych rękach. Powiem wam więc, że już napisałem do mojego brata, bo chciałem się dowiedzieć, gdzie może przebywać Landola.

– Czekacie na odpowiedź?

– Tak.

– Kiedy?

– Już powinna nadejść?

– Dokąd?

– Do Vera Cruz, tam mieszka mój agent.

– A dlaczego nie w stolicy?

– Zapominacie, że mam zakaz przebywania w tym mieście?

– To prawda, a kto jest waszym agentem?

– To powiem dopiero wtedy, gdy dostaniemy żywność i zbadacie moją córkę.

– Senior Kortejo, zapominacie, że nie macie prawa stawiać mi żadnych warunków, ale dzisiaj wyjątkowo jestem w dobrym humorze, więc uczynię co żądacie. Manfredo przynieś wina, chleba, a ja tymczasem zbadam senioritę.

Bratanek oddalił się, a kiedy wreszcie wrócił Hilario właśnie kończył badanej chorej. Stwierdził, że będzie w stanie wyleczyć ją.

– Dotrzymałem słowa, teraz na was kolej.

– Mój agent jest rybakiem i nazywa się Gonsalvo Verdillo – odparł Kortejo.

– Jesteście pewni, że odpowiedź już do niego dotarła.

– Tak.

– A w jaki sposób można od niego to dostać?

– Przez posłańca.

– Odda mu ją?

- Tylko wtedy, gdy posłaniec przywiezie list ode mnie.
 - A agent zna wasze pismo?
 - Nawet dokładnie.
 - W taki razie napiszcie ten list?
 - O tym nie było mowy, przyrzekłem tylko udzielić wam informacji i to zrobiłem.
 - Nie chcecie więc napisać listu?
 - Za darmo, nie.
 - Czego żądacie w zamian?
 - Prawdziwej wiadomości o Mariano, którego tutaj zobaczyliśmy.
 - Widzieliście przecież, że go uwięziłem. Został wtrącony do celi, podobnie jak Sternau i pozostali.
 - Co zamierzacie zrobić z nimi wszystkimi?
 - Teraz jeszcze nie wiem. Przede wszystkim rozpocznę się na nich mścić. To moja odpowiedź, teraz piszcie.
 - Tylko pod jednym warunkiem.
 - Znowu warunek? Radzę nie nadużywać mojej cierpliwości. czego jeszcze chcecie?
 - Przeczytać list mojego brata, gdy tu dotrze.
 - Na to mogę się zgodzić, czego więc potrzebujecie do pisania?
 - Papieru listowego, koperty, pióra i atramentu.
 - Zaraz to przyniosę.
 - Mam pisać list w tej norze?
 - Naturalnie. Muszę wam powiedzieć, że to nie nora, czy chcecie może pisać w salonie? Bardzo się mylicie, każę wam zdjąć z rąk więzy, ale przy najmniejszym, podejrzanym ruchu, pošlę wam kulkę. To przestroga, a teraz, Manfredzie, pilnuj ich.
- Gdy przyniósł potrzebne przedmioty, Kortejo z trudem, ale w końcu napisał żądany list. Hilario przeczytał go dokładnie mówiąc:
- Wydaje się w porządku, chyba że macie jakieś umówione znaki z waszym agentem?
 - Nie.
 - To by wam tylko mogło zaszkodzić. Jak odpowiedź nadejdzie, dam wam ją do przeczytania.
- Po tych słowach zamknął drzwi więzienia i oddalił się razem z bratankiem:
- Kto ten list zawiezie do Vera Cruz? – spytał Manfredo.
 - Amerykanin, Grandepriese.
 - A gdy go spytają o Korteja?
 - Zostaw to mnie. Teraz przede wszystkim musisz uprzętnąć konie tych nowych.
- Następnego dnia rano Hilario zaprosił do siebie Grandepriese'a.
- Senior, – powiedział na jego widok – mam dla was robotę. Byliście już może kiedyś w Vera Cruz?
 - Byłem – odparł.
 - Czy trudno będzie wam znaleźć najkrótszą drogę?
 - Mnie? Traperowi? To dobre, ale co znaczą te pytania?
 - Mam do was prośbę, abyście zawieźli tam list.
- Myśliwy zachmurzył się.
- Senior, – rzekł – wprawdzie uratowaliście mi życie i chętnie bym zrobił dla was wszystko, ale obecnie nie jest to możliwe.
 - Dlaczego?
 - Bo jestem w służbie u pana Kortejo, więc nie mogę wyjeżdżać.
 - Ale to właśnie list seniora Korteja.
 - On mnie posyła do Vera Cruz?
 - Tak.

- Do stu piorunów! Zaczynam pojmować dlaczego.
- Dlaczego więc?
- Chce się mnie zapewne pozbyć.
- Dlaczego?
- Żeby nie musiał dotrzymać słowa, które mi dał.
- Myślicie zapewne o tym Landoli?
- Tak. Ale skąd wy o tym wiecie?
- Kortejo mi powiedział, ale muszę wam wyjaśnić, że źle się domyślacie. Kortejo wysyłając was do Vera Cruz, nie chce was usunąć, przeciwnie chce wypełnić swe przyrzeczenie. Właśnie tam, u jego agenta powinien znajdować się list zawierający informacje o miejscu pobytu Landoli. Macie mu właśnie przywieźć ten list.
- A, to co innego, ale dlaczego sam mi tego nie zlecił tylko posługuje się wami.
- Bo sam nie może, wyjechał.
- Wyjechał? – spytał traper. – Kiedy?
- Dziś w nocy.
- To mi się wydaje bardzo podejrzane, mister Hilario.
- Dlaczego? W obecnym położeniu łatwo może się zdarzyć, że trzeba nagle, bez uprzedzenia wyruszać w drogę. Czy przyrzekł wam, że tu zostanie?
- Nie.
- A może ma względem was, jakieś szczególne obowiązki?
- Hm, jakby nie patrząc, uratowałem mu życie i wolność. Beze mnie by zginął, albo został schwytany, a już z całą pewnością straciłby wzrok. Takiego dobrodzieja nie opuszcza się bez słowa.
- On nie mógł inaczej postąpić. W nocy przyjechał posłaniec, który przekazał mu jakąś informację, natychmiast po tym wyjechał.
- Dokąd?
- Do Pantery Południa.
- Niech tego Panterę Południa, diabli porwą.
- Ledwo zdążył napisać ten list i prosił, abym go wam przekazał.
- W tym liście rzeczywiście jest wzmianka o Landoli?
- Naturalnie, czytałem go.
- A do kogo jest zaadresowany, pokażcie mi.
- Do rybaka Gansalvo Verdillo. To on jest agentem Korteja i u niego ma znajdować się list zawierający wiadomości o Landoli. Ten list macie stamtąd przywieźć.
- Dokąd? Może do Pantery Południa.
- Nie, tutaj, do mnie.
- Ale Korteja tutaj nie ma.
- Zdąży wrócić przed wami.
- No cóż, zgadzam się. Dajcie to pismo, wyruszam zaraz.
- O to właśnie chciałem was prosić, abyście wyruszyli jak najszybciej i równie szybko wrócili. Ale miejcie się na baczności. Mieć przy sobie list Korteja to niebezpieczna sprawa, można przyplącić to nawet życiem.

* * *

Stan Pedro Arbelleza znacznie się poprawił. Poczciwa Maria pielęgnowała go z największą sumiennością, więc z każdym dniem, zwłaszcza pod wpływem cudownego indiańskiego zieleń, które przynieśli Mistekowie, rany szybko się goiły.

Właśnie siedział w fotelu obok okna wychodzącego na północ, bo stamtąd spodziewał się powrotu córki i rozmawiał z Marią:

- Wszystkie cierpienia zniosę, jeżeli ją tylko zobaczę – powiedział do Marii.
- O senior, ja także się niezmiernie cieszę.
- Prawda, że Antonio mówił, iż Emma wygląda dobrze?
- Tak, nawet bardzo dobrze.
- A jest zdrowa?
- Zdrowa i wesoła.
- Mówił, że przyjedzie wkrótce?
- Tak senior.
- To dlaczego nie wraca, ja już tak długo czekam.
- Nie traćmy cierpliwości. Juarez ją przyprowadzi.
- Ale dlaczego nie przybędzie wcześniej?
- Chcecie może stracić ją po raz drugi?
- Niech Bóg zachowa, ale co tam na horyzoncie się tak czerwieni?

Popatrzyła przez okno i zawołała:

- Senior, to wygląda tak, jakby cała masa jeźdźców nadciągała.
- Dobry Boże! Może to Juarez?

Znów wyteżyli wzrok.

– Tak, to jeźdźcy – powiedziała Maria. – Jadą w naszą stronę, może jest z nimi i seniorita Emma?

Arbellez oparł się o fotel, wzruszenie odebrało mu siły. Zamknął oczy i nasłuchiwał.

Wojsko galopowało wprost do hacjendy. Apacze połączyli się z Mistekami, którzy wyjechali im naprzeciw.

Wreszcie na dziedzińcu zaczęło dudnić, na schodach dało się słyszeć szybkie kroki. Arbellez otworzył oczy.

– Juarez! – zawołał na widok wchodzącego.

– Prezydent! – krzyknęła Maria.

– Tak, to ja – odparł przybysz. – Witajcie senior Arbellez. jak się czujecie?

– Źle, bardzo źle senior – odpowiedziała Maria. – Józefa Kortejo kazała go bić, póki krew nie zaczęła tryskać, potem wrzuciła nas do piwnicy. Nasz dobry pan, ogromnie się wycierpiał.

Juarez zmarszczył brwi, chciał jeszcze o coś zapytać, gdy nagle w drzwiach pojawiła się Emma.

– Ojczy! – krzyknęła radośnie padając w objęcia chorego. Tak długo nie słyszał tego głosu, a jednak natychmiast go poznał.

– Emma, moje dziecko!

To było wszystko co zdołał wypowiedzieć, potem w milczeniu objął swą ukochaną jędnaczkę.

Juarez pociągnął Marię za rękę mówiąc:

– Zostawmy ich samych. Po takiej długiej rozłące należy im się chwila samotności, nie trzeba im przeszkadzać. Ale powiedzcie seniorita, gdzie jest Sternau?

– Wyjechał.

– A Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i inni?

– Także wyjechali.

– Dokąd?

– Tego nie wiem.

– Musieli przecież powiedzieć, dokąd jadą.

– Nie mogli tego powiedzieć, bo sami nie wiedzieli. Udali się w pościg za Józefą Kortejo.

– Uciekła im?

– Tak.

Maria opowiedziała pokrótce całą historię, zaraz potem przybyła Karia, Juarez zaś musiał się oddalić, by wydać rozkazy.

Lindsay i Amy przyjechali także, lord właśnie rozmawiał z Juarezem, gdy nagle w drzwiach stanął wódz Misteków z jakimiś papierami.

– Co mój brat przynosi? – spytał prezydent.

– Listy dla ciebie – brzmiał krótka odpowiedź.

– Od kogo?

– Od seniora Sternaua. Dała mu je jakaś seniorita. Spotkał ją, kiedy ścigał Józefę Kortejo, zanim pojechał dalej przesłał te listy dla ciebie.

Juarez czytał uważnie, po dłuższej chwili dopiero odłożył papiery na bok. Twarz jego zdradzała skupienie.

– Proszę wybaczyć senior, – zwrócił się do lorda – to było bardzo ważne.

– Wiadomości od Sternaua?

– Nie, tylko przez niego przesłane. Czy mówiłem już panu o senioricie Emilii?

– Tak.

– To mój wielki sprzymierzeniec, mam jej wiele do zawdzięczenia i teraz znowu oddała nam wielką przysługę. To mogło się udać tylko jej. Jeszcze dzisiaj muszę opuścić hacjendę.

– Dokąd pan jedzie?

– Jadę wprost do Durango.

– Co za odwaga!

– Nie taka znów wielka. Dostałem właśnie pewne wiadomości z różnych obozów. Czekają tylko na mnie. Proszę senior, sam niech pan przeczyta.

– A może pan tym odpisem zawierzyć? – spytał lord, gdy skończył.

– Całkowicie.

– W takim razie, informacje rzeczywiście są bardzo ważne. Nie pozostaje panu nic innego, jak natychmiast wyruszać, ja...

– A pan zostanie tutaj i poczeka na seniora Sternaua.

– Myśli pan, że on tu wróci?

– Naturalnie, jak tylko schwyta zbiegów, to wszyscy powrócą do hacjendy.

Prezydent jeszcze tego samego dnia opuścił hacjendę. Wziął ze sobą znaczne siły, zostawiając tylko nieliczną załogę.

* * *

Minęło sporo czasu, a od Sternaua nie nadchodziły żadne wiadomości. Szczególnie zaniepokojona była Amy i Emma.

Jakiś tydzień po wyjeździe Juareza do hacjendy zbliżali się nowi jeźdźcy. Dwudziestu Apaczów towarzyszyło pięciu białym, był to hrabia Ferdynand, wiedeński lekarze, Pepi i Zilli.

– Tam leży hacjenda – rzekł hrabia wskazując ręką na zabudowania – Przedtem należała do mnie, ale darowałem ją później memu wiernemu przyjacielowi, Arbellezowi. Ciekawe, jak on obecnie wygląda?

Arbellezowi stan zdrowia znacznie się poprawił, mógł już się poruszać o własnych siłach. Siedział właśnie ze swoją córką, kiedy nagle otworzyły się drzwi i do środka wbiegła Karia.

– Nadjeżdżają – zawołała.

– Kto? – spytali wspólnie Arbellez i Emma.

– Hrabia Ferdynand.

– Kto? – spytał ponownie Arbellez, biegnąc przy okazji jak młodzieniec do okna.

– Już jest tutaj – odparła.

– Hrabia Ferdynand, mój drogi pan! – zawołał Arbellez.

Nie zważając na nic zbiegł po schodach naprzeciw gościa.

Hrabia właśnie zsiadał z konia.

– Hrabio! – krzyknął hacjendero.

– Pedro, drogi Pedro! – zawołał hrabia.

Nie zważając na konwenanse padli sobie w ramiona. Dopiero po chwili Arbellez powiedział:

– O Boże! Dziękuję ci, że mój pan żyje! Co to za szczęście. Dziękuję ci serdecznie. Oddałeś mi córkę, teraz zwracasz mi mego pana. Mogę umierać spokojnie

– Tylko nie tak zaraz – odezwał się hrabia. – Dostyc wycierpieliśmy, musimy bodaj przez chwilę zakosztować szczęścia.

Dużo czasu minęło, zanim minęły pierwsze powitania. Poczęto opowiadać wszelkie nowiny, a więc i o forcie Guadeloupe. Rezedilla była zdrowa i ciągle pielęgnowała Czarnego Gerarda, obaj doktorzy twierdzili, że szybko powróci do zdrowia. Panowała powszechna radość i nikt nawet nie przypuszczał, że nowe nieszczęście nad nimi zawisło.

Tuż za Apaczami towarzyszącymi hrabiemu jechało sześciu mężczyzn. Dowodził nimi Manfredo. Hilario wysłał ich, by pochwycili hrabiego.

– Do diabła! – powiedział Manfredo. – Udało im się, ale kto mógł przypuszczać, że eskortowało go będzie, dwudziestu Indian.

– Trzeba go było zastrzelić.

– Nie, mieliśmy go dostarczyć żywego.

– To nic już z tego nie będzie. Zapewne dojechali już do hacjendy.

– Tak, ale ja mimo to nie tracę nadziei. To nawet nie będzie takie trudne, posłuchajcie.

Przedstawił im cały plan działania, a gdy zapadł zmrok udał się do hacjendy i zapytał o hrabiego, po czym wszedł do jego pokoju.

– Jestem synem sędziego z Sombretto, mam wam wręczyć ten pierścień.

Podał mu pierścień zdjęty z palca Mariano.

– Dzięki Bogu żyje! Co za nowiny macie dla mnie?

– Kilku mężczyzn, między nimi było dwóch Indian zostawiło u mego ojca senioritę Józefę. Uwięziono ją, jednak oni musieli zaraz potem wyruszyć, więc senior Mariano polecił mi ten pierścień i kazał przekazać, że Józefę już złapano, a jej ojca niedługo pojma.

Nowina ta szybko rozniosła się po hacjendzie, wszyscy się bardzo cieszyli. Nieznajomy wysłannik wcześniej udał się na spoczynek, gdy jednak tylko noc zapadła, zakradł się do pokoju hrabiego, napadł na niego i związawszy sznurami spuścił nieprzytomnego przez okno. Tam jego ludzie zabrali go natychmiast ze sobą.

Manfredo jakby nigdy nic ponownie udał się na spoczynek, a rano wcześniej wstał, pożegnał hacjendero, od którego dostał jeszcze nagrodę za wspaniałe wiadomości i spokojnie odjechał. Nikt nie przeczuwał co się stało, wiadomo było, że hrabia długo spał.

– Udało nam się, wszystko przebiegło znakomicie! – zawołał Manfredo do swoich. – Nie zauważą jego nieobecności do południa, a my tymczasem będziemy już daleko. Naturalnie ani im do głowy nie wpadnie podejrzewać mnie, bo przecież widzieli jak odjeżdżałem z hacjendy. Ten piękny pierścień będzie mój. Hurra! Taki wielki diament. Rzetelnie na niego zapracowałem.

TAJEMNICZE POSŁANNICTWO

Nowy, świeży śnieg okrył całą ziemię, ostatnie płatki fruwały jeszcze w powietrzu ozdabiając swymi gwiazdkami przydrożne sosny i świerki.

Dzień dopiero wstawał, ale mimo tego widać było jakieś człowieka, który szedł w stronę Kreuznach. Dziwny to był podróżnik. Miał na sobie krótkie, niebieskie spodnie, mocno połatanie, taki sam surdut, widocznie za mały, na głowie czapka bez daszka i wydawało się, że w ogóle nie wraca uwagi na dający się we znaki chłód!

Twarz miał spaloną od wiatru i słońca, małe oczy patrzyły bystro i ciekawie przed siebie, szczególną uwagę zwracał jednak jego nos, długi i zagięty jak dziób ptaka, jednak mimo tego sprawiał sympatyczne wrażenie.

Właśnie dochodził do zakrętu, gdy ujrzał przed sobą drugiego człowieka, który tak jak i on, mimo wczesnej pory szedł w tym samym kierunku.

Nie potrzebował zbyt długo wyteżać kroku, aby go dogonić, w jednej chwili podszedł, a obcy zauważył go dopiero gdy się zrównali.

– *Good morning, mister!*

Mały człowiek obrócił się ze dziwieniem spoglądając na dziwną postać nieznajomego.

– No, dlaczego pan nie odpowiada? – spytał. – Czy dobrze idę? Ta droga prowadzi do Kreuznach?

Mały człowiek zdecydował się wreszcie odpowiedzieć, nie chcąc widocznie zadzierać z tym cudakiem.

– Dzień dobry. Ta droga rzeczywiście prowadzi do Kreuznach.

– Zna pan tę miejscowość?

– Znam.

– Mieszka pan tam może?

– Nie.

– A kim pan właściwie jesteś? – pytał dalej, obrzucając spotkanego ciekawym spojrzeniem.

– Weterynarzem, bardzo dobre zajęcie.

– Weterynarzem? Czyli, że ma pan sprawę w Kreuznach?

– Tak, zachorowała krowa, więc mnie wezwano.

– Głupstwo. Zastrzel ją pan i pozbędziesz się kłopotu.

Mały popatrzył na wysokiego z wyraźnym przerażeniem.

– Co pan wygaduje? Zastrzelić krowę?

– Naturalnie, ja już zastrzeliłem setki.

– No w to akurat nie uwierzę.

– Nie radzę, ja potrafię dochodzić swoich praw. Nawet siłą.

– Proszę tylko nie przesadzać – odburknął mały.

Nieznajomy zwęził usta.

– Pchtszhchch!

Gruby kawałek pogryzionego tytoniu przeleciał mu przez usta, tuż koło nosa małego człowieka, tak że ten musiał się aż cofnąć.

– Do pioruna! – zaklął. – Proszę uważać gdzie pan pluje!

– O ja uważam! – odparł z flegmą nieznajomy.

- Mały przyglądał mu się jeszcze raz i z pewną obawą zapytał:
- Pan żuje tytoń?
 - Tak.
 - Dlaczego pan lepiej nie pali, albo nie zażywa tabaki?
 - Palenie mi nie smakuje, a co do tabaki... żal mi mojego nosa.
 - Widzę, że wyjątkowo go pan pielęgnuje. Ale żucie tytoniu jest bardzo szkodliwe.
 - Myśli pan? – spytał obcy z uśmiechem.
 - Naturalnie, jako weterynarz dobrze się na tym znam.
 - Czyli, że nie pozwala pan swoim zwierzętom gryźć tytoniu?
 - Oczywiście, że nie.
 - Ale za to mogę go palić i zażywać tabaki?
 - Nie stój pan sobie ze mnie żartów. Weterynaria to bardzo ważna nauka, bez niej wiele by-
dła by zginęło.
 - Ale za to mniej ludzi, a więc ma pan leczyć krowę?
 - Tak, najprawdopodobniej zachorowała na gruźlicę.
 - A gdzie jest ta krowa?
 - Na folwarku u pani Helmer.
 - Helmer? Hm, czy ta pani jest wdową?
 - I tak i nie.
 - Nie rozumiem.
 - Mąż jej zapewne umarł, ale ona nie może tego udowodnić. Zaginął bez wieści w czasie
jednej podróży.
 - Kim był?
 - Sternikiem.
 - A gdzie zginął?
 - Tego nie wiem. Ostatni list jaki przysłał, pochodził z Meksyku.
 - Kiedy?
 - Jesienią.
 - Hm, – burknął nieznajomy. – A do kogo należy Kreuznach?
 - Do pana kapitana, nadleśniczego Rodensteina.
 - A czy on jest żonaty?
 - Nie, ale ma syna.
 - Czy syn mieszka razem z nim, w Kreuznach?
 - O nie, mieszka w Rodrigandzie.
 - Rodriganda? A co to takiego?
 - Zamek, w pobliżu Kreuznach.
 - To kto mieszka w tym zamku?
 - Jest on własnością księcia Olsunny.
 - Ach, to może ten książę jest ojcem nijakiego Sternaua.
 - Tego nie wiem. Ale mieszka z nim Róża Sternau, która właściwie jest hrabianką Rodri-
ganda. Mieszka razem z córeczką. Różyczką. Ale proszę mi powiedzieć, czemu pan tak o
wszystko się dopytujesz?
 - To nie powinno pana interesować?
 - Dlaczego? Nie wygląda mi pan na człowieka, którego powinny interesować tak dystyn-
gowane osoby.
 - Nie? A jak wyglądam?
- Mały obrzucił go pogardliwym wzrokiem i odpowiedział:
- Wygląda pan raczej na prawdziwego włóczykija.
 - Pchtsihhch! – kawałki tytoniu spadły na kapelusz weterynarza.
 - Do wszystkich diabłów! Co pan robisz!

– To co zwykli czynić włóczykije.
– Ale ja sobie czegoś takiego stanowczo wypraszam!
– To panu wiele nie pomoże, jeżeli dalej będzie się pan zachowywał jak grubianin.
– A co, mam może wobec pana swoje słowa owijać w bawełnę? Ha, to by mi się nawet podobało. Przychodzi tutaj jakiś nieznajomy i pluje mi na kapelusz, tak że nie będę się mógł pokazać w Kreuznach.

Weterynarz rozgniewał się naprawdę. Zdjął kapelusz, podał go nieznajomemu i powiedział:

– Patrz pan, jak on teraz wygląda.

– Niech go pan sobie wytrze – odparł obcy ze spokojem.

– Ja mam wytrzeć? Ani mi to w głowie. Pan sam musi to zrobić, inaczej pokaże panu kim jestem.

– Nie zamierzam tego czynić, ani mi to w głowi.

– Nie chce pan? Wytrzyj pan, albo... – weterynarz podniósł w górę laskę.

– Co albo? – spytał nieznajomy z flegmą.

– Albo laską zmuszę pana do tego.

– Mnie, laską? Spróbuj pan! – i nowym kawałek tytoniu wypluł na surdut weterynarza.

– Nie, tego już za wiele! – zawołał zamierzając się laską na obcego.

Nieznajomy wyrwał małemu kij w mgnieniu oka i odrzucając daleko, złapał go za biodra, podniósł w górę i potrząsał nim mówiąc:

– To nagroda za przewisko. Teraz niech pan zabiera nogi za pas i ucieka czym prędzej, bo jak jeszcze za pięć minut was tu zastanę połamię zebra, co do jednego.

Weterynarz widząc, że to nie żarty pobiegł czym prędzej, chowając się za najbliższe drzewa.

Nieznajomy poszedł dalej. W krótkim czasie stanął znowu i ukrył się za pnem świerka.

Usłyszał jakiś szelest. W tej chwili z lasu wyszedł piękny kozioł idąc wolno wprost na niego.

– Kozioł! – szepnął. – Co za piękny okaz! Całe szczęście, że mam nabitą flintę.

Nie myśląc nawet o tym, że nie znajduje się w Meksyku, zerwał z pleców flintę i naciągnął kurek. Kozioł podniósł głowę wpatrując się w miejsce, skąd dosłyszał szelest. W tej chwili padł śmiertelny strzał.

– Hurra! – krzyknął strzelec uradowany. – To był królewski strzał. Ale teraz prędko do niego!

Wybiegł zza drzewa odkładając na bok strzelbę i wy dobył nóż, chcąc ewentualnie dobić zwierze.

Podczas tego usłyszał wprawdzie jakieś kroki, ale tak był zajęty swoją pracą, że nawet nie podniósł głowy, by sprawdzić, kto nadchodzi.

Nowoprzybyły podszedł, podniósł strzelbę i oglądając ją ze zdziwieniem zawołał:

– Do stu piorunów, co on tu robi?

Dopiero teraz Sępi Dziób odwrócił się i odpowiedział:

– Co robie? Przecież pan widzi, co robie?

– Tak widzę. Zabił pan kozła.

– Naturalnie – odparł strzelec.

– Ale kto mu to nakazał?

– Nakazał? Nikt.

– Nikt? To dlaczego to uczynił?

– Dlaczego? Mam może pozwolić mu wolno zmykać? – przy tym podniósł się z ziemi kierując swój zdziwiony wzrok na przybysza.

Równie zdziwionym tonem spytał go przybysz:

– Czy on zwariował?

– Zwariował? Pchshchch! – i spora porcja tytoniu przeleciała przybyszowi koło nosa.

Odskakując na bok zawołał:

– Do stu beczek batalionów, firgonów, elementów! Co mu wpadło do głowy? Uważa mnie może za holenderską spluwaczkę?

– O nie, tylko grubianina.

– Mnie za grubianina? To coraz lepiej.

– Tak jest, jest on arcygrubianinem, bo mówi do mnie przez ty, podczas gdy ja odzywam się grzecznie i tytułuję go „pan”. Jeżeli to nie jest grubiaństwo, to natychmiast dam się powiesić.

– Niech się spodziewa, że tak się stanie.

– A to niby dlaczego? – spytał Sępi Dziób z uśmiechem.

– Sam zobaczy. Czy on nie wie, że tutaj kłusownictwo karze się długimi latami więzienia?

Sępi Dziób rozdziawił gębę, tak że można było zobaczyć wszystkie jego zęby i spytał:

– Wiezienia?

– Tak wiezienia, arcydiabie.

– Do pioruna! O tym rzeczywiście nie pomyślałem.

– Ha, wierzę, bo draby dopiero wtedy zaczynają myśleć, jak już coś zbroją. Jak on się nazywa?

– Ja? Hm, a pan kim jesteś?

– Ja nazywam się Kurt Stranbenberger.

– Kurt Stranbenberger? A co mnie to może obchodzić?

– O bardzo wiele. Jestem leśniczym pana Rodensteina.

– To czemu pan nie nosi munduru leśniczego?

– Bo teraz jestem na służbie u pana porucznika Helmera.

– Na służbie u nadleśniczego i porucznika? Jak to? Służy pan u dwóch?

– U dwóch czy dwudziestu to go nic nie obchodzi. Ja go aresztuję, więc musi iść za mną!

– Do pana nadleśniczego?

– Tak, a do kogo by innego?

Sępi Dziób wyprostował się i odrzekł:

– Tak prędko to się panu nie uda. Musi się pan najpierw wylegitymować, że rzeczywiście jesteście urzędnikiem nadleśnictwa. To się jeszcze nigdy Kurtowi nie zdarzyło.

– Na piekło i na grzmoty! – zawołał. – Ten łotr naprawdę żąda ode mnie legitymacji! Ja mu dam legitymację tak, że grzbiet mu krwią nabiegnie! Jego strzelba została skonfiskowana. Pójdzie dobrowolnie, czy nie?

– Tak zaraz, nie ma potrzeby.

– Nie? To ja mu dopomogę.

Złapał go za rękę.

– Precz z ręką! – krzyknął obcy groźnym tonem.

– Co? Chcecie stawiać opór! Ja go tak kopnę, że polecą dobrowolnie.

– Pchtshch!

Kawałek mokrego tytoniu trafił Kurta prosto w twarz. Mimo woli puścił rękę obcego wołając w najwyższym oburzeniu:

– Do stu tysięcy diabłów! Do tego odważa się pluć. Ha, on mi za to wszystko zapłaci.

W tej samej chwili jakiś głos odezwał się zza drzewa:

– Mnie także opluł. Czy mam może panu pomóc, kochany panie Kurcie?

Kurt obrócił się.

– A, pan weterynarz! – zawołał na widok przybyłego. – Co pan tu robi?

Weterynarz ostrożnie wysunął się zza krzaków i powiedział:

– Chciałem się udać do Kreuznach, tymczasem spotkałem tego człowieka...

– No i co dalej?

– Rozpoczął ze mną rozmowę, po czym pokłóciliśmy się. Mogę panu pomóc w aresztowaniu go?

– Właściwie to sam sobie z nim poradzę, ale pewniej będzie... Zdaje mi się, że on nie zechce iść dobrowolnie. Będziemy musieli mu skrępować z tyłu ręce.

Nowa, figlarna myśli przemknęła przez głowę Sępiego Dzioba.

– To rzeczywiście byłoby paradne – powiedział.

– Paradne? – spytał Kurt. – Jeżeli on uważa, że to jest paradne, to ja nie mam nic przeciwko temu.

– Bo wydaje mi się to ogromnie komiczne, jeżeli kłusownik sam chce swego współnika i odbiorcę aresztować.

– Wspólnika i odbiorcę? Co to ma znaczyć? – spytał Kurt.

– To proste, ja jestem handlarzem dzikiej zwierzyny i mieszkam w pobliskim miasteczku.

– Czyżby? – spytał zdziwiony Kurt.

– A ten mały – ciągnął dalej Sępi Dziób – jest prawdziwym kłusownikiem i złodziejem. Od trzech lat dostarcza mi zwierzynę, na którą kłusuje w lasach Kreuznach.

Weterynarz nie chciał wierzyć własnym uszom. Kurt także przybrał wyjątkowo zdziwioną minę.

– Na wszystkie grzmoty! – zawołał. – To zaskakująca informacja, tylko sam diabeł może ją rozwiązać. Mały, czy to prawda?

Dopiero teraz weterynarzowi wróciła mowa.

– Ja kłusownikiem? – wyjąkał.

Podniósł obie ręce do góry, jakby chcąc złożyć przysięgę i zawołał:

– Po tysiąc razy przysięgam, że ja w swoim życiu nawet myszy nie zastrzeliłem, a cóż dopiero kozła czy sarnę.

– A teraz chce się usprawiedliwiać – zaśmiał się Sępi Dziób. – A do kogo należy ta stara flinta?

– Tak, do kogo? – spytał Kurt.

– I kto zastrzelił tego kozła? Ja nie, tylko ten mały weterynarz. Ja chciałem go tylko wypatroszyć.

– O mój Boże – zawołał przerażony weterynarz ręce składając jak do modlitwy. – Czy to możliwe? O nie wierz mu pan, mój kochany panie Stranbenberger.

– Do diabła. Ja doprawdy nie wiem, co mam o tym sądzić.

Przy tych słowach z zakłopotaniem spojrział na obcego.

– Sądz pan sobie co chcesz – odparł Sępi Dziób. – To tylko pewne, że nie pozwolę się aresztować. Byłem wystarczająco głupi, że posłuchałem jego rady i przyszedłem z nim dzisiaj na to stanowisko, ale nie będę tak głupi, aby sam jeden pokutować teraz za to.

– O święta Panienko! Co to za gadanie! Ja jeszcze nigdy w życiu nie miałem strzelby w rękach!

– Patrzcie, co za świętoszek, w rękę nie, ale przy twarzy. Mogę to udowodnić, z resztą śledztwo i tak to wykryje.

Kurt zwrócił się do niego i poważnie spytał:

– Mówi prawdę?

– Tak jest.

– Może to przysiąc?

– Nawet tysiąc razy.

– W takim razie nie mogę wam pomóc, weterynarza, jako kłusownika, aresztuję także.

Weterynarz cofnął się parę kroków wołając:

– Na miłość boską! Pan z całą pewnością żartuje?

– O nie, ja mówię bardzo poważnie.

– Ale ja jestem niewinny, tak jak to słońce na niebie.

– To zbada śledztwo, teraz jesteś pan moim więźniem.

– Więźniem? Jak to? Muszę uciekać!

W momencie zawrócił, ale szybki Kurt zatrzymał go:

– To tak się mają sprawy? To wspaniale, teraz chcecie uciekać, tym samym przyznajecie się do winy. Muszę tych obu drabów razem powiązać, żeby mi nie dali drapaka.

– Na to mogę się zgodzić – rzekł Sępi dziób, – Nie zamierzam sam jeden być odpowiedzialny za wszystko, jeżeli zaś sprawa odbędzie się sprawiedliwie, to bez oporu pozwolę się związać i odprowadzić.

– To rozumne z jego strony. A teraz dajcie tu ręce, do tego sznura.

– Ale ja przysięgam na wszystkich świętych, że jestem niewinny! – jęczał weterynarz. – Ten lotr chce mnie zgubić.

– To się okaże – odparł Kurt.

– Przecież nie chce mnie pan skrepowanego wlec do Kreuznach, to byłoby straszne!

– Wlec? O nie, on musi biec.

– Ale mój honor, moja ambicja, reputacja...

– Nie trzeba się było wdawać w takie niecne spekulacje. Reputacja kłusownika równa się zeru. No, da pan wreszcie te ręce dobrowolnie, czy nie; inaczej będę zmuszony zastosować siłę.

Sępi Dziób schylił się zabrawszy z ziemi swoje rzeczy, po czym podał rękę mówiąc:

– Ja się oddaję w pańskie ręce dobrowolnie.

– A ja jestem zmuszony – zawołał weterynarz. – Oto moja ręka. Ale zapewniam, że będę żądał satysfakcji!

– To nie moja sprawa. Ja wypełniam tylko swoje obowiązki, o reszcie zdecyduje pan nadleśniczy.

Związał prawą rękę Sępiego Dzioba z lewą weterynarza, po czym zawołał:

– Ale kozła nie myślę sam wlec do domu, to wasza sprawa.

– Ja mam już mój ładunek – odpowiedział Sępi Dziób.

– Co on ma tam, w tym worku?

– Pięć zajęcy.

– Pięć zajęcy? Do pioruna! Skąd je wziął?

– Wczoraj, ten mały doktor zastawił wnyki, dzisiaj przed wschodem słońca przyszedliśmy do lasu i zastaliśmy pięć złapanych zajęcy.

Weterynarz rozszerzył oczy. Z oburzenia nie mógł nawet słowa wypowiedzieć. Za to Kurt zawołał:

– Czyli, że nie tylko strzela do zwierzyny, ale nawet zastawia wnyki, hm, to znacznie większa jego winę. Niech więc on dźwiga pięć zajęcy, a doktor poniesie kozła.

– Ależ to kłamstwo, bezczelne kłamstwo! – zawołał wreszcie weterynarz. – On sam złapał te zajęce.

– To wszystko się wyjaśni – rzekł Kurt związując nogi kozła.

– Panie Stranbenberger, ja pana zaskarżę!

– Dobrze.

– Rozkażę pana ukarać.

– Dobrze, dobrze, ja wykonuję tylko swój obowiązek.

– Ale mój honor zejdzie na psy!

– Zajęce i kozioł także. Tu masz pan, proszę go nieść.

Zawiesił mu zwierzę na ramiona.

– Święty Ignacy! – jęknął weterynarz. – Teraz muszę jeszcze do tego wszystkiego, w mojej niewinności, dźwigać tę ciężką bestię.

– Ten kozioł nie jest tak ciężki, jak te wszystkie, które masz już na sumieniu – dodał z szelmowskim uśmiechem Sępi Dziób.

– Człowieku, ty drabie! Już ja cię urządzę, otruję, gdy tylko wydostanę się na wolność!

– Wspaniale! Coraz lepiej, a więc ten gałgan chce też zostać trucicielem. Trzeba się spieszyć do Kreuznach. Dopiero się pan nadleśniczy zdziwi, jak zobaczy co za ptaszków mu przyprowadziłem.

Popchnął więźniów do przodu. Rozpoczynała się wyjątkowo zajmująca wyprawa. Pomimo jęków i złorzeczeń musiał weterynarz maszerować razem z nieznanym pod konwojem Kurta.

Nadleśniczy przebywał w swoim pokoju. Dopiero niedawno skończył swą poranną kawę i wyraźnie humor mu nie dopisywał. Stare czasy, bez trosk i kłopotów minęły bezpowrotnie. Teraz przyplątały się nowe. List Sternaua wszystkich niezmiernie ucieszył, ale długie milczenie, jaki po nim nastąpiło pozwoliło się domyślać, że spotkało ich nowe nieszczęście.

Na korytarzu rozległy się prędkie kroki. W tej chwili wszedł do środka Kurt i stanął na baczność, czekając na pytania.

– Co nowego przynosisz? – spytał nadleśniczy z niecierpliwością.

– Kłusowników! – brzmiała krótka odpowiedź.

Rodenstein poderwał się z krzesła.

– Kłusowników? – spytał. – Czy dobrze słyszę?

– Wedle rozkazu, panie rotmistrzu, kłusowników – potwierdził Kurt.

– Ilu?

– Dwóch.

– Święty Hubercie, wreszcie dwóch. Ha, to jest mi nawet na rękę. Każ ich oddać na tortury i rozciągać tak, że głowa dosięgnie Berlina a nogi Londynu. Gdzie ich masz?

– Na dole, w psiarni.

– Bezpieczni?

– Są związani, a oprócz tego pilnuje ich dwóch parobków.

– Kto ich wykrył?

– Ja sam – powiedział Kurt z dumą w głosie.

– Ty sam? A to gdzie?

– Koło głównego gościńca.

Oczy nadleśniczego zabłyśły. Stanął tuż przed Kurtem i spojrzał na niego z uwagą.

– Opowiadaj! – rozkazał.

– Spadł świeży śnieg, więc udałem się zaraz, gdy tylko zaczęło świtać, w drogę, chcąc sprawdzić mój rewir. Nagle, w pobliżu usłyszałem wystrzał z jakiejś obcej strzelby, przynajmniej tak mi się wydawało. Chyłkiem podkradłem się w tę stronę i zobaczyłem jakiegoś draba, który właśnie obrabiał naszego najpiękniejszego kozła. Klęczał przy nim, chcąc go wypatroszyć.

– Znasz go?

– Nie. Powiedział, że jest handlarzem dzikiej zwierzyny.

– Od kiedy to handlarze sami polują?

– To nie on zastrzelił kozła, tylko ktoś inny...

– Kto inny? Znasz go?

– Tak, nawet bardzo dobrze. Z początku nie widziałem go, ale wkrótce wyłonił się zza krzaków.

– Kto to taki?

– Własnym oczom nie chciałem wierzyć, jak go ujrzałem. Dzisiejszej nocy złapał już w sidła pięć zajęcy.

– W sidła? Pięć zajęcy? Jednej nocy? Tego draba każę rwać rozpalonymi obcęgi, na mój honor, jak nazywam się Rodenstein.

– Tak panie kapitanie, zasłużył na to całkowicie, bo już od lat dostarczał owemu handlarzowi zwierzynę.

– Straszne! I wyście go nie złapali wcześniej! Właśnie widać co mam za ludzi. Oczy mają jak dziury w piecu, a uszy jak osły, pomimo tego nic nie widzą i nic nie słyszą. Ale ja zaprowadzę tu w końcu porządek. Jeśli mi któryś raz w tygodniu nie dostarczy jednego kłusownika, tego wygonię ze służby! W ten sposób pozbędę się i złodziei i darmozjadów. Mój chleb umiecie jeść, a mojej zwierzyny nie ma kto pilnować. Już ja wam powieszę ten chleb tak wysoko, że będziecie musieli wyciągać karki jak żyrafy, albo jak stare panny, które na kształt korkociąg wiercą szyjami, gdy tylko zwietrzą jakiegoś mężczyznę choćby na sto kroków. Ale kim jest, ten łotr?

– Nasz weterynarz.

– Nasz wete...

Reszta słowa zamarła mu na ustach.

– Weterynarz – potwierdził Kurt.

– Czyś ty zwariował?

– Wedle rozkazu panie kapitanie, jeszcze nie.

– Nasz weterynarz kłusownikiem? To niemożliwe.

– To prawda, panie kapitanie.

– Musisz się mylić. To był naprawdę on?

– Tak jest. Siedzi razem z tym drugim.

– Ha, to niech Bóg będzie miłosierny. Wziąłeś ze sobą kozła?

– Wziąłem, weterynarz musiał go dźwigać.

– Dobrze mu tak. A zające?

– Wszystkie pięć. Handlarz ma je w worku.

– Dobrze. Zaraz tych łotrów przesłucham. Wezmę ich tak w obroty, że ze strachu żywica się będą pocili. A teraz idź i zawołaj tu wszystkich, mają się zjawić natychmiast. Jak ci dam znak wprowadzisz obu zatrzymanych do mojej kancelarii. Pokażę im co to znaczy jeden kozioł i pięć zajęcy. Będzie to przykład dla innych. Nawet gdybym ich miał wydać sędziemu, tak im przedtem zajdę za skórę, że więzienie wyda im się rajem. Naprzód! Bierz się do roboty! Poznają mnie te psie syny!

Kurt odszedł. Właśnie w chwili, gdy schodził ze schodów, jeden z pachółków wyprowadził ze stajni osiodłanego wierzchowca, bo kapitan miał jechać do lasu.

– Zostaw konia! – zawołał do niego Kurt. – Pomóż mi zwołać wszystkich. Pan kapitan najpierw będzie prowadził przesłuchanie.

– Tych kłusowników?

– Tak. Wszyscy mają się stawić w kancelarii.

– Dobrze, zaraz biegnę.

Zostawił przywiązane konia na dziedzińcu i pobiegł wykonać polecenie Kurta. W pięć minut wszyscy mieszkańcy Kreuznach zebrali się w kancelarii. Kapitan rozkazał, aby usiedli w półkolu, sam stanął na środku dając przy tym znak Kurtowi. Ten bez chwili wahania pobiegł po obu zatrzymanych.

– Zbierajcie się panowie, idziemy do pana nadleśniczego Rodensteina.

– Ale po co? – spytał drżąc na całym ciele przerażony weterynarz.

– Na przesłuchanie. Już pan nadleśniczy zrobi z wami porządek.

– Idziemy razem, czy każdy osobno? – spytał naiwnie Sępi Dziób.

– Razem. I bierzcie ze sobą zwierzynę.

– Zgoda, ja biorę zające – szybko wtrącił Sępi Dziób.

– W takim razie doktor poniesie kozła! – rozkazał.

– Znowu?

– Naturalnie, to przecież dowód rzeczowy, dzięki niemu pójdziecie do więzienia.

– Ale ja jestem niewinny – upierał się przy swoim weterynarz.

– Powie to pan kapitanowi, a nie mnie, ja się mało znam na

kryminalistyce.

Doktor musiał zabrać kozła, a Sępi Dziób zarzucił na plecy swój worek z zającami. Kiedy przechodzili przez podwórze, Amerykanin zobaczył osiodłanego konia. Figlarny uśmiech przemknął mu po twarzy.

Kurt poprowadził ich po schodach i otworzył drzwi kancelarii. Traper rzucił przedtem badawcze spojrzenie na zamek przy drzwiach. Weszli do środka.

– Oto oni, panie kapitanie! – zameldował Kurt. – Mam im zdjąć kozła?

– Nie – odrzekł. – Ten drań sam go zdejmie.

– Ale on jest związany.

– To zbyt cenne. Rozwiąż ich. Słyszałem kiedyś, że podczas śledztwa, więźniowie nie są skuci, my więc uczynimy tak samo.

Kurt rozwiązał podejrzanych. Twarz Amerykanina znowu zajaśniała uśmiechem. Weterynarz, zanim jeszcze został o cokolwiek zapytany zaczął się usprawiedliwiać.

– Panie kapitanie! – zawołał. – Stała mi się krzywda. Takie oskarżenie. Ja miałbym zabić tego kozła...

– Milczeć! – krzyknął nadleśniczy gromkim głosem. – Tu tylko ja mam prawo mówić. Który z was odezwie się nie pytany, zostanie natychmiast ponownie skuty i dodatkowo odsiedzi osiem lat więzienia więcej.

Lekarz umilkł, a kapitan zwrócił się do Sępiego Dzioba.

– Tego człowieka znam, – powiedział – ale co z ciebie za ptaszek, zaraz nam powiesz.

– Ja jestem handlarzem zwierzyny – odparł myśliwy.

– Skąd?

– Z sąsiedniego miasteczka.

– Jak się nazywasz?

– Henryk Landola.

Kapitan aż podskoczył.

– Henryk Landola? – spytał rozgorączkowany. – Do diabła! Jakiej jesteś narodowości?

– Jestem Amerykaninem.

– Drabie, łotrze, potworze, czy to prawda? – wrzasnął kapitan.

– Tak.

– Od kiedy jesteś handlarzem?

– Dopiero od kilku lat.

– Kim byłeś wcześniej?

– Kapitanem okrętu.

– Piratem, nieprawdaż?

– Tak – odrzekł Sępi Dziób ze spokojem.

– Niech cię piorun trzaśnie, ty wyrzutku społeczeństwa, Henryku Landola. Dostaliśmy jednak tego łotra w swoje ręce. Drabie! W jaki sposób zawarłeś znajomość z tym weterynarzem?

– On sporządzał dla mnie trucizny.

Lekarz aż podskoczył z oburzenia.

– O Boże, co on bredzi. W tym nie ma ani słowa prawdy.

– Cicho trucicielu – krzyknął kapitan. – Dzisiaj jest dzień sądu i ja jestem sędzią. Wszystkich zdemaskujemy i odkryjemy ich zbrodnie. Henryku Landola, ilu ludzi otrułeś?

– Dwieście sześćdziesiąt dziewięć.

Kapitan przeraził się.

– Jesteś szatanem! Aż tylu? Tak wielu? Ale dlaczego?

– Ten wasz weterynarz zmusił mnie do tego. Musiałem być posłusznym, bo inaczej by mnie zgubił.

– O Boże! – krzyknął lekarz. – To kłamstwo! Nikt nie może dowieść, że przeze mnie został otruty.

Sępi Dziób wzruszył ramionami.

– Teraz naturalnie się wypiera, ale przedtem był jednym z najbardziej krwiożerczych korsarzy. Mogę to udowodnić.

– Człowieku! Ty potworze! Ja całe życie byłem tylko weterynarzem.

– Milczeć i nie przerywać! – rozkazał nadleśniczy. – Pan dopiero od trzech lat przebywa w tej okolicy. Kto wie, czy on nie mówi prawdy.

– Przedtem mieszkałem w swych rodzinnych stronach.

– To się dopiero okaże. Teraz milczeć! Mam jeszcze wiele do pomówienia z tym łotrem Landola. Złoczyńco, znasz Korteja?

– Znam.

– A jak go poznałeś?

– Przez waszego weterynarza, on jest szwagrem Korteja.

– To nieprawda! – wołał lekarz. – Ja nie znam żadnego Korteja. Nawet nie słyszałem takiego nazwiska.

– Cicho! – huknął nadleśniczy. – Już ja wyjaśnię, kto jest pańskim szwagrem. – a zwracając się ponownie do Sępiego Dzioba spytał: – Załatwiałeś pan jakieś interesy dla Korteja? Proszę o bezwzględną prawdę.

– Jak najbardziej, powiem wszystko – odparł.

– Jakie były wasze powiązania?

– Mój statek był jego własnością.

– Jak się nazywał?

– „Lion”, a ja wtedy nazywałem się Grandepriese.

– To prawda, ten łotr przynajmniej nie zamierza nas okłamywać. Znasz nazwisko Sternau?

– Znam.

– On chciał cię złapać, nieprawdaż?

– Tak.

– Co wówczas zrobiłeś?

– To co i teraz.

– Tak? Co takiego?

– Uciekłem! Żegnam, panie kapitanie.

Swój worek miał ciągle przy sobie. Podczas ostatnich słów skoczył w stronę drzwi. W sekundzie zatrzasnął je za sobą, zamykając z zewnątrz na klucz, aby go nikt nie mógł dogonić. Skacząc po trzy, cztery schody wybiegł na dziedziniec. Odwiązał konia, wskoczył na siodło i pogalopował w dal.

Wszyscy zgromadzeni w kancelarii stali jak słupy solne, pierwszy oprzytomniał kapitan. Podskoczył z krzesła i zawołał:

– Chce uciec, prędko, za nim!

Podbiegł do drzwi chcąc je otworzyć.

– Do stu tysięcy diabłów, zamknął je!

Podbiegł do okna i wyglądnął na dziedziniec.

– Niedobrze! Wsiada na konia. Wyjeżdża przez bramę. Prędko, za nim! Inaczej nam ucieknie.

Poczęli napierać na drzwi i walić w nie pięściami. Na ten hałas nadeszła stara służąca i otworzyła drzwi. Wszyscy wybiegli na dziedziniec.

– Przyprowadźcie konie ze stajni! – wołał kapitan. – Musimy za nim pędzić!

Ile koni stało w stajni, tylu jeźdźców popędziło przez bramę, z kapitanem na czele. Pod bramę podszedł właśnie jakiś chłop.

– Tomaszu! – zawołał kapitan. – Nie widziałeś przypadkiem takiego draba, co uciekał na koniu?

– Widziałem, jechał na pańskim wierzchowcu.

– Z workiem na plecach?
 – Tak, z workiem.
 – Dokąd pojechał?
 – Pędził szybko, ale przy mnie zatrzymał się spytał o drogę do Rodrigandy.
 – I udał się tam?
 – Tak jest, panie kapitanie.
 – To dobrze. To nam nie ucieknie. Dogonimy go. Naprzód! Kto złapie tego draba, dostanie w nagrodę całoroczną pensję i nowe ubranie.
 Choć był już naprawdę starym człowiekiem, to i tak w pogoni wyprzedził wszystkich.
 Najdziwniejsze było to, że wszyscy wybiegli nie myśląc wcale o weterynarzu. Ten, gdy pozostał sam ogłupiały patrzył na otwarte drzwi.
 – O Boże! – mówił sam do siebie. – Co ja mam teraz robić? także mam uciec? To chyba byłoby najlepsze. Ja mam być kłusownikiem, producentem trucizny i piratem? Jeżeli szczęśliwie wydostanę się z budynku, to schowam się na co najmniej osiem tygodni, w jakiejś dziurze, a wtedy wszystko powinno się wyjaśnić.
 Pomału zszedł po schodach i wyszedł na podwórzec. Nikogo nie było widać. Nawet ci, dla których zabrakło koni pobiegli za jeźdźcami.
 Szczęśliwie udało się drżącemu ze strachu weterynarzowi wydostać za bramę. Tuż za ogrodzeniem skręcił w bok i ukrył się w pobliskich krzakach.

* * *

Może godzinę wcześniej w stronę Kreuznach jechała lekka bryczka, w lesie skręciła w stronę zamku Rodrigandy. W środku siedział jakiś młody mężczyzna w wojskowym płaszczu. Jak tylko bryczka wtoczyła się na dziedziniec młody oficer wyskoczył ze środka, zapłacił woźnicy i szybko pobiegł po kamiennych schodach do zamku.
 Przy wejściu przywitał go mały, grubawy mężczyzna, kasztelan zamku.
 – Pan porucznik! Powitać! Powitać! – zawołał z radością.
 – Dzień dobry, kochany Alimpo! Już wstałeś? Tak wcześnie?
 – Ranek ma złoto w oku, powiada przysłowie. Moja Elwirka twierdzi to samo.
 – Także wstała?
 – Naturalnie.
 – Ale państwo śpią jeszcze?
 – O nie, jakby mogli spać, skoro wiedzieli, że pan porucznik przyjedzie?
 – Kurt o tym powiedział?
 – Tak jest. Był tu przedwczoraj.
 – A jest może jeszcze?
 – Nie, powrócił do Kreuznach, do swego kapitana.
 – Gdzie są państwo?
 – Zapewne zaraz się zejda.
 – W takim razie pójdę do małego saloniku.
 Gdy wszedł do środka, tuż przy oknie zobaczył piękną postać dziewczęcia. Właśnie obróciła się, kiedy otwierał drzwi.
 – Robert!
 – Różyczko!
 Podbiegli do siebie i przywitali się serdecznie.
 – Witaj, kochany Robercie. Chciałem cię pierwsza przywitać.
 – Ja także sobie tego gorąco życzyłem, by ciebie zobaczyć przed wszystkimi.
 – Naprawdę? Widzisz, twoje życzenie spełniło się, ale teraz zostaniesz u nas dłużej, nieprawdaż?

– Niestety, nie jest to możliwe. Dzisiaj, najpóźniej jutro muszę wyjechać.
 Piękna twarzyczka dziewczyny powlokła się smutkiem.

– To bardzo brzydko z twojej strony – rzekła nadąsana.

– Zgadzam się, ale chyba ze strony Bismarcka.

– Bismarcka? On cię znowu gdzieś wysyła?

– Tak, kochana Różyczko.

– Zapewne jakieś powikłane sprawy dyplomatyczne, które tylko tobie może powierzyć.

– To zadanie akurat mógłby rozwiązać ktoś inny, tylko szczęśliwy przypadek zrzucił, że właśnie mnie go powierzono.

– Na długo wyjeżdżasz?

Popatrzył przez chwilę badawczo w jej oczy i odpowiedział:

– Tak, na długo, może nawet na bardzo długo.

– To niesprawiedliwe. Naprawdę pogniewam się na Bismarcka, jak tak często będzie nam ciebie zabierał. Dopiero co powróciłeś z Rosji, a już musisz jechać dalej. Ale może da się coś zrobić?

– Muszę być posłuszny, choćbym nawet wiedział, że to wyprawa bez powrotu.

– Ale taka nie jest, prawda?

Wzruszył ramionami.

– To wyprawa tam, skąd już wielu nie powróciło.

Twarcyzka dziewczyny pobladła.

– Dokąd, Robercie?

– Zgadnij!

– Do kraju, gdzie już wielu zaginęło?

– Tak.

– To chyba do Ameryki.

– Tak, do jej pewnej części.

Oczy jej zapłonęły.

– Mój Boże, jeżeli dobrze zgaduję, to jedziesz do Meksyku.

Uśmiechnął się lekko.

– Tak, odgadłaś.

Z radości i zdziwienia klasnęła w małe rączki.

– Naprawdę? Nie pomyliłam się.

– Nie. Właśnie wczoraj byłem na audiencji u księcia, Wręczył mi instrukcje i wydał rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Meksyku. Naturalnie natychmiast przyjechałem tutaj, aby was o tym poinformować.

– O tym muszą dowiedzieć się wszyscy i to zaraz.

Otworzyła drzwi wołając swym dźwięcznym głosem:

– Mamo, mamó, Robert przyjechał! Jedzie do Meksyku.

A otwierając drugie drzwi wołała głośno z radością:

– Jedzie do Meksyku, do Meksyku!

Ze wszystkich stron przybiegli mieszkańcy, witając serdecznie Roberta. Księżę i księżna Ol-sunna, młody Rodenstein ze swoją żoną, Róża Sternau, piękna matka Leśnej Różyczki, wszyscy chcieli się dowiedzieć, czy to prawda. Właśnie zaczął im opowiadać, gdy wtem na dziedzińcu zamku wjechał galopem jakiś jeździec, który swoim dziwnym wyglądem skierował na siebie uwagę wszystkich domowników. Był to Sępi Dziób.

Zeskoczył z konia i puszczając go wolno, zarzucił sobie worek na plecy i udał się wprost przez bramę po głównych schodach na górę.

W sieni zatrzymał go Alimpo.

– Kim pan jest? – spytał.

– A pan? – odpowiedział pytaniem Amerykanin.

– Ja jestem Alimpo, kasztelan tego zamku.
– Dziękuję. Wystarczy. Czy mogę pomówić z państwem?
– Powiedz mi pan najpierw, kim jesteś?
– To zbyteczne. I tak mnie pan nie zna. Przynoszę bardzo ważne wiadomości.
– Od kogo?
– To powiem tylko państwu.
– A co za państwo chce pan widzieć?
– Wszystko jedno, to będzie interesujące dla wszystkich.
– Dobrze się składa, bo wszyscy przebywają w salonie. Ale kochany przyjacielu! Pana strój...

– To pana nic nie obchodzi, proszę mnie przepuścić!
– Oho! Muszę przecież pana najpierw zameldować i spytać, czy wolno panu wejść.
– Tralalala! Meldować, potem może przynieść odmowną odpowiedź.
O nie, to nie dla mnie. Ja muszę się dostać do środka!
Odsunął go na bok i wszedł do przedpokoju. Z dziedzińca widział twarze zgromadzonych w salonie, więc nie trudno mu było zorientować się, w którą stronę ma iść. Właśnie łapał za kłamkę, kiedy zdyszany Alimpo dopadł go jeszcze i zawołał:

– Stój pan! Muszę najpierw zapytać!
– To zrobię już sam – odparł wyzwajając się z rąk kasztelana i wpadając do środka.
Do drzwi właśnie podszedł książę, chcąc sprawdzić co za zamieszanie powstało za nimi, kiedy nieznajomy wpadł wprost na niego.

– Co to ma znaczyć? – zapytał książę surowo. – Jak pan się odważa bez pozwolenia wchodzić tutaj?
Zapytany spojrział na niego bez śladu trwogi i odpowiedział:

– Chciałem właśnie poprosić o pozwolenie.
– Do kogo pan przyszedł.
– Do wszystkich.
– Kim pan jest?
– Nazywają mnie Sępim Dziobem.
– Skąd?
– Ja jestem... ach, pościg już tutaj – przerwał sam sobie, podchodząc bliżej okna. – Nie myślałem, że ten leśniczy tak prędko mnie dogoni.

Wszyscy z ciekawością wyglądali przez okno. Stary Rodenstein wjechał właśnie na nieosiadłym koniu na dziedziniec. Na odgłos kopyt Alimpo wyszedł do niego.

– Dzień dobry Alimpo. – usłyszeli z dołu głos kapitana. – Powiedz mi prędko, przybył tu jakiś jeździec?
– Tak jest.
– Kiedy?
– Przed chwilą.
– Obtarganiec z workiem na plecach?
– Tak.
– Bogu dzięki! Mamy go! Gdzie ten drab?
– Na górze, w salonie państwa.
– Na Boga! To niebezpieczne. Muszę zaraz tam iść, aby się nie wydarzyło jakieś nieszczęście.

Po pół minucie otworzył drzwi do salonu, a gdy tylko ujrzał nieznajomego rzucił się na niego, jak jastrząb łapiąc go za ramię.

– Łotrze! Mam cię! – wołał nie witając się nawet ze zgromadzonymi. – Teraz mi nie uciekniesz. Każę cię zakuć w kajdany, że ci kości zaczną trzeszczeć.

– Na miłość boską, co to wszystko ma znaczyć? – zawołał ksiązę. – Kim jest ten człowiek, kapitanie?

– Ten człowiek to potwór, to największy zbrodniarz jakiego ziemia nosi i słońce oświeca. Otruł już przeszło dwieście ludzi.

Zgromadzeni popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

– Spójrzcie tylko – dodał kapitan. – Przyjrzyjcie się mu dokładnie. Mówię wam, że to prawda.

– Jak się nazywa?

– Kurt go złapał. Właśnie przeprowadzałem śledztwo, kiedy uciekł. Nazywa się Henryk Landola.

– Henryk Landola? – spytał Robert. – Pirat?

– Tak jest.

– To nieprawda, ja znam Landolę.

– Jak to? Sam się przyznał.

– Że jest Landola? To niemożliwe.

– Sam go Robercie spytaj.

Amerikanin tymczasem przyglądał się z uwagą i wielkim spokojem poszczególnym osobom.

– Jak to? Pan przedstawił się jako Landola? – spytał Robert.

– Tak – odparł zapytany.

– Zna go pan?

– Słyszałem o nim.

– To skąd panu wpadła do głowy ta myśl, aby podać jego nazwisko?

Amerikanin wzruszył ramionami.

– Żart – odpowiedział krótko.

– To trochę niebezpieczny żart. Landola nie jest osobą, z którą się można obchodzić grzecznie.

– Wiem o tym.

– To on, sam Landola! – zawołał ponownie kapitan. – Ma przecież w worku moich pięć zajęcy.

– Co za zajęcy? – spytał jego syn.

– Te same, które podusił nasz weterynarz.

– Mówisz samymi zagadkami. Co pan ma w worku?

Ostatnie pytanie skierował do Sępiego Dzioba.

– Zaraz się przekonacie – a zwracając się do Roberta powiedział: – Wprawdzie jeszcze pana nigdy nie widziałem, ale jeżeli opis się zgadza, to pan jest kapitanem, Robertem Helmerem.

– Tak to ja.

– W takim razie muszę panu coś oddać.

Otworzył swój stary worek i wyciągnął z niego szkatułkę a z kieszeni wyjął mały klucz i oba te przedmioty wręczył Robertowi.

– Co zawiera ta szkatułka i od kogo pochodzi? – spytał Robert.

– Proszę się samemu przekonać.

Robert podanym kluczykiem otworzył skrzyneczkę i odchylił wieczko. Oczy wszystkich ciekawie skierowały się do środka. Na ich twarzach dało się zauważyć ogólne zdziwienie. W szkatule leżały klejnoty i kosztowności starej, meksykańskiej sztuki, nagromadzone przez całe wieki.

– Na miłość boską, skąd pan to ma? – spytał Robert.

– Pański stryj dostał od Bawolego Czoła część skarbów królewskich – odrzekł Sępi Dziób. – Jedną część przesłał już panu prezydent Juarez.

– Tak.

– A to druga połowa.

– O Boże, wiadomość z Meksyku! – zawołała Róża Sternau. – Człowieku, powiedz, kto przysłała te skarby.

– Juarez.

– Juarez? Pan przybywa od niego?

– Od niego i od seniora Pedro Arbelleza z hacjendy del Erina.

Wszyscy spojrzeli na myśliwego, nikt na kosztowności, wiadomości, które im przynosił były bardziej warte niż milionowe nawet skarby.

– Czyli, że pan przybywa z Meksyku? – spytała Róża z drzeniem w głosie.

– Tak. Pani także nie widziałem, ale wedle opowiadania sędzę, że mam przyjemność z panią hrabianką de Rodriganda?

– Tak.

– W takim razie mam także coś dla pani.

– Mój Boże! Co takiego? Od kogo?

Z kieszeni wyjął list.

– To przesyłka od *miss* Amy Lindsay – odparł.

– Zna ją pan? Zna pan lorda?

– Bardzo dobrze.

– On także udał się do Meksyku z transportem pieniędzy i broni dla Juareza.

– Tak. Byłem jego przewodnikiem. Wiele razem przeżyliśmy, to właśnie chciałem państwu opowiedzieć.

– Co za szczęśliwy przypadek! Ma pan może coś jeszcze?

– Nie, reszta jest moją własnością.

– Serdecznie pana witamy. Ojczy, czy mam przeczytać list na głos?

Książę, do którego było skierowane pytanie odparł:

– Odłóżmy to na później, kochanie, przede wszystkim musimy wysłuchać tego tak pożądanego, choć zagadkowego gościa.

– To prawda, bardzo zagadkowego – odezwał się kapitan – Co panu przyszło do głowy, by przedstawiać się jako Landola? Kim pan naprawdę jest? Ale teraz wypraszam sobie jakiegokolwiek żarty!

Sępi Dziób przerzucił zawartość pogryzionego tytoniu z jednej strony na drugą, zwęził usta i wypuł sporą porcję tytoniu tuż koło nosa starego kapitana.

– Do stu tysięcy diabłów! – zaklął stary. – Co to za grubiaństwo, co za świństwo. Czy on może myśli, że u nas w Europie takie panują zwyczaje? Albo może chciał mnie pan opluć? Za kogo mnie pan ma?

Amerikanin wzruszył ramionami i odparł z uśmiechem:

– Za znakomitego lorda, paradnego sędziego śledczego z Kreuznach.

Ale pozwoli pan, że gdy ja chcę pluć, to nikt mi tego nie może zabronić. Pluję gdzie mi się podoba, a kto nie chce zostać oplutym, musi się usunąć.

Książę Olsunna machnął ręką mówiąc:

– Proszę zaprzestać tych waśni. Pan kapitan wcale tak nie myśli, jest trochę zbyt prędko i w mowie, i w gniewie, ale to wyjątkowo poczciwa dusza. Chciał się tylko czegoś bliższego dowiedzieć o pańskiej osobie.

– Ha! – zawołał Sępi Dziób. – Moja osoba stoi przed nim, więc może mi się przypatrzeć. Może mnie nawet dokładnie oglądać, to go nic nie będzie kosztowało. Nawet mój nos pozwolę mu oglądać. Co do moich stosunków, to co on chce właściwie przez to powiedzieć. Nie mam żadnych stosunków i stosunków, nic nie chcę wiedzieć o żadnych spódnickach i fartuszkach, ani razu jeszcze nie miałem żadnych stosunków. Co za ciekawość. Dlaczego on może wypytywać o takie rzeczy? Wypraszam sobie, ja o jego miłostki się nie wpytyuję.

Księżę poruszył głową ze śmiechem mówiąc:

– Pan się myli. To nie o takie stosunki chodziło. Pan kapitan chciał się tylko zapytać, kim pan jest, a to przecież wolno, nieprawdaż?

– Kim jestem? Hm. Że nazywam się Sępi Dziobem to chyba oczywiste, bo mój nos na to wskazuje, a że przy tym jestem amerykańskim myśliwym, to już dotyczy tylko mnie.

– Traper? A to dlatego taki zapalony na zwierza – burknął kapitan pod nosem.

– Tak – odparł traper. – Właśnie dlatego nie mogłem się powstrzymać jak zobaczyłem tak wspaniałego kozła. Bez chwili namysłu porwałem za broń i wystrzeliłem.

– Do pioruna, to pan go zastrzelił?

– Tak jest, ja.

– Nie weterynarz?

– Nie.

– Niech to piorun trzaśnie! Przecież sam pan powiedział, że on od wielu lat dostarcza panu zwierzynę.

– Ależ skąd – śmiał się Amerykanin.

– Naprawdę nie? – zapytał kapitan z głupawą miną.

– Naturalnie.

– To on nie jest starym kłusownikiem?

– Nie, ani ja nie jestem handlarzem zwierzyny.

– Do kaduka! Okłamał mnie!

– Jak najbardziej – powiedział spokojnie Sępi Dziób.

– Wywiódł mnie w pole?

– Tak.

Kapitan podskoczył do niego niczym ranny tygrys, krzycząc głosem podobnym do grzmotu:

– Do miliona beczek, batalionów, jak się pan ośmielił na coś takiego?

– Pchtschichchch!

Nowa porcja przeżutego tytoniu wystrzeliła z ust myśliwego w kierunku nosa kapitana, tak, że ten tylko dzięki swemu refleksowi zdołał ująć bez szwanku. Jednak czyn ten tak rozzłościł kapitana, że począł krzyczeć:

– On mnie ma za durnia, a do tego chce mnie opluć, mnie, nadleśniczego, wysłużonego kapitana Rodensteina! Musi dostać za to cięgi, ale takie, że trzy dni i trzy noce nie będzie mógł usiąść. Żądam szacunku, należytego szacunku. Jeżeli się do tego nie dostosuje, to tak obierwie, że mu się ten nos wyprostuje, jak trzcina. Przyjeżdża tutaj z Ameryki, czy z jakiegoś tam Meksyku i chce sobie żarty stroić z władzy, to czyste hultajstwo już ja was nauczę. Zrozumiał? A teraz chciałbym wiedzieć, dlaczego mnie tak bezczelnie okłamał?

– Powód? – spytał Sępi Dziób – Nie ma żadnego powodu.

– Co?! – zawołał kapitan. – Żadnego powodu. Chciał sobie może z nas żartować?

– Tak, coś w tym rodzaju – odparł obojętnie Amerykanin.

– A, więc to żart! Niech wszystkie bomby i granaty zaraz popękają! Niech to zaraz piorun trzaśnie. Ten gałgan robił sobie ze mnie żarty. Słyszeliście państwo. Ze mnie powiadam, że mnie chciał żartować! Człowieku, czyja wyglądam na takiego, z którego stroi się żarty?

– To tylko tak się złożyło. Spotkałem tego małego weterynarza, a że mnie ofuknął, jak mały psiak wielkiego wilka, więc to mnie tak rozbawiło i wprowadziło w dobry humor, że...

– I to z żartu rzucił pan na niego te oszczerstwa?

– Oczywiście.

– Czyli, że on nie jest kłusownikiem?

– Nie.

– Ani nie sporządza dla pana trucizny?

– Naturalnie, że nie. Tego człowieka nigdy wcześniej nie widziałem, nie znam go, jeżeli ktoś otruł to może jakąś starą krowę lub kozę.

- Czyli, że jest niewinny?
- Najzupełniej.
- Bomby i granaty. I ten niewinny człowiek został związany i uwięziony z tym gałganem. Nakrzyczałem na niego, jakby to mnie samego chciał otruć. To woła o pomstę i karę! Tego nie mogę puścić płazem. Mały doktor musi otrzymać satysfakcję, jaka jeszcze nigdy żadnemu weterynarzowi nie przypadła w udziale. Ten nieborak musiał nawet dźwigać zabitego kozła, a teraz siedzi w Kreuznach związany.
- Musiałby być kardynalnym głupcem!
- Głupcem, dlaczego?
- Przecież jak ja uciekłem, to wszyscy pobiegli za mną.
- Tak.
- W takim razie został sam, więc jeżeli ma choć trochę oleju w głowi, również dał drapaka.
- Hm, to jest możliwe. Nawet chciałbym by to zrobić. Ale cieszy mnie to, że przynajmniej tego gałgana złapaliśmy. Wie on, co go czeka?
- Cóż takiego?
- Więzienie.
- Sępi Dziób wzruszył ramionami i śmiejąc się rzekł:
- Więzienie? Ha, ha, ha, przez jednego kozła? To śmieszne!
- Śmieszne? Widocznie nie zna naszych praw.
- Co mnie obchodzą wasze prawa. Ja jestem wolnym Amerykaninem.
- Bardzo się myli, on nie jest wolny, tylko moim więźniem. U nas takie sprawy bywają surowo karane, aż do dziesięciu lat więzienia.
- Głupstwo! Przecież ja musiałbym w więzieniu przesiedzieć dziesięć tysięcy lat.
- Tak? On zabił więcej zwierzyny?
- Naturalnie.
- No, to już potworna zbrodnia. To znacznie powiększy jego karę. Już my pokażemy temu wolnemu Amerykaninowi, ile jego wolność jest warta.
- Sępi Dziób przybrał głupawą minę.
- W Ameryce wolno nam strzelać do woli.
- To wspaniałe, – odparł stary leśniczy – ale u nas panują inne zwyczaje. Zrozumiał mnie?
- O tym nie pomyślałem. Nawinał mi się wspaniały kozioł, więc posłałem mu kulkę, pod samą łopatkę. Sądzę, że to nie taka wielka zbrodnia, aby przez to na dziesięć lat wędrować do więzienia. Nie wiem kto to wytrzyma, boja na pewno nie. Jeżeli mnie zamkniecie, to ucieknę, jak mi Bóg miły!
- To mu się nie uda! Ale dlaczego on uciekł właśnie do Rodrigandy?
- Bo jako poseł przybyłem właśnie do tego domu.
- Dlaczego on mi tego od razu nie powiedział?
- Bo się pan o to nie pytał?
- A czemu powiedział, że jest tym diabelnym Landolą?
- Przecież już raz powiedziałem, że mnie język śwędział.
- Niech lepiej uważa, żeby go coś więcej nie zaswędziało. Teraz muszę się dowiedzieć, co za wiadomości nam przywiózł, potem porozmawiamy jeszcze na temat zabitego kozła.
- Pozostali przysłuchiwali się tej komicznej rozmowie z uśmiechem na twarzach. Natychmiast poznali w Sępi Dziobie jednego z tych oryginalnych myśliwych, a poza tym byli przekonani, że kapitan z całą pewnością nie będzie względem niego wyciągał konsekwencji, dlatego pozwolili na tę paplaninę. Dopiero po jakimś czasie książę przerwał tę dyskusję pytając:
- Znamy już pańskie nazwisko i zawód. Teraz chcielibyśmy się dowiedzieć, w jaki sposób poznał się z osobami, które są nam tak bliskie?
- Oczywiście, możecie się tego dowiedzieć. Wie pan co to jest *skout*?
- Nie.

– Co? – był wyraźnie zaskoczony. – To przecież wie każde dziecko. Wśród myśliwych zacho-
du, znajdują się także tacy, którzy posiadają szczególny instynkt w wynajdowaniu dróg do
przeprawy. Takich właśnie potrzebuje każda wyprawa.

– Słyszałem kiedyś o tym – odpowiedział książę.

– Właśnie taki sprytny poszukiwacz śladów nazywa się *skoutem* i jako taki mam się państwu
zaszczyt przedstawić.

– Do pioruna! – krzyknął kapitan. – To on zna wszystkie drogi i ścieżki amerykańskich bo-
rów?

– Tak.

– Hm, o tym nawet bym nie pomyślał.

– Dlaczego? Pewnie mam za głupią gębę na to.

– O i to bardzo głupią?

– Pchtsch! – i kawałek tytoniu trafił kapitana w to miejsce surduta, gdzie zazwyczaj nosił
przypięte ordery.

Poderwał się i jak oparzony podskoczył do Amerykanina krzycząc ze złością:

– Łotrze! Jak on się ośmiela pluć na nadleśniczego wielkiego księcia i zasłużonego kapitana!
Sepi Dziób skrzyżował ręce na piersiach i odparł:

– A jak on ośmiela się amerykańskiego myśliwego nazywać głupcem? Co znaczą wasi nad-
leśniczy i kapitanowie wobec takiego trapera, który w jednym dniu przeżywa więcej, niż taki
umundurowany gap w całym swoim życiu! Albo taki kapitan myśli może, że dorówna amery-
kańskiemu *skoutowi*? Jeżeli tak, to bardzo się myli. Mnie nie należy sądzić po ubraniu, bo
będzie tego żałował. Obchodzę się z nim tak, jak sobie na to zasłużył. Skoro mnie ciągle za-
gaduje i nazywa głupcem, podczas gdy ja od początku zwracałem się do niego per pan, to nie
zasługuje na szacunek, tylko na oplucie. Niech zmieni swoje postępowanie, jeżeli chce, bym
ja był grzeczny!

Sepi Dziób wyrzekł to wprawdzie ze spokojem, ale tak dobitnie, że leśniczy zrozumiał, że
trafił swój na swego. Poskrobał się po głowie i rzekł:

– Do stu diabłów, co to za bestia! Tymczasem daruję mu; muszę najpierw usłyszeć te nowi-
ny.

– To nareszcie coś rozsądnego z pańskiej strony – odparł łagodniej myśliwy, a zwracając się
do pozostałych dodał:

– W El Refugio wynajął mnie jako *skouta* pewien Anglik, który chciał płynąć w górę rzeki
Rio Grande del Norte.

– *Sir Lindsay*? – zapytała hrabina Róża.

– Właśnie tak.

– Była przy nim *miss Amy*?

– Tak, nie chciała rozstawać się z ojcem.

– To moja przyjaciółka, czy jest zdrowa?

– Zdrowa. Otóż stamtąd udałem się do prezydenta Juareza, by uprzedzić go o transporcie.

– Pan go zna? – spytał zaciekawiony Robert.

– Tak. Spotkałem go w fortecy Guadaloupe a wraz z nim tych, którzy państwa tak interesują.
Najpierw poznałem Czarnego Gerarda, sławnego myśliwego, który pewnie niektórym oso-
bom z tego grona, też jest znany.

– Czarny Gerard? – spytała Róża – Nie znam go.

– A niejakiego Gerarda Masona?

– To brzmi znajomo.

– Czy w Kreuznach chciał ktoś panią zamordować?

– Tak. Hrabia Alfonso nasłał na mnie zabójcę, który jednak ostrzegł mnie przed nim, gdyż
mój mąż uratował jego siostrę, przypominam sobie, rzeczywiście nazywał się Gerard Mason.
I to on jest tym sławnym traperem, którego nazwano Czarny Gerard?

- Tak, łaskawa pani.
 - To ważna osobistość, szkoda tylko, że tak szybko zniknął.
 - Myślę, że go pani jeszcze zobaczy. Potem spotkałem tam także drugiego myśliwego, wprawdzie bardzo małego, ale nadzwyczaj dzielnego.
 - Znamy go?
 - Prawdopodobnie. Nazywa się Mały André .
 - To na pewno go nie znamy.
 - On w Kreuznach ma brata.
 - W Kreuznach, nikt się tak nie nazywa.
 - Ależ to nie jest nazwisko, to jego imię.
- Kurt, który w pościgu za zbiegiem dotarł aż z nadleśniczym do sali, ciekawie natężył słuch, słysząc to imię. Nie mógł dłużej wytrzymać, więc zapytał:
- A co to za André , ja mam brata, który też ma tak na imię.
 - A gdzie on teraz jest?
 - Kto to może wiedzieć.
 - A kim był?
 - Gorzelnikiem.
 - A dlaczego odszedł?
 - Ach, to jakaś głupia historia miłosna.
 - Dla dziewczyny?
 - Tak, obaj smoliliśmy cholewki do tej samej, ale żadnego z nas nie chciała.
 - To by się zgadzało, to pański brat. Właściwie nazywa się Andrzej Stranbenberger.
 - Mój brat, Andrzej? Czy to możliwe? Bogu dzięki, gdzie on teraz jest?
 - To trudne pytanie. Sami nie wiemy, gdzie się podział. Trzeba go będzie szukać. Najpierw jednak muszę wymienić inne osoby, które tam spotkałem. W pierwszym rzędzie, Księża Skał.
 - A jak on się właściwie nazywa? – spytał księżę.
 - Doktor Sternau, Niemiec.
 - Mój mąż – zawołała Róża.
 - Tak jest.
 - Mój Boże, a po co on znalazł się w tej fortecy?
 - Zaraz się pani dowie, jak tylko wymienię wszystkich.
 - A był tam może, niejaki Mariano? – pytała dalej Róża.
 - Tak.
 - I Helmer?
 - Nawet dwóch Helmerów.
 - Kto jeszcze?
 - Dwóch wodzów indiańskich.
 - Ci nas mało obchodzą.
 - Ale jeszcze będą obchodzili. Była także seniorita Emma.
 - To ta córka hacjendero, która z nimi zginęła?
 - Tak. Pewne Indianka Karia.
 - Córka Misteków?
 - Tak, był także pewien ogrodnik, którego pani także zapewne zna.
 - A jak się nazywa?
 - Bernardo Mendoza.
 - Znam to nazwisko, skąd on pochodzi?
 - Z Manresy.
 - Z Manresy, to przecież zaraz koło Rodrigandy.

– Naturalnie. Pracował nawet w zamku, ale ze przypadkiem podsłuchał jakąś tajemnicę, Kortejo z obawy o swoją przyszłość sprzedał go do niewoli.

– To straszne! – zawołał Robert. – Co on takiego podsłuchał?

– Tego niestety nie wiem. Wiem tylko, że był w Hararze i tam spotkał jednego mężczyznę, którego wszyscy państwo na pewno znacie.

– Kogo?

– Hrabiego Ferdynanda de Rodriganda.

Wiadomość ta wywołała na zebranych ogromne wrażenie. Dopiero po chwili Róża spytała:

– Widział pan hrabiego?

– Tak.

– Co za zdarzenie, co za przypadek!

– Widzicie więc państwo, że *skout* wart jest więcej niż dziesięciu lat więzienia.

– Skąd te wszystkie osoby przybyły?

– Z jakiej bezludnej wyspy.

– Czy tam ich uwięziono?

– Tak.

– Jak się nazywa ta wyspa?

– Tego mi nie powiedzieli.

– A co tam robili?

– Żeby to opowiedzieć, trzeba więcej czasu.

– A kto ich uwolnił?

– Pewien kapitan, nazywał się Wagner.

– Dlaczego zaraz nie udali się do ojczyzny?

– Bo mieli jeszcze ważne sprawy do załatwienia.

– Ale dlaczego udali się do tej fortecy?

– Chcieli się połączyć z Juarezem, by pod jego osłoną dotrzeć do hacjendy del Erina.

– Juarez zgodził się na to?

– Naturalnie, wszyscy zresztą na to rzetelnie zasłużyli.

– W jaki sposób?

– Pomagali obronić fortecę przed Francuzami.

– Mój Boże! Walczyli przeciw Francuzom?

– Oczywiście.

– I znowu narażali swoje życie!

– Inaczej nie mogło być.

– Tyle lat czekaliśmy na nich, a oni znowu narażali się na niebezpieczeństwo i to dla obcych.

– Dla obcych? Myli się pani. Oni robili to wszystko w interesie rodu Rodriganda, a także w celu zdemaskowania Pabla Kortejo?

– Znaleźli go?

– I tak i nie.

– Co to znaczy?

– Widzę, że muszę mówić od początku – i zaczął opowiadać wszystko o czym tylko wiedział.

Kiedy skończył Róża zapytała:

– Ale dlaczego nic otrzymaliśmy od nich żadnego znaku życia?

– Bo to było niemożliwe, seniorita.

– Dlaczego?

– Bo znowu zniknęli bez znaku.

– Zniknęli, przecież są w hacjendzie?

– Niestety nie.

– A gdzie?

– Właśnie w tym cały problem, nikt nie wie gdzie. Właśnie powiedziałem państwu, że senior Sternau, senior Helmer i obaj wodzowie indiańscy udali się przodem, aby przy pomocy Misteków odbić hacjendę z rąk Korteja...

– I udało się im to?

– Tak jest. Siły prezydenta na tyle się wzmocniły, że prędzej niż się spodziewaliśmy mogliśmy za nimi wyruszyć. Na przedzie jechali drugi senior Helmer, senior Mariano i mały André. Kiedy nadjechaliśmy ich już także nie było.

– Gdzie się podziali?

– Kto to może wiedzieć.

– Trzeba ich było szukać

– Wszystkie poszukiwania były daremne.

– Juarez się tym nie zajął?

– Z początku nie przypuszczał, że to będzie konieczne, a potem zabrakło mu czasu. Tylko ja jeden mogłem się tym zająć

– Tak? I co pan zrobił?

Sepi Dziób wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Mało, bardzo mało.

– Proszę opowiadać, ale prędko!

Wszyscy byli tę nagłą wiadomością rozgorączkowani. Sepi Dziób rozpoczął sprawozdanie:

– Juarez sądził, że to jakaś mała wyprawa, więc się specjalnie tym nie przejął, a potem musiał wyruszyć na południe. Przez dłuższy czas nie mieliśmy żadnych wieści, więc zaczęliśmy się niepokoić.

– Niepokoić, kto?

– Lord Lindsay, jego córka i ja.

– To oni nie wyruszyli razem z Juarezem?

– Nie. Lord nie chciał się wprawdzie z nim rozłączać, ale *miss* Amy uparła się, że nie wyjedzie z hacjendy dopóki senior Mariano nie zostanie odszukany. Dlatego udałem się na poszukiwania.

– Znalazł pan coś?

– Przede wszystkim muszę wspomnieć, że córka Korteja wymknęła się nam. To zdołałem odkryć, że wymienieni udali się za nią w pościg.

– Jak daleko?

– Dojechałem za nimi aż do Santa Jaga, dalej pomimo starannych poszukiwań nic nie odnalazłem.

– Czyli, że muszą być w Santa Jaga.

– O nie. Tam wówczas stacjonowali Francuzi, musieli ich unikać.

– Przecież nie potrzebowali się obawiać Francuzów.

– Oni nie, ale z pewnością Kortejo, który na pewno wykradł swą córkę, Józefę.

– To co wobec tego mogło się stać?

– Podejrzewam, że Kortejo złapał ich w zasadzkę.

– Mój Boże! Trzeba ich ratować!

– Dlatego przybyłem aż tutaj. Kiedy straciłem ich dalsze ślady powróciłem do lorda. Ten udał się natychmiast do Juareza i wszystko mu przedstawił. Doszli do wniosku, że Kortejo mógł ich zwabić do samego Pantery Południa. Juarez natychmiast wysłał do niego posłów.

– Dowiedzieli się czegoś?

– Pantera kazał im powiedzieć, że Korteja u niego nie ma i nawet nie radzi, by się zbliżał do jego terytorium.

– Z całą pewnością nie powiedział prawdy.

– Ja też tak myślałem, dlatego sam się tam wybrałem.

– Do Pantery?

– Naturalnie. Było to wielkie ryzyko. Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale na szczęście udało mi się cało powrócić.

– A z jakim rezultatem?

– Negatywnym. Przekonałem się, że nie ma tam ani Korteja, ani naszych zaginionych.

– Mój Boże, to gdzie oni mogą być?

– Może zginęli – odezwał się kapitan.

– To niemożliwe – odpowiedział Sępi Dziób.

– Dlaczego?

– Bo takich ludzi jak Sternau, Piorunowy Grot, Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce nie tak łatwo zabić. Najprawdopodobniej złapano ich gdzieś w zasadzkę i trzymają w uwięzieniu, aby nie pomagali Juarezowi.

– Czyli, że istnieje nadzieja na ich uwolnienie?

– Oczywiście. Gdyby tylko można było odkryć choć jeden ślad. Juarez i lord daremnie się trudzą. Kazali mi przyjechać aż tutaj, aby poinformować państwa o wszystkim. Przy tej sposobności zabrałem drugą część skarbów Piorunowego Grota.

Wszyscy zgromadzeni spojrzeli w dal z melancholią. Cóż oni mogli zrobić, skoro sam Juarez nie mógł odnaleźć śladów zaginionych. Róża płakała ocierając w skrytości łzy, Różyczka zaś objęła matkę i schowała głowę na jej piersi. Księżę i Otto Rodenstein patrzyli w okno z oczami pełnymi smutku. Tylko jeden kapitan nie mógł się temu przyglądać spokojnie. Ścisnąwszy obie pięści zawołał:

– Na wszystkich diabłów, o gdybym ja był nieco młodszy!

Otto natychmiast się obrócił i zapytał:

– To coś byś zrobił?

– Pojechałbym tam i pokazałbym wszystkim, gdzie pieprz rośnie.

– A ja, ja także bym się z panem zabrał – powiedział poczciwy Kurt.

Kapitan spojrział na niego z wdzięcznością.

– Wiesz co Kurt, to tak jak wtedy...

– Na rozkaz, kapitanie.

– A co jeszcze?

– Na rozkaz, panie kapitanie.

– Ale co, ja jeszcze przecież nic nie powiedziałem.

– Pomimo to wiem, że myśli nasze są zgodne.

– No to co ja chciałem powiedzieć?

– O czasach, gdy wielki księżę z małżonką był u nas.

– Tak, to chciałem przypomnieć.

– I jak doktor Sternau odznaczał się raz za razem.

– Tak, kto by wtedy mógł przypuszczać...

– Że tak niedługo po tym zaginie...

– I teraz ponownie.

– Niech diabeł porwie cały ten Meksyk!

– I wszystkich jego mieszkańców. Och, gdyby ja wtedy się tam dostał, wygarbowałbym im skórę, żeby nawet nie poznali, czy ludzie, czy też psy ich szarpią. Buty bym potem sobie z ich skóry zrobił. Niestety, stare kości, szpik wysechł w nich prawie doszczętnie.

– Za to moje są młode, kochany ojczyste chrzestny.

Słowa te powiedział Robert, który dotąd przysłuchiwał się wszystkiemu z ogromną uwagą.

– To prawda kochany chłopcze, ale co ty możesz mieć wspólnego z Meksykiem?

Różyczka obracając się w ich kierunku powiedziała niespodziewanie:

– Prawda! Zupełnie zapomniałam! Robert jedź do Meksyku!

Oczy wszystkich skierowały się na młodego oficera.

– Tak, to prawda – powiedział. – Mam tam wykonać pewne zadanie, mam również nadzieję, że zostanie mi na tyle czasu, abym mógł się zająć inną sprawą, czyli odszukaniem naszych bliskich.

Sępi Dziób popatrzył na młodzieńca ze szczególną uwagą.

– Pan chce jechać do Meksyku? – zapytał.

– Jak pan słyszałeś.

– Młody człowieku, zostań lepiej w domu.

– Dlaczego?

– Bo tam nawet powietrze dla takich paniczów nie jest zdrowe.

– A co mnie to obchodzi?

– Tam lata wiele ołowiu.

– To mi się nawet podoba.

Sępi Dziób uśmiechnął się.

– Ale taki ołów, taka kulka może bardzo łatwo trafić.

– Wiem o tym mój kochany, dokąd zamierza się pan udać, gdy wykona swoje posłannictwo tutaj?

– Wracam do Meksyku.

– Czy długo zatrzyma się pan w Prusach?

– Ani minuty dłużej niż to będzie konieczne. Tutaj mi się nie podoba. Wszystko ospałe. Amerykanie są przyzwyczajeni do zupełnie innego życia.

– Proszę mi powiedzieć, jak długo zamierza się pan zatrzymać tutaj, u nas w zamku?

– Ja już jestem gotów do wyjazdu. Będę tylko prosił o odpowiedź dla prezydenta i lorda, a potem zaraz mogę ruszać.

– To może pojedziemy razem?

– Chętnie, mogę służyć swoją pomocą. Kiedy pan chce wyruszać?

– Planowałem jutro, ale pozwoli pan, że go jeszcze o coś spytam?

– Oczywiście.

– Do czyj ej partii w Meksyku pan należy?

– Do Juareza.

– Czy Juarez pana zna?

– Nawet bardzo dobrze.

– A pan zna najnowszą sytuację w tym kraju?

– Nawet dokładnie. Przecież przez ostatni czas byłem przy boku Juareza.

– To jest pan lepiej poinformowany niż nasi korespondenci?

– Myślę, że tak.

– A jeżeli jeden z pruskich ministrów zażądałby od pana opisu prawdziwego stanu, to powiedziałby pan całą prawdę?

– Jeżeli jest szczerym naszym zwolennikiem.

– Czy pan w to wątpi?

– Hm, w tych sprawach trzeba być ostrożnym. Prusy nie trzymają z Francją, ale są stronnikami Austrii.

– Dopiero niedawno prowadziliśmy wojnę.

– To prawda, myślę, że Prusy nie będą się wiele troszczyły o Maksymiliana, ale dlaczego się pan o to pyta?

– Bo znam jednego ministra i wiem, że bardzo by go zaciekały pańskie informacje.

– Jak się on nazywa?

– Otto von Bismarck.

– Ten sławny Bismarck? – zapytał zdziwiony Sępi Dziób. – Och, gdybym tylko mógł go zobaczyć!

– A pomówić z nim nie chce pan?

– Jak najbardziej, jemu wszystko powiem jak na spowiedzi. Ale pan podobno jutro musi wyjeżdżać?

– Taki miałem rozkaz, ale zawiozę pana do Bismarcka, do Berlina. Zgadza się pan?

– Zgadzam.

– Dziękuję, ale... – i tutaj rzucił pełne krytyki spojrzenie na trapera.

– Co za ale? – spytał Sępi Dziób.

– Pana ubranie nie jest zbyt stosowne do składania wizyty ministrowi.

– Naprawdę? Mam lepsze w worku, meksykańskie.

– To nie jest dobry pomysł. Chodzi o to, aby nikt się nie domyślił, że pan przybywa z Meksyku.

– To co mam robić?

– Musimy zdobyć dla pana cywilne ciuchy.

– Dobrze, już ja się o to postaram.

– Czyli, że jedziemy razem?

– Nie, me chcę czuć się skrępowanym, proszę mi podać miejsce spotkania w Berlinie.

– Niech i tak będzie, a więc spotkamy się jutro w południe, w hotelu magdeburskim, na ulicy...

– Proszę mi nie mówić, chcę się przekonać, czy bez tych informacji potrafię trafić na miejsce spotkania.

– Dobrze – powiedział Robert. – Teraz jednak muszę się oddalić, by przygotować się do podróży. Państwo możecie nadal rozmawiać.

Udał się do swego pokoju, a po chwili ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – zawołał.

W drzwiach stała Różyczka.

– Przepraszam Robercie, że ci przeszkadzam – powiedział delikatnie – ale ja naprawdę jestem o ciebie niespokojna. A jeżeli, tak jak inni i ty tam przepadniesz?

– Ależ kochana Różyczko, nie martw się tym – odparł wesoło. – Nie każdy tam znika.

– A twoje zadanie.

– Jest bezpieczne.

– Tak bezpieczne, jak twój podwójny pojedynek?

– Wtedy się o mnie nie bałaś.

– Wtedy знаłam niebezpieczeństwo jakie ci groziło, a teraz Bóg jeden wie, co cię może spotkać.

– Ja znam środek przeciwko wszelkim niebezpieczeństwom.

– Co to za środek?

– Taki sam jak przy pojedynku.

– Moja wstążka?

– Tak.

– A to dlaczego?

– Bo to mój talizman.

– Ale talizmany bierze się tylko od osób kochanych.

Objął ją, przyciągnął do siebie i powiedział:

– Czy ty wąpisz w to Różyczko, że jesteś dla mnie najważniejsza. Kochanie, każde uderzenie mego serca, świadczy o tym jak cię kocham. Bez ciebie moje życie byłoby ciemne, jak noc bez gwiazd. Ty jesteś całym moim życiem! I ty zadajesz mi jeszcze takie bezsensowne pytania?

Objęła go za szyję i powiedziała cichutko:

– Wierzę ci, kochany Robercie i przyrzekam, że jak mi odnajdziesz ojca i przywieziesz go to...

– To co? Powiedz, proszę.

– To będę należeć tylko do ciebie.

– O maja słodka, kochana, najdroższa!

Przytulił ją jeszcze bardziej i ucałował jej usta. Tak zatopili się w szczęściu, że nie słyszeli co się wokół nich działo, dopiero głos starego kapitana, który właśnie wszedł do pokoju ocucił ich.

– Do stu tysięcy ton beczek, co wy tu robicie? Gryzicie się, czy ślinicie?

Stanęli przestraszeni.

– Nareszcie was przyłapałem! – rzekł z uśmiechem. – Nie wiesz drabie, że to księżniczka Olsunna, a zarazem hrabianka de Rodriganda?

– Wiem – odparł zawstydzony Robert.

– A ty, kim ty jesteś?

– Oficerem.

– Hm, to wszystko.

– Panie kapitanie.

– Czego? – spytał zdziwiony tonem ostatnich słów.

– Nie pozwolę, by mnie pan obrażał przy damie.

– Już dobrze – odparł kapitan. – Przyszedłem ci tylko powiedzieć, że Amerykanin odjeżdża.

– Do Berlina?

– Najpierw jedź do mnie, bo tam została jego stara flinta. Prawdziwy okaz! Trafić z takiej starej, połatanej strzelby to wielka sztuka.

– Więc z więzienia nic nie będzie?

– Myślę, że nie. Ten drab jest zbyt ordynarny, a ja lubię zadawać się tylko z uprzejmymi ludźmi.

Na twarzy dziewczyny pojawił się lekki uśmiech.

– Czego się śmiejesz, może nie mówię prawdy? – spytał groźnie kapitan.

– Ależ wierzę, kochany ojczu chrzestny.

– Nie radzę się ze mnie naśmiewać. Może pójdziesz teraz ze mną?

– Z wielką chęcią. Do widzenia, Robercie!

Na schodach kapitan zwrócił się do Różyczki.

– Czy ty może myślisz, że Robert to stosowna partia dla ciebie?

Zarumieniła się, ale dość śmiało odpowiedziała:

– Tak, jak najbardziej.

– Niech to piorun trzaśnie. Ja go wprawdzie bardzo kocham, ale jest tylko chłopskim synem, synem sternika, a ty...

– A ja jego narzeczoną.

– A mama o tym wie? – spytał zirytowany.

– Nie.

– Masz babo placek, niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli...

Złapała go za rękę i dodała słodkim głosem:

– Nie gniewaj się kochany kapitanie, czy my jesteśmy temu winni, że się kochamy. Mam i tatko na pewno się zgodzą, jestem o tym przekonana, więc ty nie przeszkadzaj nam w szczęściu.

Po tych słowach pocałowała starego w policzek i szybko zbiegła ze schodów.

– Czarownica! – zamruczał. – A to paradne. Przytulali się do siebie jak jakieś cielaczki, a ona pocierała swym delikatnym noskiem o jego wąsiska jak o jedwab. Jeżeli jej to sprawia taką radość, to pożyczę jej swojego pędzla do golenia, ale Roberta niech zostawi ją w spokoju. Inną żonę dla niego zaplanowałem. Niech się wyda za jakiegoś księcia, ale mojemu małcowi niech w głowie nie zawraca.

DZIWADŁO

W godzinę później maszerował Sepi Dziób ulicami pobliskiego miasteczka. Stanął się przed jakimś sklepem i uważnie czytał napis.

Levi Hirsch – skład odzieży

Nie namyślając się długo wszedł do środka.

Właściciel obrzucił go badawczym spojrzeniem i spytał:

– Czego łaskawy pan sobie życzy?

– Ubrania.

– Ubrania, całego?

– Tak.

– Ale to będzie bardzo dużo kosztowało?

– To mało istotne. Macie jakieś porządne, niepodarte ubranie?

– Oczywiście! Ja mam wszystko.

– To proszę mi pokazać.

– Ale czy ma pan na tyle pieniędzy?

– Łotrze! Pokazujesz, czy nie? O mój worek z pieniędzmi nie potrzebujesz się martwić. Dawaj tu te szmaty!

Po długich próbach i wybieraniu, kupił wreszcie długi frak, stare skórzane spodnie, lakierki, cylinder i ogromną trąbę, uważał bowiem, że skoro nikt nie powinien domyślać się w nim Meksykanina, to najlepiej zrobi, gdy będzie udawał muzykanta.

Nie uszedł jednak daleko, gdyż cała uliczna dzieciarnia, zaczęła za nim biec i naśmiewać się z tej dziwacznej figury. Sepi Dziób wywołał ogromne zbiegowisko.

– Do pioruna! – zamruczał zadowolony – To ubranie musi być całkiem szykowne, widać, że się podoba. Niedługo cała młodzież będzie mi asystowała. Z pełną pompą i honorami zostanę odprowadzony na stację kolejową.

Coraz więcej ludzi gromadziło się wkoło niego tak, że wkrótce podszedł i policjant, a gdy zobaczył przed sobą cudaczną postać zapytał:

– Kim pan jesteś?

Sepi Dziób przystanął i zamiast odpowiedzi splunął mu pod nogi.

– Co? Odważa się pluć? – zawołał rozzłoszczony policjant. – Ja go aresztuję.

– Nie mam czasu, muszę odjechać następnym pociągiem, inaczej z chęcią bym został i pobawiłbym się z nim trochę – odrzekł traper ze śmiechem.

– Ja nie pytam, czy ma czas czy nie, musi ze mną pójść, ja go aresztuję!

– W takim razie muszę iść, ale zwracam uwagę, że odpowie za to.

Poszedł za policjantem aż na sam posterunek. W poczekalni zaczął się tak głośno kłócić, że nawet komisarz wyjrzał ze swego pokoju wołając:

– Co to za krzyki. Wypraszam sobie takich wrzasków!

Policjant zasalutował mówiąc:

– Złapałem tego oto i zaaresztowałem, domaga się natychmiastowego przesłuchania, dlatego robi taki hałas.

Komisarz spojrział uważnie na trapera.

– Do diabła, co to za jeden?

- Nie wiem, nie chciał mi powiedzieć.
- Dlaczego go aresztowałeś?
- Bo wzbudzał takie zainteresowanie, że ludziska aż zatarasowali przejście, a gdy spytałem go o nazwisko to zamiast odpowiedzi splunął mi tuż koło nosa.
- Komisarz spytał aresztanta:
- Co on za jeden?
- Publicznie nie będę odpowiadał – odparł Sępi Dziób. – Żądam przesłuchania w cztery oczy.
- Niech wejdzie do mego pokoju i weźmie ze sobą swoje rzeczy.
- Sępi Dziób zrobił jak mu kazano. W pokoju na krześle, koło okna siedział jakiś bardzo podobny do komisarza mężczyzna. Mimo cywilnego ubrania można było poznać w nim wojskowego. Jego prawa ręka wzbudzała szczególną uwagę, z rękawa zwisała biała rękawiczka. Można było zauważyć, że ręka to proteza.
- Komisarz spytał:
- Najpierw proszę powiedzieć kim pan jest?
- Ja też muszę wiedzieć z kim rozmawiam i kto mnie pyta? – odparł Sępi dziób.
- Komisarz policji, Ravenow – brzmiała odpowiedź.
- Dobrze, w takim razie proszę, aby ten pan, który jak wnoszę z wyglądu jest pańskim bratem, a nie tutejszym urzędnikiem opuścił to pomieszczenie.
- Tak, to mój brat, emerytowany porucznik. Myślę, że pan nie ma aż tak ważnych sekretów, aby i on nie mógł tego słyszeć, tylko ja mam prawo to ocenić.
- Do pioruna! Co za grubiaństwo! – zawołał oburzony porucznik podrywając się z krzesła. – Taki wagabunda domaga się, abym ja odszedł! Niestychane rzeczy!
- W takim razie nie pozwolę się przesłuchiwać – odparł Sępi Dziób ze spokojem – i proszę o umożliwienie złożenia mi zażalenia.
- Porucznik szepnął na ucho do komisarza, ale tak, że Sępi Dziób to usłyszał:
- Zamknij go do dziury i każ go tłuc do skutku, to mu odejdą te głupie zachcianki.
- Drabie! Jeszcze jedno słowo powiesz, a dostaniesz taki policzek, że nos ci spuchnie jak dynia. Bardzo się mylisz, jeżeli myślisz, że możesz tutaj rozkazywać, ponieważ jesteś bratem komisarza. Nie jestem jak ci się wydaje wagabunda i nie dam się zastraszyć więzieniem lub kijami!
- Powiedział to tak dobitnie i z taką powagą, że bracia mimo woli spojrzeli na siebie ze zdziwieniem:
- Pierwszy zreflektował się komisarz:
- Proszę cię, wyjdź na chwilę, to nie będzie trwało długo.
- Co? Ja mam ustępować temu człowieczkowi? – krzyczał rozzłoszczony eks porucznik.
- Komisarz wzruszył ramionami.
- To sprawa urzędowa.
- W takim razie nie bądź zdziwiony, że opuszczę cię. Ponieważ omówiliśmy już wszystko, to odchodzę i to na zawsze – z dumnie podniesioną głową udał się w stronę drzwi.
- Sytuacja ta nie była w smak komisarzowi, ale nie mógł postąpić inaczej. Zwrócił się do aresztanta nieco podenerwowanym głosem:
- Co pan ma w tym worku?
- Moje rzeczy.
- A w tym futerale?
- Strzelbę.
- A zgodę na posiadanie broni pan ma?
- Mam.
- Gdzie?

– W kieszeni.

– Proszę je pokazać.

Wyciągnął swoje papiery, legitymacje i podał urzędnikowi. Komisarz zaczął je przeglądać z coraz większym zainteresowaniem, w końcu powiedział:

– To pan jest kapitanem, a właściwie rotmistrzem kawalerii Stanów Zjednoczonych?

– Do usług.

– Nazywa się pan Wiliam Saunders?

– Nie inaczej.

– I jest pan posłem prezydenta Meksyku, Juareza?

– Tak.

– W takim razie stokrotnie proszę o przebaczenie. Ale... proszę znowu wybaczyć, że się tak wyrażę, ale ten dziwaczny ubiór spowodował tylko kolosalną pomyłkę. Naturalnie jest pan wolny i może pan natychmiast wyjechać.

Uśmiech przemknął po twarzy trapera.

– Wie pan dlaczego włożyłem na siebie ten strój?

– Nie.

– Dla zabawy i właśnie teraz zabawiłem się paradnie, a teraz żegnam.

Zniknął za drzwiami zostawiając w środku ogłupiałego komisarza.

Skierował się w stronę dworca, znowu cała masa ludzi zaczęła się wokół niego gromadzić, ale nic sobie z tego nie robiąc prędko dotarł na stację. Kupił bilet pierwszej klasy, ale usiadł wśród pasażerów trzeciej. Gdy pociąg wjechał na peron podszedł do wagonu i poprosił konduktora o otwarcie drzwi:

– Pan chce jechać pierwszą klasą? – spytał zdziwiony.

– Tak.

– Naprawdę? – zapytał ponownie nie wierząc, że tak ubrany pasażer ma rzeczywiście zamiar jechać pierwszą klasą.

– Do pioruna! Przecież mówię, że tak – odrzekł Sępi Dziób.

– Ma pan bilet?

– Naturalnie.

– Proszę pokazać.

Traper podał mu kartę, a konduktor oddał go z niedowierzaniem i powiedział:

– Proszę wsiadać, ostatnie dzwonięcie.

Szybko otworzył drzwi i pomógł mu w ładowaniu bagaży. Przerażliwy świst lokomotywy i pociąg ruszył.

– Do diabła! A jemu co wpadło do głowy? – zabrzmiał jakiś głos ze środka, był to głos eks porucznika Ravenowa.

– Jego nic to nie obchodzi, co mnie wpada do głowy – odparł traper.

Ulokował swoje rzeczy i wygodnie rozsiadł się na kanapie. Oficer jednak był innego zdania, gdyż zapytał:

– Ma bilet pierwszej klasy?

– To go także nic nie obchodzi – zabrzmiała odpowiedź.

– A właśnie, że obchodzi. Mam prawo wiedzieć, czy nie pomylił się przy wsiadaniu.

– Niech on stuli głowę i znowu nie zaczyna sprzeczki, a tym bardziej nie interesuje się sprawami, które nie powinny go obchodzić, bo inaczej...

– Co inaczej! Dureń zwraca się do mnie przez ty i może jeszcze chce grozić mnie, oficerowi? Czy chce zostać spoliczkowany?

– Mogę mu służyć. Może sam skosztować tego samego towaru, który chce sprzedać.

W oka mgnieniu zamachnął się i wymierzył Ravenowowi tak silny policzek, że ten oszołomiony uderzył głową o ścianę i upadł na siedzenie.

– Tak, to tylko próba – powiedział Sępi Dziób. – Jeżeli chce jeszcze, niech tylko powie.

– Draniu! – poderwał się eks porucznik krzycząc bez umiaru. – Ja cię potnę na kawałki.
Rzucił się na trapera, chcą go złapać za gardło, lecz w tej chwili znowu otrzymał potężny policzek i upadł na podłogę.

– Tak, serdeńko – zaśmiał się Sępi Dziób. – Pierwszy policzek był za draba, a drugi za drania. Jeżeli chcesz jeszcze jakieś nowe przezwisko wymyślić, to odpowiem jak poprzednio.

Ravenow poderwał się z podłogi. Twarz poczęła go piec, o oczy ze złości nabiegły krwią.

– Kanalio! – zasyczał odchodząc prawie od zmysłów. – Ja cię uduszę!

Ponownie rzucił się na Sępiego Dzioba, mimo że miał świadomość swojej bezsilności. Traper podniósł się z siedzenia i łapiąc go lewą ręką za gardło potrząsnął nim jak gruszką, mówiąc:

– Nazywa mnie kanalią? Dobrze, jeżeli koniecznie sobie życzy, muszę mu zrobić tę przyjemność.

Przycisnął go do kąta i wymierzył dwa solidne policzki. Z największym spokojem ponownie usiadł na swoim miejscu, a Ravenow cały kipiał ze złości. Z nosa połała mu się krew. Nie mógł powiedzieć ani jednego słowa. Dopiero po chwili ponownie poderwał się z miejsca, ale właśnie lokomotywa dała znak, że zbliżają się do stacji. Ravenow podbiegł do okna i otwierając je szybko zawołał:

– Konduktor! Tutaj! Do mnie! Konduktor podszedł do wagonu pytając:

– Czego pan sobie życzy?

– Otwórz pan i szybko przyprowadź naczelnika stacji, ale natychmiast.

Kiedy zbliżyli się Ravenow wyskoczył z wagonu mówiąc:

– Oto mój bilet. Jestem hrabia Ravenow, porucznik. Zostałem napadnięty w tym wagonie.

– Przez kogo? – spytał naczelnik wołając do pomocy jeszcze jednego kolejarza.

– Przez tego człowieka – i tu wskazał palcem na spokojnie siedzącego trapera.

– Przez niego? – spytał naczelnik. – Jak on się ośmiela jechać w wagonie pierwszej klasy?

Obaj urzędnicy podeszli bliżej, chcą lepiej obejrzyć Amerykanina.

– Jak się pan tu dostał? – spytał surowo naczelnik stacji.

– Jak? Przez drzwi – odparł Sępi Dziób ze śmiechem.

– Ma pan bilet pierwszej klasy?

– Ma – odparł konduktor.

– No to w porządku – zamruczał naczelnik. – Panie hrabio, za co ten człowiek pana napadł?

– Napadł na mnie i począł mnie bić.

– Czy to prawda? – spytał urzędnik Amerykanina.

– Tak – odparł ze śmiechem.

– Jaki miał powód?

– Nazwał mnie drabem, draniem i kanalią, za każde przezwisko dostał ode mnie policzek.

– Pan go tak przezywał? – spytał naczelnik zwracając się do porucznika.

– Naturalnie! – odparł. – Niech pan tylko popatrzy na tego człowieka. Z taką hołotą mam jechać, przecież płacę za pierwszą klasę.

– A czy ja za nią nie zapłaciłem? – spytał Sępi Dziób. – Czy jestem może obdarty, albo dotknięty jakąś zarazą?

– Tego nie widać.

– A może jestem pijany?

– To należałby sprawdzić.

– Sprawdzajcie ile wam się podoba.

W tej chwili maszynista dał znak gwizdkiem, że czas przeznaczony na postój upłynął.

Ravenow zwrócił się do naczelnika mówiąc:

– Moi panowie, domagam się surowego ukarania tego zuchwalca.

– Zuchwalca? – przerwał Sępi dziób – Czy chcesz może otrzymać kolejny policzek?

- Cicho! – krzyknął naczelnik. – Jeżeli pan hrabia domaga się ukarania tego człowieka, w takim razie prosiłbym o przerwanie dalszej jazdy i osobiste spisanie skargi.
 - Nie mam na to czasu. Muszę o oznaczonym czasie zameldować się w stolicy.
 - Ale pańska obecność jest konieczna.
 - Mam zaniedbać ważne sprawy, przez tego zuchwalca.
 - No cóż, takie są wymogi.
 - Nie widzę potrzeby pisania jakiegokolwiek skargi. Niech go pan każe natychmiast zaarrestować.
 - To mogę zrobić – a zwracając się do trapera dodał: – proszę wysiąść.
 - Dlaczego?
 - Aresztuję pana.
 - Do diabła! Ja mam w Berlinie wyznaczone spotkanie.
 - To mnie nic nie obchodzi.
 - Ale ja tu nic nie zawiniłem, tylko ten hrabia.
 - To się dopiero okaże.
 - W takim razie on także musi wysiąść.
 - Tu ja wydaję rozporządzenia.
 - Ja mogę się wylegitymować.
 - Na to będzie czas później.
 - Ale ja chcę teraz.
 - Cicho! Wsiądzie pan dobrowolnie, czy mam wezwać mych pracowników do pomocy.
 - Dobrze, ale chcę zwrócić pańską uwagę, że za szkody jakie wynikną z mego zatrzymania, pan poniesie odpowiedzialność.
 - Co? Jeszcze mi pan grozi? Wsiadać!
- Sępi Dziób zabrał swoje bagaże i wyskoczył z wagonu. Tymczasem naczelnik dał znak i pociąg ruszył.
- Niedługo w kancelarii naczelnika zjawił się miejscowy żandarm, obejrzał aresztowanego i spytał:
- To pan spoliczkował hrabiego Ravenowa?
 - Tak jest – odparł Sępi Dziób.
 - Dlaczego?
 - Bo mnie obraził.
 - W jaki sposób?
 - Nazwał mnie drabem, draniem i kanalią.
 - To powinien pan wnieść na niego skargę, a nie zaraz bić po twarzy.
 - A dlaczego on nie wniósł skargi, że ma podejrzenia, iż jadę nie w tej klasie, tylko zaczyna zaczepiać człowieka.
 - Czy ma przy sobie jakieś dokumenty?
 - Oczywiście.
 - Proszę pokazać.
 - Chciałem pokazać je już panu naczelnikowi, ale nie chciał ich przeglądać, ha, sam jest sobie winien.
- Wyjął całą paczkę papierów podając je żandarmowi. Ten, gdy skończył je przeglądać mimo woli zawołał;
- Niech to piekło pochłonie! To wyjątkowo głupia historia.
 - Dlaczego? – spytał zaciekawiony naczelnik stacji.
 - Ten frak i to przekłete ubranie każdego musiałoby wprowadzić w błąd. Czy pan naczelnik wie, kto to jest?
 - No?
 - Traper i amerykański oficer, rotmistrz.

- To niemożliwe.
- Możliwe. Tyle jeszcze po francusku umiem. A do tego jest posłem prezydenta Meksyku, Juareza.
- Naczelnik stacji zbladł.
- Naprawdę? – spytał. – Czy te dokumenty są prawdziwe?
- Tak. Jest tu nawet polecenie do pruskiego deputowanego, pana Magnusa.
- Kto mógł to przypuszczać? Ale kochany panie, dlaczego pan się tak ubrał?
- Nie wolno mi się ubierać, jak mi się podoba?
- Ależ wolno, ale przez to ubranie wziąłem pana za kogoś innego.
- Ubranie? Ha! Proszę nie opowiadać głupstw. To nie ubranie, ale pan jest temu winien.
- Jak to?
- Chciałem się przecież wylegitymować, ale pan nie chciał, więc czyja to wina. A co teraz?
- Naturalnie, jest pan wolny – powiedział żandarm.
- A ja spodziewam się, że pan kapitan wybaczy mi tę pomyłkę, bardzo o to proszę – odezwał się naczelnik stacji.
- Niech i tak będzie – odparł Sępi Dziób. – Nie należę do ludzi pamiętliwych i mam dość pocziwe serce, ale nie wiem co inni na to powiedzą.
- Inni? Czy wolno spytać kogo ma pan na myśli?
- Właściwie tylko pod warunkiem zachowania tajemnicy, bo to sprawy wagi państwowej, jadę do ministra Bismarcka.
- Naczelnik aż cofnął się.
- Do Bismarcka? – zawołał przerażony.
- Tak jest.
- Spodziewam się, że nie uczyni pan wzmianki o tym fatalnym zajściu.
- Przeciwnie, muszę o tym opowiedzieć i to dokładnie.
- Urzędnik zbladł ze strachu, szeroko otwartymi oczami popatrzył na Amerykanina pytając:
- Czy to może konferencja?
- Tak, nawet ważne dyplomatyczne posiedzenie, na którym ja nie będę mógł być obecnym i to z pańskiej winy. Gdyby pan od razu sprawdził moje dokumenty...
- Mój Boże, jestem zgubiony.
- Ja też tak sędzę.
- Co za nieszczęście! Co teraz robić?
- Nic. Przecież pan nie będzie żądał, abym dla zatuszowania pańskiej głupoty dodatkowo opłacał ekstra pociąg!
- Ekstra pociąg! To dałoby się nawet załatwić, zaraz zatelegrafuję na następną stację.
- Mam go może sam złapać?
- Panie kapitanie, ależ skąd!
- Nie, to co mam robić?
- To już moja sprawa, będzie pan miał do dyspozycji lokomotywę i jeden wagon, oczywiście bezpłatnie.
- Tak to co innego.
- Ten pociąg zawiezie pana, jeżeli wcześniej nie zdoła dopędzić pospiesznego, aż do samego Magdeburga.
- Dobrze – powiedział Amerykanin z zadowoleniem i zapytał. – Czy ten hrabia nie mówił przypadkiem, że też jedzie do Berlina?
- Tak.
- I musi jechać przez Magdeburg?
- Tak, jest tam dłuższy postój.
- A ja mogę dopędzić go przed Magdeburgiem?
- Może pan go wyprzedzić na kolejnej stacji.

– Jeżeli tak, to zgadzam się.
 – Pozwoli pan teraz, że zatelegrafuję – spytał naczelnik stacji uradowany.
 – Proszę.
 – I nie wspomni pan o mojej pomyłce?
 – No, dosyć mocno mnie to zezłościło, ale zapomnę. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy dużo pan zarabia?
 – Nie.
 – A taki dodatkowy pociąg jest drogi?
 – Będę musiał dość długo spłacać te koszty.
 – Hm, właściwie zasłużyłeś pan na to, ale żal mi pana. Może pokryjemy te koszty wspólnie. Oblicze urzędnika aż pojaśniało.
 – Pan by się na to zgodził? – spytał zachwycony.
 – Co mam innego robić. Nie chciałbym zbyt ciężko pana obciążać.
 – Bardzo dziękuję, od razu widać, że pan jest prawdziwym dżentelmenem. Pochlebiali to traperowi niezmiernie, znowu przybrał figlarną minę i powiedział:
 – Ale jeszcze lepiej byłoby, gdybym całe te koszty wziął na siebie?
 – Panie kapitanie, to byłoby dla mnie zbawienie.
 – Dobrze, niech tak będzie, zapłacę wszystko. Ale pod warunkiem, że przybędę do Magdeburga przed pociągiem pospiesznym.
 – Już ja się o to postaram.
 – Następnie żądam od pana napisania kilku słów.
 – Jakiej treści?
 – Że wylegitymowałem się, a pan na skutek fałszywego donosu tego hrabiego, miał wielkie nieprzyjemności.
 – Wolno zapytać po co to panu kapitanowi potrzebne?
 – Hrabia zobaczy mnie w Magdeburgu i zacznie mnie pewnie na nowo zaczepiać, więc potrzebuję dowód, że nie wymknąłem się panu podstępnie.
 – Oczywiście, zaraz piszę.
 Po kwadransie przyjechał rezerwowy pociąg. Sępi Dziób rozlokował się wygodnie w przedziale pierwszej klasy i popędził w dal.

* * *

Zapadała noc, kiedy pociąg pospieszny, w którym jechał Ravenow, dotarł na stację Borsum.
 – Magdeburg, pierwsza klasa, zabrzmiał jakiś głos na peronie.
 Natychmiast otwarły się drzwi do jego wagonu i do środka wszedł jakiś mężczyzna.
 – Dobry wieczór – powiedział jegomość wchodząc.
 – Do diabła! Dobry wieczór, panie pułkowniku! – odpowiedział Ravenow.
 Nowoprzybyły przyjrzał się mu dokładnie i spytał:
 – Pan mnie zna?
 – Naturalnie, panie pułkowniku.
 – Przepraszam, a z kim mam przyjemność?
 Ravenow nie wiedział co ma sądzić.
 – Pan mnie nie poznaje?
 – Niestety nie.
 – To wprost nie do uwierzenia. Czy naprawdę mam wymienić swoje nazwisko?
 – Tak, proszę.
 – Czy to możliwe, aby pańska pamięć, albo wzrok tak osłabły?
 Pułkownik zmarszczył czoło.

– Dotychczas nigdy nie miałem potrzeby zalić się na moją pamięć czy też słaby wzrok – powiedział rozdrażniony.

Właśnie pociąg ruszył dalej.

– W takim razie, to chyba ja się tak zmieniłem.

– Możliwe – zaśmiał się z lekka pułkownik. – Z kim mam więc przyjemność?

– Nazwisko moje jest tutaj zbyt ciche, to raczej jest znakiem rozpoznawczy – wysunął prawe ramię, tak, że dokładnie można było rozpoznać protezę.

Pułkownik stanął zaskoczony.

– Czy to możliwe?

– Co takiego?

– Pan jesteś porucznikiem Ravenow? Nigdy bym nie przypuszczał. Człowieku, jak pan wygląda?

– Jak ja wyglądam? Nie rozumiem pana.

– To niech pan spojrzy w lustro, o tam wisi.

Ravenow w swojej złości nie miał nawet czasu przejrzeć się w lustro, dopiero teraz to uczynił.

– Do stu diabłów! – zawołał – To mam być ja?

– A kto inny? – spytał pułkownik.

– Ale mnie urządził. No, poczekaj ty drabie, już ja ci pokażę.

W takim stanie nikomu nie będę się mógł pokazać na oczy.

– Mnie się też tak wydaje.

– Jak to się stało? Fatalny upadek?

– Nie, opowiem panu, ale najpierw proszę mi powiedzieć dokąd pan pułkownik jedzie?

– Do Berlina.

– To się dobrze składa, boja także, zostałem wezwany.

– Ja także? To dobrze, że pana spotkałem – powiedział pułkownik.

– Mógłbym powiedzieć to samo.

– Porucznik Golzen zatelegrafował do mnie.

– Naprawdę? – zdziwił się Ravenow. – Do mnie także.

– Kiedy?

– Wczoraj.

– Tak jak do mnie. Wiedział gdzie ma pana szukać?

– Tak.

– Myślę, że się nie mylę, ale z pewnością rozchodzi się o tę samą sprawę.

– O tego draba Helmera?

– Tak.

– Golzen telegrafował do mnie, że widział go wczoraj w mieście.

– To samo doniósł i mnie.

– I zaraz pan wyruszył?

– Tak.

– Aby dotrzymać przyrzeczenia?

– Tak.

– Ja także. Muszę się zemścić.

Pułkownik podniósł prawe ramię, on także miał protezę. Ravenow tupnął nogą.

– Ile razy wspomnę tamte czasy, to zdaje mi się, że oszaleję ze złości – zawołał zgrzytając zębami. – Byłem młody, przystojny, świetnie się zapowiadający... Piekło sprowadziło tego diabła.

– Ja byłem w podobnej sytuacji – odrzekł pułkownik ponuro. – Byłem na dobrej drodze do awansu, a teraz żona i dzieci żyją na skraju nędzy.

– Mając tyle czasu można długo nad sobą pracować.

– Ja długo ćwiczyłem.

– Strzelanie?

– Tak.

– Lewą ręką?

– Naturalnie.

– I jak?

– Lepiej strzelam, niż przedtem prawą.

– A ja pojedynkuję się na szpady lewą, przynajmniej tak samo biegle, jak przedtem prawą. Ten Helmer musiałby mieć diabła za sprzymierzeńca, gdyby jeszcze raz wyszedł z tego cało.

– Pan więc zamierza...

– Wyzwać go – odparł Ravenow krótko.

– A ja jadę, by go zastrzelić jak psa – zawołał pułkownik. – Potem mogą już robić ze mną co się im będzie podobało.

– Pytanie tylko, czy znajdziemy tego łotra.

– Oczywiście.

– Powinien przebywać w pałacu księcia Olsunny, gdyż i przedtem też tam mieszkał.

– To możliwe. A wie pan, gdzie do tej pory przebywał?

– Zdaje się, że w Rosji.

– Ja też tak słyszałem. Ten żeglarski syn ma diabelne szczęście.

– To mnie nie przeraża.

– Ani mnie.

– Ale będzie trudna sprawa z sekundantami.

– Dlaczego?

– No, wie pan, pojedynek na życie... – bąknął pułkownik.

– Ha! – zaśmiał się Ravenow. – Przy mnie pan pułkownik może mówić otwarcie. Ma pan na myśli to, że nasz honor ostatnio nieco ucierpiał.

– Niestety – westchnął pułkownik.

– To głupia tradycja! – zawołał Ravenow. – Ciekawy jestem dlaczego honor oficera ma być splamiony, bo ktoś go dotknął ręką.

Pułkownik zamyślił się, spoliczkowany stawał sam w swojej obronie. Po chwili rzekł:

– Policzek, to jednak zawsze hańba.

– Ale nawet najuczciwszy człowiek nie jest bezpieczny przed niespodziewanym spoliczkowaniem.

– To niemożliwe, nie pojmuję tego.

– Ale ja doskonale, bo sam to przeżyłem.

– To znaczy, że pana twarz nabrzmiał na skutek spoliczkowania.

– A gdyby tak było?

– To trzeba zbadać i osądzić.

– Dobrze, proszę pytać.

– To pan rzeczywiście otrzymałeś policzek?

– Nie jeden, tylko kilka – powiedział wściekły Ravenow.

– Kto to był? Zapewne...

– Co zapewne?

– Człowiek, którego policzek nie pozostawia plamy na honorze.

– Przeciwnie, ten łotr był najzwyczajszym włóczęgą.

– Poruczniku? – zawołał pułkownik przerażony.

– Włóczęgą, wędrującym muzykantem.

– Mogę tylko panu współczuć, pojąć jednak nie mogę. Jak to się stało?

– Byłem u mego brata, komisarza policji. Sam diabeł chciał, że tego łotra przyniosło właśnie tam. Uparł się, że chce rozmawiać z moim bratem w cztery oczy.

- Naturalnie pański brat wyśmiał go.
- Ależ skąd, mnie odprawił.
- Nic z tego nie rozumiem.
- Ja mu tego nie zapomnę. Zaraz od niego poszedłem na dworzec.
- Chciałem słyszeć o policzkach – przerwał pułkownik.
- Ale to ma związek. Wsiadłem do wagonu pierwszej klasy, przed samym odejściem pociągu otwierają się drzwi i do środka pakuje się...
- Chyba nie ten muzykant?
- Właśnie, że on.
- Do licha, jak to możliwe.
- Tego nie wiem.
- Musiał uciec z aresztu.
- Prawdopodobnie.
- I co dalej.
- Rozsiadł się ze swymi klarnetami.
- Bezczelność.
- Naturalnie. Ja myślę, że mój brat go wypuścił, a on od razu podążył na dworzec. Gdy ujrzał mnie w przedziale pierwszej klasy, kupił sobie bilet tej samej jakości, tylko po to, aby mnie rozzłościć.
- I co pan zrobił.
- Spytałem go w jaki sposób dostał się do mego wagonu, a on beczelnie powiedział, że to nie mój interes. Chciałem zawezwać konduktora, ale pociąg już ruszył. Po krótkiej wymianie zdań nazwałem go grubianinem, czy podobnie i w tej samej chwili dostałem w twarz, aż mi zaszumiało w uszach.
- Do stu diabłów! Mam nadzieję, że wyrzucił go pan za drzwi?
- To łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Porwałem się na niego, jak zraniony odyniec, chcąc go złapać za gardło, lecz w tej chwili otrzymałem drugi policzek.
- Znowu? – zawołał pułkownik w najwyższym zdumieniu.
- Tak. Panu na moim miejscu też by się to przydarzyło. Ten łotr był zadziwiająco zręczny i szybki. Ledwie zdecydowałem się na niego porwać, a on już mnie palną tak silnie, że mnie zamroczyło.
- Słów mi brakuje.
- No cóż! Proszę pomyśleć, dwóch ludzi w jednym przedziale. Zwycięża ten, po którego stronie jest przewaga i tupet.
- Możliwe, a nie miał pan przy sobie broni?
- Niestety nie. Gdybym miał rewolwer, bez wahania wpakowałbym mu kulę w łeb.
- To co pan zrobił?
- Porwałem się na niego kolejny raz, z tym samym skutkiem, przycisnął mnie do ściany i...
- I znowu uderzył w twarz!
- Tak. Nawet nie miałem czasu zaplanować swego postępowania, taki był szybki.
- Zatlukłbym takiego na śmierć.
- Pociąg zatrzymał się na stacji, więc zawołałem konduktora i naczelnika stacji.
- Zapewne pojмали tego łotra?
- Oczywiście. Teraz siedzi w więzieniu i czeka na zasłużoną karę.
- Poruczniku, to bardzo niehonorowa sprawa.
- Wiem o tym. Zapewne pan pułkownik dziwi się, że mu to opowiedziałem?
- Naturalnie. Tego rodzaju historie raczej się przemilcza.
- Chciałem panu udowodnić, że nawet najporządniejszy człowiek, nie może mieć pewności, czy nie przydarzy mu się coś podobnego... A po drugie, widzi pan przecież moją twarz, jak miałem to panu wytłumaczyć?

- Na przykład upadkiem – zaśmiał się pułkownik.
 - Uwierzyłyby pan w to?
 - Szczerze powiedziawszy, nie.
 - Widzi więc pan, że lepiej było powiedzieć prawdę. Ciekawy jestem jak długo utrzyma się ta opuchlizna?
 - Radzę panu przyłożyć na twarz surowe mięso, to pomaga.
 - Ale skąd go wziąć?
 - W Magdeburgu, tam mamy dłuższy postój.
- Właśnie dojechali do jakiejś stacji, a ponieważ pociąg zatrzymał się na dłużej, więc pułkownik wyglądał przez okno. W tej chwili po torze obok przejechała lokomotywa z jednym wagonem, w którym siedział jeden mężczyzna.
- Do stu diabłów! – zawołał pułkownik.
 - Co się stało?
 - Co za nos!
 - Gdzie?
 - Z okna, tego najprawdopodobniej prywatnie wynajętego pociągu wyglądał jakiś drab o nosie podobnym do krogulca.
 - Taki sam nos miał ten nicpoń, o którym panu opowiadałem.
- Niedługo przyjechali do Magdeburga. Pułkownik sam poszedł do bufetu po surowe mięso dla swego towarzysza. Porucznik obwiązał je sobie koło twarzy chustką, lecz po niespełna minucie począł narzekać i wzdychać.
- Co takiego? – spytał pułkownik.
 - To mięso zamiast ulżyć ogromnie piecze.
 - Niemożliwe.
 - Jakiego mięsa pan zażądał przy kupnie?
 - Surowego.
 - Ale nie pytał pan, czy jest czyste?
 - A czemu miałyby być zanieczyszczone?
- Porucznik odwiązał twarz, podał mięso pułkownikowi mówiąc:
- Proszę powąchać.
 - Dziękuję! – odparł pułkownik cofając się.
 - W tym mięsie jest pełno pieprzu i soli.
 - No to wyrzuc go pan przez okno.
- Porucznikowi nie pozostało nic innego. Nagle konduktor otworzył drzwi i wpuścił do środka jakiegoś pasażera, pociąg zaraz potem ruszył.
- Dzień dobry! – powiedział nowoprzybyły.
- Nie otrzymał odpowiedzi. Ravenow ze zdziwienia nie mógł wydusić z siebie ani słowa.
- Święty Boże! – krzyknął Ravenow.
 - Co się stało? – spytał pułkownik.
- Porucznik w milczeniu wskazał na przybysza, który umieszczał właśnie w środku swoje bagaże. Pułkownik zmierzył go wzrokiem i obrócił się w stronę Ravenowa.
- Pułkownik wie co to za człowiek? – spytał nagle.
 - Ten sam, którego ogromny nos zobaczyłem w dodatkowym pociągu.
 - To ten sam, ten sam!
 - Pan go przecież nie widział.
 - Ale to ten włóczęga, ten od policzków... ten co...
 - Do stu diabłów! To prawda!
 - A ja myślałem, że go złapano.
 - Zapewne uciekł.
 - Specjalnym pociągiem?

– Kto to może wiedzieć. Daleko jeszcze do następnej stacji?

– Jakież sześć minut.

– Tam go każemy aresztować!

– A może się pan myli, czy to naprawdę ten sam?

– Oczywiście, że ten sam, ten sam nos i ta sama trąba!

– Zobaczymy.

Pułkownik zwrócił się do Sępiego Dzioba i zapytał:

– Kim pan jesteś?

Traper nie odpowiedział.

– Kim pan jesteś? – powtórzył pułkownik swoje pytanie.

Ani słowa odpowiedzi.

– Czy pan oślepnął? Przecież pytam coś pan za jeden?! – aż krzyknął pułkownik.

Sępi Dziób skinął głową i odrzekł:

– Kim jestem? Pasażerem.

– To wiem – odrzekł pułkownik. – A jak ma pan na nazwisko?

– To akurat pana nic nie obchodzi.

– A skąd pan przybywa?

– To jeszcze mniej.

– A, nie chce się pan zdradzić, ptaszku! Czy pan był u komisarza Ravenowa?

– Tak.

– I został pan tam aresztowany?

– Niestety.

– A jak się pan dostał do Magdeburga?

– Specjalnym, dodatkowym pociągiem.

– Do którego zapewne wkradł się pan bezprawnie. Już my się tym zajmiemy, żeby pan po raz drugi nie uciekł, ty włóczęgo!

– Włóczęgo? Proszę posłuchać dobrej rady i w mojej obecności nie powtarzać tych słów.

Pułkownik wyprostował się, a nachylając ku nieznanemu zawołał wyzywająco:

– A to dlaczego?

– Bo odpowiedź może się panu nie spodobać.

– Czy to groźba?

– Nie, tylko przestroga.

– Tej akurat nie potrzebuję.

Ravenow tymczasem ochłonął. W mgnieniu oka zrozumiał, że pułkownik jest jego sprzymierzeńcem, więc postanowił się zemścić i hańbiący policzek oddać podwójnie.

– Proszę pułkowniku, by nie rozmawiał pan z tym łotrem – odezwał się. – Na najbliższej stacji oddam go w ręce policji, to przekona się co u nas robią z takimi włóczęgami.

Jeszcze nie zdążył dokończyć ostatniego słowa, kiedy w wagonie dało się słyszeć głośne uderzenie. Sępi Dziób wymierzył mówiącemu tak siarczysty policzek, że ten stoczył się z siedzenia na podłogę.

Na to pułkownik złapał myśliwego za pierś i krzyknął:

– Łotrze! – zawołał. – Odpokutujesz za to.

– Precz z tą ręką! – zawołał Sępi Dziób z błyszczącymi oczami.

– Co? – krzyknął pułkownik. – Chcesz mi może rozkazywać? Zaraz nauczę cię moresu!

Zamierzył się, chcąc mu dać w twarz, lecz w tej samej chwili złapał się za żołądek, Sępi Dziób wymierzył mu tak silny cios, że pozbawił siły do dalszej walki.

Ravenow nie był w stanie przyjść swemu sprzymierzeńcowi z pomocą. Szumiało i huczało mu w głowie, nie mógł pojąć co się stało. Pułkownik zaś skurczony jęczał żałośnie.

Właśnie dało się słyszeć donośny gwizd lokomotywy, znak, że pociąg wjeżdżał na stację. Sępi Dziób podszedł do okna i otwierając je zawołał na konduktora.

– Co pan rozkaże! – spytał podchodząc.
 – Prędko! Proszę zawołać natychmiast naczelnika stacji i kierownika pociągu!
 – Dlaczego?
 – Muszę złożyć zażalenie!
 – Nie ma na to czasu.
 – Czas musi się znaleźć! Zostałem napadnięty!
 To poskutkowało. Konduktor pobiegł i po chwili zjawili się urzędnicy. Sępi Dziób zajął swą osobą całe okno, tak, że jego towarzysze nie mogli się wmieszać do rozmowy.
 – Co się stało? Czego pan sobie życzy? – pytał już z daleka kierownik pociągu.
 – Jak długo pociąg stoi na tej stacji?
 – Minutę! Zaraz musimy odjeżdżać!
 – Proszę poczekać jeszcze minutę! Panie naczelniku, po raz drugi zostałem dzisiaj napadnięty, w tym pociągu, proszę aresztować tych dwóch drabów, którzy jadą razem ze mną.
 – Kim pan jest?
 – Proszę, oto mój paszport!
 Naczelnik obejrzał dokumenty, po czym powiedział:
 – Jestem gotów, panie kapitanie. Kim są ci dwaj!
 – Jeden z nich udaje hrabiego, a w rzeczywistości jest drabem, a drugi jest jego sojusznikiem.
 – Są w wagonie?
 – Tak. Udało mi się na szczęście obezwładnić ich na jakiś czas, dlatego siedzą tak cicho.
 Wysiadł, a naczelnik w stronę wagonu powiedział donośnym głosem:
 – Proszę wysiadać, ale szybko!
 – To jest niemożliwe. – odparł pułkownik. – My jesteśmy...
 – To już wiem – przerwał mu naczelnik. – Wysiadać!
 – Do diabła! – zawołał Ravenow. – Nie wie pan, że jestem porucznikiem, hrabią Ravenow!
 Urzędnik oświecił jego opuchniętą twarz i odrzekł z uśmiechem:
 – Wspaniale. Rzeczywiście wygląda pan jak hrabia. Proszę teraz natychmiast wysiąść, inaczej będę zmuszony użyć siły.
 – Nasze rzeczy... – chciał powiedzieć coś pułkownik.
 – Wedle życzenia. Dalej, ludzie!
 Obaj oficerowie zostali odprowadzeni pod asystą do kancelarii. Sępi Dziób został z naczelnikiem i udał się do jego pokoju.
 – Tu są moje dalsze dokumenty – powiedział podając urzędnikowi papiery.
 Naczelnik przeczytał je dokładnie. Mimo woli rzucił okiem na ubranie myśliwego, w końcu zdobył się na odwagę i zapytał:
 – Proszę mi nie brać za złe, ale nie mogę się powstrzymać i muszę pana zapytać, dlaczego pan się tak dziwnie ubiera?
 Sępi Dziób przybrał tajemniczą minę i szepnął:
 – Muszę zachować *incognito*!
 – A! Tak! Nikt nie może wiedzieć kim pan jest?
 – Naturalnie. Dlatego ten worek, strzelba i trąba.
 – To pańskie rzeczy?
 – Oczywiście.
 – A ja myślałem, że to tych dwóch nicponiów.
 – O nie, są moje. Specjalnie przebrałem się za muzykanta.
 – Rozumiem – odparł naczelnik stacji. – Czy mogę dowiedzieć się teraz o całej sytuacji?
 – Tak, opowiem w kilku słowach. Kiedy w Magdeburgu wsiadłem do wagonu pierwszej klasy spotkałem w nim już tych dwóch opryszków. Jeżeli się nie mylę, to jeden z nich, ten młod-

szy jest francuskim szpiegiem i pragnie za wszelką cenę uniemożliwić mi moje spotkanie z Bismarckiem, dlatego wszczyna kłótnie i bójki.

– Już my z tego Francuzika wypędzimy chętkę do awantur.

– Już przed Magdeburgiem zaczął mnie, tak, że byłem zmuszony go spoliczkować. Narobił takiego hałasu, że tamtejszy urzędnik wierząc jego wizytówce kazał mnie aresztować, nie chcąc nawet obejrzeć moich papierów.

– Co za głupota!

– Tak, dopiero później gdy to uczynił i dowiedział się, że jadę na konferencję do kanclerza, złapał się za głowę. Naturalnie musiał mi dać potwierdzenie tych wydarzeń, które proszę sobie przeczytać. Specjalnym pociągiem dostałem się do Magdeburga.

Naczelnik przeczytał podany dokument i powiedział:

– To jest dla mnie bardzo ważne. Mój kolega przyznaje, że dał się zbałamucić owemu hrabiemu. No, mnie ten drab nie oszuka. A co się stało w Magdeburgu?

– Jak już wspomniałem, w wagonie spotkałem dwóch mężczyzn, którzy z wielką śmiałością zaczęli mnie napastować. Francuz znowu otrzymał policzek, a tego drugiego uderzyłem w brzuch, że na jakiś czas miał dosyć. Na szczęście, zanim się opamiętali wjechaliśmy na stację. Ten drugi jeśli się nie mylę, to też szpieg, ale z Rosji.

– Co było dalej to już wiem – odparł urzędnik. – Dziękuję, to wystarczy. Teraz proszę się udać ze mną, bo będę przesłuchiwał tych nicponiów.

Poszli do kancelarii. Jak tylko weszli do środka Ravenow począł wrzeszczeć:

– Jakim prawem mnie aresztowano!

– Milczeć! – zawołał naczelnik.

– Ja się pytam, jak pan mógł się odważyć...

– Milczeć! – krzyknął rozgniewany nie na żarty urzędnik. – Ani słowa dopóki się pana nie zapytam, inaczej będę zmuszony użyć odpowiednich środków.

Sepi Dziób usiadł na krześle, urzędnik zwrócił się z pytaniem do pułkownika:

– Jak się pan nazywa?

Pułkownik wymienił nazwisko.

– Ma pan dokumenty?

– Nie.

– Aha, a zna pan Rosję?

– Byłem tam raz na urlopie.

– U kogo?

– U krewnych, dlaczego pan pyta?

– To moja sprawa, pan ma tylko odpowiadać na pytania i bez dyskusji. A pan jak się nazywa? – naczelnik spytał Ravenowa.

– Porucznik Ravenow.

– Może pan to udowodnić?

– Mogę. Oto moja wizytówka.

– Nie ma pan niczego innego?

– Nie.

– Taki bilecik nie jest ważny. Każdy może sobie wydrukować na kartonie, co tylko będzie chciał.

– Do diabła! Daję panu moje słowo, że jestem tym człowiekiem.

– Słowo? To także nie ma u mnie znaczenia. Zna pan francuski?

– Tak.

– A Francję?

– Bardzo dobrze. Dlaczego pan pyta?

– Bo od tego tu jestem.

– A ja nie mogę nawet spytać?

– Raczej nie – powiedział jeden z kolejarzy, dając mu równocześnie kuksańca w bok.

– Łotrze! – krzyknął porucznik. – Nie dotykaj mnie, inaczej rozłupię ci czaszkę!

– Co to za groźby! – krzyknął naczelnik. – Jeżeli pan kapitan nie ma nic przeciwko temu, to każę ich związać.

– Ja? – spytał Sępi Dziób. – W zupełności się na to zgadzam.

– Ja się nie pozwolę związać. Ja jestem szlachcicem! – zawołał Ravenow.

– Groził panu memu urzędnikowi, – odparł naczelnik – więc musi pan ponieść karę.

– Ależ...

– Cicho! – huknął naczelnik. – Związać ich!

Pracownicy kolei przynieśli grube sznury i zabrali się do pracy.

Ravenow spojrzał wymownie na pułkownika.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak poddać się tymczasem. Niedługo otrzymamy satysfakcję.

– Jestem przekonany – dodał pułkownik. – Ale biada tym drabom. Zwiążcie mnie, ale wiedźcie, że będziecie tego żałować.

– Hrabia, którego policzkuje, nie może być człowiekiem niebezpiecznym – zauważył naczelnik. – Ale co to, obu panom brakuje prawej ręki!

Nic na to nie odpowiedzieli. Na twarzy Sępiego Dzioba pojawił się nowy figiel. Prędko dodał:

– Do pioruna! Coś mi się przypomniało. To bardzo ważne.

– Co? – spytał naczelnik.

– Przed dwoma laty w Konstantynopolu schwytano dwóch szpiegów. Jeden z nich był Rosjaninem, a przedstawiał się jako pruski pułkownik, a drugi Francuzem. Podawał się za hrabiego i pruskiego porucznika. Sułtan ułaskawił ich od śmierci, skazał jednak obu na karę obcięcia prawych rąk.

– Bzdura! – zawołał pułkownik.

– Bezcelne kłamstwo! – dodał Ravenow.

– Milczeć! – rozkazał naczelnik stacji. – Teraz już wiem co za ptaszków schwytaliśmy. Panie kapitanie, czy mógłby pan spisać protokół?

– To zbyt ciężkie. Proces i tak odbędzie się w Berlinie. Najważniejsze, żeby panu nie uciekli.

– O to proszę być spokojnym. Oddam ich w ręce żandarmerii. Do tego czasu zamknę ich w piwnicy i postawię strażę – obróciwszy się do swoich pracowników rozkazał: – Wyprowadźcie ich i dobrze zamknijcie!

– Kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Berlina? – spytał Sępi Dziób.

– Za trzy godziny.

– To pojedę nim. W stolicy zamelduję o wszystkim, więc na pewno dostanie pan telegraficzne instrukcje.

Najbliższym pociągiem pojechał do Berlina, podczas gdy dwaj oficerowie jako ofiary jego kawałów siedzieli związani w piwnicy przeklinając i wymyślając coraz to nowe plany zemsty.